



JOHN MADDOX  
ROBERTS

Detektyw Decjusz Metellus zapobiega  
kolejnej katastrofie

# DETEKTYW CEZARA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA  
TAJEMNICZE ŚLEDZTWO W RZYMSKIEJ GALII

**BELLONA**

JOHN MADDOX  
ROBERTS

DETEKTYW  
CEZARA

---

TAJEMNICZE ŚLEDZTWO W RZYMSKIEJ GALII

Przekład z angielskiego  
Michał Kompanowski

**BELLONA**  
Warszawa

*Dla Albuquerque Page One, a zwłaszcza  
Pierwszej Grupy Piątkowej:  
zawodowych gawędziarzy par excellence*

# ROZDZIAŁ 1

Za wszystko obwiniam Aleksandra Wielkiego. Odkąd ten macedoński szczeniak postanowił podbić cały świat, zanim doczekał się choćby cienia zarostu, każdy dureń z mieczem w dłoni i z w miarę porządnymi butami uroił sobie, by pójść w jego ślady. W czasach mojej młodości Rzym spłodził kilku pseudo-Aleksandrów. Macedończykowi próbował dorównać Mariusz, a także Sulla. I jeszcze Lukullus. Rzecz jasna, śmiazków było więcej, lecz nigdy nie zyskali sławy, która by pozwoliła postawić ich obok już wymienionych.

Pompejusz był bardzo bliski sukcesu. Miejmy jednakże na względzie pewną istotną okoliczność – jako Rzymianin, ergo obywatel Republiki, nie mógł, w przeciwieństwie do Aleksandra, odziedziczyć armii po ojcu. Co więcej, odznaczał się sporym lenistwem, które nie pozwalało mu skupić się na sprawowaniu urzędów wymaganych, by móc dowodzić legionami. Wykorzystał uległych mu trybunów, aby Zgromadzenie przepchnęło prawa dające mu władzę, a przy tym utrzymywał, że zagrażające Rzymowi niebezpieczeństwo powstrzymuje go przed powrotem do miasta. Zazwyczaj sam preparował owo zagrożenie. Na ogół wspierający go trybunowie przekazywali mu dowodzenie w stosownym momencie, odebrawszy je najpierw bardziej zasłużonemu w walkach mężowi, aby chwała zwycięzcy oraz łupy przypadły wyłącznie Pompejuszowi. Dowodzi to niezbitie, iż Pompejusz był człowiekiem przewyższającym Aleksandra inteligencją. Rzymianie są zazwyczaj bardziej inteligentni od obcokrajowców.

Wrogowie zza miedzy rzadko trzymali nas w szachu. O to starali się nieprzyjaciele zamieszkali w granicach Republiki. Polityczne utarczki stały się jej przekleństwem, lecz uchroniły nas, na ponad dwieście lat od despotyzmu monarchii i jedynowładztwa.

Wróćmy do Macedończyka: Aleksander toczył boje z Persami, co wydatnie pomogło jego sprawie. Rzym nigdy dotąd nie walczył z Dariuszem. Aleksander starł się z nim dwukrotnie i dwukrotnie król Persów uciekł, słysząc dźwięk oręża, niczym wybatożony pawian, porzucił w popłochu armię, obóz, tabor i żony. Wrogowie Rzymian byli prymitywnymi brutalami, którzy zamiast osiąść spokojnie na przyznanych im ziemiach, by płacić należne podatki, napsuli nam sporo krwi. Aleksander nigdy nie zmierzył się z Hannibalem. Gdyby tak się stało, wnet wróciłby do Macedonii, by paść owce. Zresztą tylko do tego nadają się po prawdzie Macedończycy.

Najbardziej niespodziewanym pretendentem do tronu okazał się jednak Gajusz Juliusz Cezar i to on był najbliżej imperialnej korony Aleksandra. Ku memu ogromnemu przerażeniu, które odczuwam do dziś, walnie mu w tym pomogłem.

Podróż była długa, a pora roku paskudna. Późna zima przynosi na Półwysep Apeniński marną pogodę i podobnie dzieje się w Galii. To prawda, znacznie szybciej pokonałbym drogę z Ostii do Massilii na pokładzie statku, lecz jak każdy zdrowy na umyśle człowiek nie cierpię morskich podróży. Dlatego w towarzystwie mego niewolnika Hermesa oraz dwóch mułów objuczonych bagażami wyruszyłem z Rzymu wybrzeżem przez Etrurię i Ligurię, w kierunku prowincji.

To chyba oczywiste, że nie szukałem żołnierskiej chwały. Musiałem opuścić Rzym, gdyż Klodiusz, mój śmiertelny wróg, zasiadłszy na urządzie trybuna, mógłby zrobić mi coś złego, a przez cały długi rok niktby mi nie

pomógł. Ponadto moja rodzina szykowała mnie na wyższe stanowisko, potrzebowalem więc odnotować w moim życiorysie udział w paru zwycięskich kampaniach, aby bez przeszkód ubiegać się o urząd pretora. Kiedy zaś seniorzy mego rodu wydawali polecenia, każdy noszący nazwisko Cecyliusz Metellus wypełniał je bez szemrania.

W owych czasach Cecyliusze niewątpliwe wybijali się wśród rodów patrycjuszowskich. Mój stary ród był zadziwiająco liczny i bardzo znany, a lista konsulów, których wydał, sięgała początków Republiki. Mój ojciec zasiadał na wszystkich urządach *cursus honorum*, a ponadto piastował także stanowiska trybuna wojskowego, edyla, trybuna ludowego oraz cenzora.

Istniało ryzyko, że zginę, ćwicząc się w żołnierskim rzemiośle, lecz – jak już napomknąłem – moja rodzina mnożyła się niczym szkodniki i z pewnością szybko znalaziono by następcę na moje miejsce.

A więc podróżowałem niespiesznie wybrzeżem; zatrzymywałem się u przyjaciół, gdy tylko to było możliwe, i w karczmach, gdy nie było innego wyjścia; uczestniczyłem w miejscowych zabawach i festynach przy każdej nadarzającej się okazji. Nie spieszyłem się wcale na najnowszą wojnę toczoną przez Rzym. Nawet w szczenięcych latach nie dotknęła mnie przypadłość typowa dla nieopierzonego rekruta, który drżąc z ekscytacji, błaga bogów, by zdążyć na czas, zanim walki się skończą.

Opuściliśmy Ligurię, podróżując u stóp Alp Nadmorskich, i znaleźliśmy się w prowincji, ostatnim nabytku Republiki, którego największą zaletą jest to, iż zapewnia bezpieczną drogę lądową do Hiszpanii, wolną od ryzyka zatonięcia w morskich odmętach. Mijaliśmy kolonialne miasteczka założone przez Greków, aż dotarliśmy do Massilii – uroczego miejsca, jakim zwykle są zamorskie kolonie. Kiedy planuje się zbudować miasto, zwraca się szczególną uwagę na estetykę, proporcje czy harmonię. Miasta pokroju Rzymu, rozrastające się na przestrzeni wieków we wszystkie strony,

zapełniają stłoczone świątynie, kamienice i rybne targowiska. Dodajmy, że Massilia była ostatnim miejscem, w którym podróżny zmierzający na północ mógł wziąć porządną kąpiel. W tamtych czasach owo miasto zachowywało jeszcze niezależność, a jej mieszkańcy nazywali je Massalią, gdyż żaden Grek nie potrafił wymówić właściwej nazwy.

Owe tereny znajdowały się w strefie wojennej, więc musiałem upodobnić się wyglądem do żołnierza. Już wcześniej włożyłem tunikę legionisty i wojskowe obuwie, *caligae*. Zsiadliśmy z koni, a Hermes ściągnął mój rynsztunek z mulich grzbietów. Mój niewolnik, wyrosnięty młodzieniec, liczący wówczas jakieś osiemnaście wiosen, przejawiał skłonności niekoniecznie dozwolone przez prawo. Powszechnie wiadomo, że oficer uczestniczący w kampanii potrzebuje usług bystrego nicponia, który by mu zapewnił niezbędne zaopatrzenie i dbał o codzienne potrzeby.

Wpierw wdziałem lekką tunikę z doszytymi skórzanymi pasami zwisającymi u bioder i pasującymi do nich pasami u ramion. Następnie Hermes pomógł mi założyć pancerz. Istnieją dwa sposoby na wyrobienie muskułów. Pierwszy wiąże się z latami żmudnych ćwiczeń, drugi ogranicza się do złożenia zamówienia u zbrojmistrza. Ja zdecydowałem się na drugą możliwość. Na moim pancerzu widniały mięśnie, jakimi nie pogardziłby nawet Herkules, a także wykonane ze srebra sutki i starannie uformowany pępek. Na piersiach szczyrzyła się w upiornym grymasie gorgona, która miała odstraszać wszelkie zło.

Hermes doczepił mój czerwony wojskowy płaszcz do pierścieni okalających Gorgonę, po czym wyjął z tobołów hełm i ostrożnie zamontował na nim białą kity z końskiego włosia. Hełm wykonany został w stylu greckim z wystającym ponad brwiami naczólnikiem; wypolerowany do blasku brąz i ozdobiony srebrnymi motywami stylizowanymi na liście akantu raził oczy. A może były to liście bluszczu? Albo dębu lub oliwki? Zapomniałem już,

o którego boga przychylność zabiegałem, kupując tamtą zbroję.

Hermes spiął mi rzemyki napoliczników pod brodą i dał dwa kroki do tyłu, by podziwiać efekt. – Panie, przypominacie jako żywo Marsa!

– W rzeczy samej – przytaknałem. – Może i jestem zepsutym cywilem, ale przynajmniej wyglądam jak żołnierz. Gdzie miecz?

Hermes podał mój oręż, a ja przypiąłem go do brązowego pasa niczym któryś z Homerowych herosów. Moja pozycja w armii była niejasna i dlatego zdecydowałem się nie zakładać oficerskiej szarfy. Wsiedliśmy na konie i wjechaliśmy do miasta, wzbudzając trwogę i podziw, a napotkany rzymski urzędnik podzielił się z nami niepokojącymi wieściami. Cezar pomaszerował na północ, w góry, by uporać się z ludem zwanym Helwetami, zamieszkałym w mieście Genavie nad jeziorem Lemannus. Wszyscy oficerowie i legionieści z uzupełnień przybywający do miasta mieli bezzwłocznie się zgłosić w obozie dowódcy.

Był to niepokojący rozwój wydarzeń. Nie słyszałem o armii przemieszczającej się szybciej niż wojsko Cezara. Musiał gnać żołnierzy od samej Italii, skoro dotarł już nad Lemannus. Pamiętając o lenistwie, z którego słynął, uznałem, że to zły znak.

Opuściliśmy więc Massilię brudni, nie zmrużywszy oka. Skończyła się nasza niespieszna podróż, gdyż Cezar rozmieścił po drodze stacje, w których oficerowie mogli wymienić zdrożone konie, toteż nie mieli już czym usprawiedliwić swojej opieszałości. Choć nie było jasne, jaka za to groziła kara, lecz była równie nieuchronna jak śmierć, dyktator bowiem dorównywał władzę prokonsulowi zarządzającemu prowincją.

Kierowaliśmy się na północ doliną Rodanu, podróżując jej lewym brzegiem. Mijaliśmy piękne okolice, lecz nie byłem w nastroju, by kontemplować przyrodę. Hermes, zazwyczaj pogodny, spochmurniał i ucichł. Zostawiliśmy za plecami cywilizowaną Massilię i wkroczyliśmy do Galii,



gdzie zapuszczali się jedynie najodważniejsi kupcy.

Minęliśmy kilka małych schludnych wiosek. Kryte strzechą domostwa z chrustu i gliny zbudowano na planie koła. Bardziej okazałe budynki wzniesiono z masywnych bali, przestrzeń pomiędzy nimi wypełniały ściany z gliny, kamieni bądź cegieł pobielonych wapnem, odcinających się od ciemnego drewna. Uprawne pola wytyczono roztropnie, oddzielając je niskimi kamiennymi murkami, jednakże bez geometrycznego rygoru właściwego rzymskim i egipskim uprawom.

Ludzie przyglądali się nam z ciekawością, lecz bez wrogości. Galowie lubują się w kolorach i ich ubrania mienia się kontrastującymi ze sobą pasiastymi i kraciastymi wzorami. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety noszą biżuterię – biedniejsi wykonaną z brązu, bogatsi – złotą.

– Kobiety są szkaradne – podsumował Hermes, odnotowawszy uprzednio piegi, zadarte nosy i okrągłe twarze o urodzie całkowicie odmiennej od wyrazistych rysów cenionych przez Rzymian.

– Uwierz mi na słowo – zapewniłem. – Im dłużej będziesz tu przebywał, tym ładniejsze ci się wydadzą niewiasty.

– Miejscowi nie budzą we mnie strachu – dodał, by poprawić sobie humor. – Po tym, co opowiadano, spodziewałem się tu dzikich olbrzymów.

– To chłopci i niewolnicy – odparłem. – Wyższe warstwy nie brudzą sobie rąk uprawą ziemi ani pracą. Poczekaj, aż zobaczysz wojowników. Spełnią twoje najgorsze oczekiwania.

– Jeśli Galowie są tacy okropni – powiedział – to jacy są Germanowie?

Owo pytanie było niczym burzowa chmura zasłaniająca słońce. – Nawet nie chcę o tym myśleć.

Wojsko Cezara znaleźliśmy z łatwością. Rzymski obóz rozłożony na ziemiach barbarzyńców sprawia wrażenie miasta, które spadło z nieba i wylądowało pośrodku głuszy. Przed nami widniał tuż nad brzegiem

pięknego jeziora Lemannus prostokątny obóz. Gwoli prawdy słowo „obóz” nie oddaje w pełni tego, co rzymscy legioniści zakładają każdorazowo, ilekroć zatrzymują się na nocleg. Wtedy przed legionem najpierw podąża z godzinnym wyprzedzeniem niewielki oddział, którego zadaniem jest wyszukanie odpowiedniego miejsca na popas. Potem wytycza się jego granice, bramy, główne ulice i główny plac – pretorium. Za pomocą małych kolorowych proporców zaznacza miejsca, gdzie zostaną rozbite namioty poszczególnych kohort.

Kiedy wojsko zjawia się na wytyczonym miejscu, musi je oszańcować. Legioniści odkładają broń i chwytają narzędzia i kosze do wynoszenia ziemi. Wykopują rów okalający teren obozu, z wydobytej ziemi usypują wał, a następnie osadzają na nim palisadę z ostrokołów, które znosili przez cały dzień na plecach. Na koniec rozmieszczają warty i dopiero wtedy w tak ufortyfikowanym obozie rozbijają namioty. W każdym namiocie kwateruje ośmiu legionistów, dziesięć namiotów mieści centurię. Sześć centurii tworzy kohortę i dziesięć kohort składa się na legion. Wszystkie jednostki zawsze zajmują w obozie określone miejsce i mają zawsze takie same zadania, dzięki czemu każdy żołnierz zbudzony w środku nocy wie, w którym kierunku ma się udać i ile ulic przebiec, by zająć swoje miejsce do obrony palisady. Rzymski legionista, niezależnie od tego, gdzie znajduje się jego obóz, zawsze zna jego topografię i swoje obowiązki.

Na widok rzymskiego obozu wojskowego zawsze odczuwam dumę z tego, że jestem Rzymianinem, pod warunkiem, że nie muszę w nim mieszkać. Ponoć barbarzyńskie armie składały broń, obserwując, jak legion rozkłada się obozem. Obok wojsk Cezara dostrzegłem wytyczony rygorystycznie, aczkolwiek również uporządkowany, obóz oddziałów pomocniczych – auxiliów – złożonych ze sprzymierzeńców, a także opłaconych najemników, czyli łuczników, procarzy, lekkiej jazdy, piechurów

i innych. Obywatele rzymscy służyli wyłącznie w oddziałach ciężkiej piechoty, okuci w pancerze i hełmy, osłonięci dużymi rynienkowato wygiętymi tarczami, uzbrojeni w ciężką *pilum*, która ciśnięta z bliskiej odległości potrafiła przebić tarczę nieprzyjaciela, oraz krótkie miecze śmiertelnie skuteczne w dłoniach doświadczonego żołnierza.

– Spójrzcie tylko! – powiedział radośnie Hermes. – Barbarzyńcy nie zaatakują tak silnie umocnionego miejsca!

– Oto potęga Rzymu w całej okazałości – odparłem, nie chcąc bez potrzeby popsuć dobrego humoru sługi. Osobiście nie podzielałem jego pewności. Jeden legion wraz z dorównującymi mu liczebnie oddziałami pomocniczymi nie stanowiły razem siły zdolnej zmierzyć się z barbarzyńskim plemieniem. Oby, pomyślałem, Helweci nie byli licznym ludem. Myślenie życzeniowe dyskwalifikowałoby mnie jako augura, lecz nader często mu folgowałem.

Za obozem Cezara majaczyło w oddali rozrzucone w nieładzie miasto, zapewne Genawa. Legioniści pracowali nie tylko przy umacnianiu obozu; inna grupa usypywała wał ciągnący się od brzegu jeziora w kierunku pobliskich gór. Wał oddzielał obóz od miasta i uznałem, że ma to zniechęcić do zastosowania ich ulubionej taktyki, czyli szarży na długości całej linii. Całkowicie zgadzałem się z podjętą strategią. Im więcej przeszkód było między mną a zgrają dzikusów, tym lepiej.

Jakieś ćwierć mili przed obozem natknęliśmy się na grupę żołnierzy budujących pod okiem oficera długą palisadę. Ich wbite w ziemię włócznie tworzyły trójnogi, na których opierały się tarcze, na grotach wisiały hełmy. Ich smukły oręż i wąskie, płaskie tarcze wskazywały, że była to lekka piechota. Nadzorujący harcowników oficer uśmiechnął się szeroko na nasz widok.

– Decjusz! – miałem przed sobą Gnejusza Kwintyliusza Carbo, starego

druha.

– Carbo! Brak mi słów, by opisać, jak bardzo się cieszę, że cię tu spotykam! Teraz jestem już pewny zwycięstwa. – Zsunąłem się z grzbietu konia i uścisnąłem jego silną dłoń legionisty. Carbo służył w armii od dawna. Ten potomek zamożnego rodu, który miał rozległe ziemskie dobra pod Cere, był prawdziwym Rzymianinem starej daty. Tacy jak mój ojciec i podobni mu starzy wyjadacze polityczni uważali się za prawdziwych Rzymian, lecz to właśnie Carbo zasługiwał w pełni na to miano – człowiek jakby żywcem przeniesiony z czasów Kamillusa.

– Miałem przecucie, że się tu pojawisz, Decjuszu. Kiedy doszły mnie słuchy o trybunie Klodiuszu i twoich zaręczynach z siostrzenicą Cezara, wiedziałem, że prędzej czy później do nas dołączysz.

– Carbo, niech bogowie pobłogosławią jego mężne spiżowe żołnierskie serce, myślał, że z utęsknieniem szukam okazji, żeby udowodnić swoją dzielność i okryć się sławą.

– Co tutaj robisz? – zapytałem. – Dowodzisz oddziałami inżynieryjnymi?

– Nie, w tej kampanii wyznaczony zostałem na dowódcę auxiliów. – Skinął głową w kierunku grupki żołnierzy stojących na wale. – To moi ludzie.

– Ty? – spytałem z niedowierzaniem. – Przemierzyłeś pod rozkazami Lukullusa całą Azję i maszerowałeś w jego tryumfie! Powinieneś objąć dowództwo nad legionistami. Czemu Cezar postawił oficera o twoim doświadczeniu i stopniu na czele harcowników? – Uznałem przydział przyjaciela za obrazę, lecz Carbo zaprzeczył lekkim ruchem głowy.

– Ta armia jest inna, Decjuszu. Cezar postępuje inaczej niż reszta dowódców. Komendę nad auxiliami powierzył swoim najbardziej doświadczonym oficerom. Czy zwróciłeś uwagę na tutejsze tereny, widziałeś te lasy? Uwierz mi, okolice zrobią się znacznie bardziej nieprzyjemne, gdy

ruszymy w kierunku Renu. Nie sposób maszerować po lesie w należyтым porządku. Trzeba wybierać drogi biegnące dolinami i aby zachować bezpieczeństwo, legionistów na skrzydłach powinna osłaniać lekka jazda i piechota. Galowie lubią atakować z marszu, a harcownicy umożliwiają nam odparcie nagłego ataku. Gdyby nie oni, barbarzyńcy zwałiliby się nam na głowę, zanimbyśmy się obejrżeli. Auxilia odgrywają w tej wojnie istotną rolę.

– Ośmielę się twierdzić, że każdy żołnierz odgrywa w tej kampanii istotną rolę, jeśli ten obóz, na który patrzę, to jedyne wojska, jakimi dysponuje Cezar.

– Masz rację, ja również mam wątpliwości, ale czy w ślad za tobą nie podążają przypadkiem posiłki?

Uniosłem dłoń z wyprostowanym kciukiem. – Tylko mój niewolnik Hermes. Potrzeba ci czegoś?

Carbo zrobił skwaszoną minę. – Każdy ma prawo do odrobiny nadziei. Pompejusz miał nam ponoć przysłać dwa legiony, ale do tej pory ich nie zobaczyliśmy.

Pompejusz i Krassus, poplecznicy Cezara, wystarali się, by mógł on przez pięć lat dowodzić legionami stacjonującymi w Galii, i obiecali udzielić wsparcia. Jeśli uwierzył obietnicy tych dwóch, pomyślałem, to jeszcze długo poczeka na posiłki.

Carbo zmierzył mnie wzrokiem, wykrzywając usta w cierpkim grymasie. – Decjusz, uczyn sobie, mnie, armii i nieśmiertelnym bogom przysługę i zdejmij ten paradny strój, zanim staniesz przed Cezarem. Mówiłem już, że ta armia jest inna.

– Czyżby? Wydawało mi się, że nieźle się prezentuję. – Dopiero wówczas dostrzegłem, że Carbo ma na sobie zwykłą galijską kolczugę i brązowy, przypominający garniec hełm pozbawiony ozdób. Nie odróżniał

się od zwyczajnego legionisty, jeśli nie liczyć miecza przypasanego do lewego, a nie prawego boku oraz purpurowej przepaski oficera oplatającej biodra. Nagle rozległ się w obozie sygnał rogu.

– Za późno – stwierdził Carbo. – Trąbią na zbiórkę oficerów. Natychmiast musisz się zgłosić. Przygotuj się na małą lekcję.

Ruszyliśmy w kierunku obozu. Hermes podążał za nami, prowadząc zwierzęta.

– Jak długi jest wał, który wznosicie? – zapytałem Carbo.

– Będzie miał od jeziora do podnóża gór jakieś dziewiętnaście mil.

– Dziewiętnaście mil? – powtórzyłem osłupiały. – Czy aby mówimy o tym samym Gajuszu Juliuszu Cezarze? O tym, który w Rzymie nigdy nie chadzał piechotą, jeśli mógł skorzystać z lektyki, i nigdy nie posługiwał się bronią cięższą niż własny głos?

– Niebawem go spotkasz, to teraz zupełnie inny człowiek – powiedział Carbo. I tak też było.

Weszliśmy przez południową bramę i podążyliśmy Via Praetoria, przecinającą obóz niczym strzała na dwie części, która prowadziła wprost do pretorium, wewnętrznego obozowiska otoczonego małym wałem, gdzie był namiot dowódcy oraz namiot sztabu. Via Principalis przecinała Via Praetoria pod kątem prostym; za nią znajdowały się namioty wyższych oficerów oraz żołnierzy, których dowódcy z różnych względów trzymali z dala od pospolitych legionistów, dekurionów i centurionów. Zazwyczaj do grona wybrańców zaliczali się extraordinarii, weterani z dwudziestoletnim doświadczeniem w wojaczce; ich obowiązkiem była jedynie walka. Naliczyłem wyjątkowo dużą liczbę namiotów i zapytałem o to Carbo.

– Cezar powołał specjalną gwardię pretoriańską. Znalazły się w niej głównie auxilia, kawalerzyści i piechurzy. – Wielu dowódców wykorzystywało gwardię pretoriańską jako wartowników lub odwody

włączane do walki w istotnych momentach bitwy. Po rozmiarze wewnętrznego obozowiska domyśliłem się, iż Cezar wyznaczył gwardii inne zadanie.

Przed pretorium, wzdłuż Via Principalis stały namioty prefektów i trybunów, na skrzyżowaniu głównych ulic usytuowano legionową kaplicę: namiot, w którym przechowywano sztandary. Nie zanosiło się na deszcz, więc insygnia wystawiono na zewnątrz, na drewnianym postumencie. Przed namiotem pełniła straż honorowa gwardia; wartownicy stali nieruchomo z obnażonymi mieczami w dłoniach. Patrząc na ich krótkie kolczugi i małe, okrągłe tarcze, można było wziąć ich za żołnierzy auxiliów, lecz lwie skóry zarzucone na hełmy i plecy jednoznacznie świadczyły o tym, że byli legionistami – *signifer*, chorąży manipułu, i *aquilifer*, chorąży legionu, należącymi do grupy wyższych oficerów, awansowanych w nagrodę za męstwo na polu bitwy.

Oddaliśmy honory legionowemu sztandarowi – orłowi osadzonemu na drzewcu. Na poprzecznym drążku była przytwierdzona tabliczka, przy której zwisały końskie kity, a na niej widniał napis: LEGIO X. Z miejsca poczułem się pewniej. Dziesiąty legion uchodził za najlepszy. Uważali tak wszyscy, oczywiście oprócz żołnierzy pozostałych legionów. Znałem kilku ludzi służących niegdyś w Dziesiątym, zarówno oficerów, jak i szeregowców. Skoro przed barbarzyńcami miał mnie bronić jeden zaledwie legion, nie mogłem lepiej trafić.

W przerwie wału, sięgającego do wysokości bioder, oddzielającego pretorium od reszty obozu, stało dwóch gwardzistów w lekkich pancerzach; w dłoniach trzymali oszczepy i tarcze. Wał w tej postaci raczej nie był formą umocnienia, lecz miał znaczenie jedynie symboliczne. Pośrodku wschodniej krawędzi umieszczono drewniany podest, skąd dowódca przemawiał do legionistów zgromadzonych na forum – placu, służącego jednocześnie jako

miejsce zbiórek i targ dla kupców oraz okolicznych rolników handlujących z legionem w ustalone dni.

Oczywiście, przybyliśmy jako ostatni. Przed namiotem dowódcy stał duży stół, wokół którego zgromadzili się wszyscy wyżsi oficerowie – trybunowie, prefekci, dowódcy oddziałów auxyliów – a także jeden centurion, dowódca pierwszej centurii pierwszej kohorty zwany *primus pilus*, czyli Pierwszą Włócznią. Nosił nagolenice wykonane z brązu, element dawnej zbroi, która wyszła z powszechnego użycia wieki temu, lecz one przetrwały jako symbol rangi. Centurion wskazywał na stół laską z winnej latorośli, długą na trzy stopy, o grubości kciuka dorosłego mężczyzny, będącą kolejną oznaką posiadanego stopnia. Gdy zbliżyliśmy się do stołu, uniósł głowę i zamarł w bezruchu.

Cezar, pochylony, wpatrywał się w mapę. Za jego plecami stało dwunastu prokonsularnych liktorów, ze swoimi fasces. W Rzymie liktorzy nosili zazwyczaj togi, w warunkach polowych natomiast – czerwone tuniki, spięte szerokimi, ufarbowanymi na czarno pasami nabitymi gwoździami wykonanymi z brązu – był to zwyczaj wywodzący się z czasów etruskich. Oficerowie zamilkli, a nagła cisza sprawiła, że Cezar podniósł głowę, wyprostował się, przybierając dostojną pozę – to był pontifex maximus, którego znałem. Powoli, niemal uroczyście nasunął na głowę poły wojskowego płaszcza.

– Panowie – powiedział. – Nakryjcie głowy. Odwiedziła nas delegacja z Olimpu. Niechybnie zwyciężymy. Sam Mars, bóg wojny, znalazł się w naszych szeregach.

Oficerowie zanieśli się gromkim śmiechem, który z pewnością zaniepokoił wartowników. Nawet Carbo śmiał się tak głośno, że dostał czkawki. Stałem jak głupek z wyciągniętym w pozdrowieniu ramieniem, mając nikłą nadzieję, że hełm skrył moją twarz płonąca ze wstydu.



– Pewnie nie przyprowadziłeś ze sobą posiłków, Decjuszu – powiedział Cezar, ocierając krajem płaszczu ciekące łzy.

– Obawiam się, że nie, prokonsulu.

– Widać liczyłem na zbyt wiele. Cóż, przydało się nam trochę śmiechu. Dołącz do nas, Decjuszu. Tytus Winiusz składał nam właśnie raport o stanie fortyfikacji i działaniach nieprzyjaciela. Mówcie dalej, Pierwsza Włócznie.

Działań nieprzyjaciela? – pomyślałem. Nie dostrzegłem za wałem mrowia Galów sposobiących się do bitwy. Na mapie widniała linia rozciągająca się od zaznaczonych na niej gór do jeziora, którego brzeg centurion wskazywał końcem laski.

– To miejsce, nad brzegiem jeziora, to nasz najsłabszy punkt. Grunt jest tam podmokły. Galowie omijają kraniec palisady, przechodzą mieliznami, wyrządzają mnóstwo szkód i uciekają tą samą drogą. Równie dobrze mogliby oskrzydlić wał w identyczny sposób u podnóża gór, ale są na to zbyt leniwi. Ponadto na bagnisku nie możemy puścić za nimi w pościg jazdy.

Cezar spojrzał na Carbo. – Gnejuszu, chcę, byś zebrał mały oddział auxiliów. Dobrych pływaków nielekających się wody. Bez zbroi, bez hełmów. Tylko oręż i lekkie tarcze. Masz położyć kres wypadom tych płetwonogich Galów.

– W nocy będą gotowi, dowódco – odparł Carbo. Odchrząknąłem, przeczyszczając gardło.

– Mars pragnie przemówić – powiedział Lucjusz Cecyliusz Metellus, mój daleki krewny, którego przezywaliśmy „Guzkiem” z powodu dwóch narośli na twarzy. Na prostej zbroi nosił wstęgę trybuna.

– Miło cię widzieć, Guzku – odparłem, obdarzając go promiennym uśmiechem. – Gdzie się podziało sto sestercji, które jesteś mi dłużny od wyścigów podczas Cerealiów i nie możesz oddać przez dwa lata? – Moja uwaga sprawiła, że zamilkł.

– Chcesz o coś zapytać, Decjuszu? – spytał Cezar.

– Proszę o wyrozumiałość, dowódco. Dopiero zjawiłem się w obozie. Nie widziałem jednak za wałem żołnierzy barbarzyńców, więc zakładam, iż Helweci nadal się z nami układają. Jak to możliwe, skoro nasyłają na nas harcowników?

– To nie są Galowie z wybrzeża i nie zachowują się jak cywilizowani ludzie – odpowiedział Cezar. – Ich posłowie przemawiają w imieniu całego plemienia, a mimo to uważają za normalne, że młodzi wojownicy obrzucają od czasu do czasu nasz obóz włóczniami. Dla nich takie zachowanie jest czymś tak zwykłym, jak to, że koń przeskoczywszy murek odgradzący pole sąsiada, wchodzi w szkodę.

– Lubią polować na wartowników i patrole – dodał Tytus Winiusz. – To łowcy głów. Głębiej w lasach, w ich świętych gajach, znajdziecie wysokie stosy ułożone z ludzkich czaszek.

Ten typowy wiarus próbował nastraszyć młodego rekruta, ale marnował tylko czas. W Hiszpanii napatrzyłem się na znacznie gorsze okropieństwa.

– Decymiuszu Varronie – powiedział Cezar. – Stan zapasów, jeśli łaska. – Zanotowałem w myślach, iż Cezar wypowiadał się zwięźle i dziarsko, zgoła odmiennie niż w Rzymie, kiedy mówił rozwlekle.

– Zboża, owoców, ryb i mięsa starczy nam na dziesięć dni. Na dwadzieścia, jeśli zmniejszymy racje o połowę. Lada dzień powinien do nas dotrzeć tabor z Massilii.

– Decjuszu, czy minąłeś jadąc tutaj wozy z prowiantem?

– Nie, prokonsulu.

– Kwestorze, zacznijcie skupować więcej żywności od okolicznych rolników. Nie chcę, żeby zbrakło nam zapasów, gdy Helweci zdecydują się na atak.

– Zażądają wygórowanych cen za miernej jakości produkt, prokonsulu. –

Odpowiedział kwestor, młodzieniec o poważnej twarzy, był mi jakoś znajomy.

– Zapłaćcie im i nie targujcie się przy tym zbytnio – odrzekł Cezar. – Stan skarbcza niewiele obchodzi walczących ludzi, w przeciwieństwie do ich żołądków.

– Tak, Cezarze. – Nagle przypomniałem sobie nazwisko kwestora: Sekstus Didiusz Ahala. Rok, a może dwa lata temu piastował w Rzymie to samo stanowisko, którego mu wcale nie zazdrościłem. Urząd kwestora, pomocnika prokonsula, wiązał się z prestiżem, lecz jednocześnie skazywał piastującą go osobę na mrówczą i żmudną pracę księgowego, który musi dbać o wydatki prowincji i stacjonujących tam oddziałów.

Przez godzinę trwało składanie raportów, wydawanie rozkazów, ustalanie nowych haseł i tym podobne zajęcia. Narada dobiegła końca. Cezar dał do zrozumienia, że wraz z Winiuszem nie powinniśmy opuszczać namiotu.

– Pierwsza Włócznie, musimy gdzieś zakwaterować Decjusza Cecyliusza Metellusa Młodszego. Co proponujesz?

Centurion popatrzył na mnie tak obojętnie, jak zawodowi wojskowi zwykli traktować młodych, niedoświadczonych oficerów. Jedynie zasługi wojenne mogłyby sprawić przychylność jego i podobnych mu weteranów.

– Mamy już więcej oficerów, niż trzeba, prokonsulu. Brakuje nam zaś legionistów.

– Niebawem stracimy i jednych, i drugich – odparł Cezar. – Ale zanim do tego dojdzie, Decjusz musi mieć przydział.

Winiusz pochylił się i podniósł leżący pod stołem hełm. – Jazda – oznajmił. Chciał się mnie pozbyć, a ja nie mogłem go za to winić. Niedoświadczeni oficerowie, a zwłaszcza trybuni, stanowią najgorszą zmoreę centurionów. Mogłem zapewnić go, iż żołnierskie życie i wojskowe kampanie nie są mi obce, ale wiedziałem, że to się nie zda na nic.

– Doskonale. Decjuszu, zgłoś się do pretoriańskiej ali. Dowodzi tym oddziałem Gal o imieniu Lovernius, ale przyda mu się przełożony Rzymianin. Jako pretorianin przydzielony zostaniesz do mojego sztabu i podejrzewam, że więcej czasu spędzać będziesz przy moim boku niż z własnym oddziałem.

– Czy ta ala to aby nie jest hiszpańska jazda? – spytałem, bo miałem już pewne doświadczenie w postępowaniu z Hiszpanami.

– Nie, to są Galowie – odezwał się Cezar. – Zatwardziali wrogowie Helwetów. – Jednak to nie miało większego znaczenia, gdyż każde galijskie plemię nieustająco wojowało z najbliższymi sąsiadami. Cóż, każda jazda i tak górowała nad rzymską konnicą, gdyż ta od zarania dziejów niewiele była warta. Walka konno, podobnie jak walka na morzu, to były umiejętności, do których my, Rzymianie, po prostu nie mieliśmy predyspozycji.

– Prokonsulu, za waszym pozwoleniem oddalę się teraz, by dokonać inspekcji wart. – Winiusz zawiązał pod ogoloną brodą rzemyki napoliczników. Jego hełm dorównywał prostotą hełmowi legionisty, choć była niewielka, acz istotna różnica: na jego czubku tkwiła poprzeczna kita z końskiego włosa, kolejna oznaka podoficerskiego stopnia.

– Idź – odrzekł Cezar, odwzajemniając salut. Kiedy centurion wyszedł z namiotu, Cezar odwrócił się ku mnie.

– Pozwalasz mu na dużą swobodę, Gajuszu Juliuszu – powiedziałem, zarzucając formalny ton, bo byliśmy sami.

– Daję moim centurionom większą swobodę niż oficerom. Centurionowie to kościec legionu, Decjuszu. Oni, a nie tymczasowi dowódcy we wstęgach i z politycznego nadania. Owszem, kilku zasługuje na miano doskonałych żołnierzy, jak Carbo czy Labienus, jednak to na moich centurionach mogą całkowicie polegać.

– A czy na kimś jeszcze możesz polegać?

Dobrze zrozumiał sens mojego pytania, skoro odpowiedział następująco:

– O czym mówiło się w Rzymie, nim stamtąd wyjechałeś?

– Cóż, nie wyruszyłem bezpośrednio z Rzymu. Miasto nie jest dla mnie teraz bezpieczne i przed wyjazdem przeniósłem się do ojcowskiej posiadłości w Tuscji...

Cezar przerwał mi, machając niecierpliwie dłonią. – Nie obchodzi mnie, gdzie byłeś. W Rzymie czy w Atenach. Jesteś Cecyliuszem Metellusem i wiesz dobrze, na jakie tematy dyskutuje się na Forum. No więc?

– Mówi się, że twoi wrogowie wyrazili zgodę na twój przydział, gdyż są pewni, iż poniesiesz porażkę. I że Krassus i Pompejusz przeforsowali twój przydział w Zgromadzeniu i Senacie z tego samego powodu. I że wraz z armią wyschniesz w tej dziczy na wiór niczym owoce winnej latorośli, której krety podgryzły korzenie.

Spojrzał na mnie spod oka. – Nie jestem jeszcze gotów, by zamienić się w rodzynek. To, co powiedziałeś na początku, brzmi prawdziwie, ale mylisz się, co do reszty. Nie obawiaj się, mam pełne poparcie Pompejusza i Krassusa.

– I co ci po nim, Gajuszu Juliuszu? Wiesz dobrze, jak działa Pompejusz. Pozwoli ci się łaskawie wykrwawić, a w ostatniej chwili sprzątnie sprzed nosa chwałę zwycięzcy.

Cezar uśmiechnął się chłodno. – Tak wygląda polityka, ale ja jestem znacznie lepszym politykiem niż Pompejusz.

– Cóż... to prawda – przytaknałem.

– Decjuszu, a jak ci się wydaje? Dlaczego tak usilnie starałem się o urząd prokonsula?

– Dlatego że Galowie od lat przysparzają nam kłopotów. Pozwalają Germanom przeprować się przez Ren – odparłem. – Znosi się tu na wojnę, i to poważną, a wojna to chwała, łupy i tryumf.

Obdarzył mnie odrobinę cieplejszym uśmiechem. – Mówisz wprost. A czy nie sądzisz, że powoduje mną patriotyzm?

– Nie zamierzam obrazić twojej inteligencji podobnymi insynuacjami.

– I dobrze. Większość moich trybunów to lizusy. – Podeszedł bliżej i ujął moją dłoń. – Decjusz, ten przydział nie ogranicza się jedynie do rozprawy z Helwetami. Galia oferuje wspaniałą okazję! W Rzymie myślą, że kampania skończy się na wybatożeniu półnagich dzikusów, ale są w błędzie. Krassus prze do wojny z Partią, gdyż uważa, że jedynie podbój bogatych, cywilizowanych narodów to jedyny sposób, żeby się wzbogacić zarówno osobiście, jak i Rzym. Ale on również się myli.

– Zamierzam trzymać się jak najdalej od wojny Krassusa, jeśli w końcu dopnie swego.

– Słusznie. Zostań przy mnie w Galii. Powiadam ci, Decjusz, że ci, którzy udzielą mi teraz wsparcia, przez trzydzieści lat decydować będą w Rzymie o wszystkim, podobnie jak ongiś poplecznicy Sulli! – Wypowiedziane z werwą słowa zabrzmiały jak pusta przechwałka.

Rzecz jasna, Cezar zwracał się nie tylko do mnie, lecz także do całego rodu Cecyliuszów, o którego poparcie tak usilnie i rozpaczliwie zabiegał. Nie był przy tym zbyt subtelny. Moja rodzina stanęła za Sullą i odniosła dzięki temu znaczące korzyści.

– Wiesz dobrze, że marny ze mnie żołnierz, Gajuszu.

– I cóż z tego? Rzym wydaje na świat wielu żołnierzy. Jesteś człowiekiem o rzadkich i użytecznych talentach, o czym wielokrotnie zdarzało mi się napomknąć. – Ostatnie zdanie nie mijają się z prawdą. Cezar wypowiadał się o mnie pochlebnie w rozmowach z ludźmi, którzy uważali mnie za ekscentryka bądź skończonego błazna.

Nie poznawałem go. Przede mną stał inny człowiek niż ten, którego znałem z Rzymu. Mówił jak ktoś owładnięty żądzą podboju, choć

z pewnością nie prezentował się jak zdobywca. Wysoki, szczupły i łysiejący, sprawiał wrażenie słabeusza niezdolnego udźwignąć dowodzenia armią. Nosił zwyczajną, białą tunikę i jedynie legionowe sandały oraz sagum, żołnierski płaszcz, świadczyły o jego pozycji. Wystające spod ubrania nogi były patykowate niczym łapy bociana. – Rozważę twoje słowa – odparłem, w myślach zaś poprzysiągłem sobie, iż wyniosę się z Galii tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Doskonale. A teraz idź do swojego oddziału. Jazda zajmuje północno-wschodni narożnik obozu. Wybierz sobie stosowne wyposażenie z namiotów zaopatrzenia. A potem wróć tu na kolację. Wszyscy oficerowie, którzy nie pełnią warty i nie mają innych obowiązków, jadają w moim namiocie.

Zasalutowałem.

– Oddalę się zatem, prokonsulu.

Odwzajemnił pozdrowienie, a ja odwróciłem się, by odejść.

– Decjusz.

Obróciłem głowę.

– Prokonsulu?

– Zdejmij ten śmieszny strój. Przypominasz posąg stojący na Forum.

Nagle zdałem sobie sprawę, jak absurdalnie wyglądałby Cezar w pełnym rynsztunku: postać żywcem wyjęta z komedii Plauta, chodząca kpina z oficerskiego stanu. Z tego oto powodu Cezar wymagał, by jego legionieści ubierali się prosto. Jego próżność była równie sławna jak ambicja i skłonność do zaciągania długów. Nie mógł pozwolić, by w jego najbliższym otoczeniu ktoś prezentował się lepiej od niego.

E-book przygotowany przez Merlin.pl dla transakcji [11442904]

## ROZDZIAŁ 2

Poranek legionisty zaczyna się stanowczo za wcześnie. Gdzieś w obozie zabrzmiała tuba, a wydobywający się z niej dźwięk przypominał ryk wołu w agonii. Zbudziłem się na składanym obozowym łóżku, usiłowałem przypomnieć sobie, gdzie jestem. Podpowiedzi udzielił mi zapach skóry. Opuściłem ramię i potrząsnąłem Hermesem śpiącym na sienniku u mego boku.

– Hermesie – powiedziałem nieprzytomnym głosem. – Zabij tego błazna dmącego w róg. – Niewolnik stęknął i przewrócił się na drugi bok. Ktoś uchylił poły namiotu. Na zewnątrz nadal panowały ciemności, lecz na tle płonącego ogniska dostrzegłem ludzką sylwetkę.

– Czas na poranny patrol, drogi kapitanie – oznajmił jeden z moich galijskich podkomendnych.

– Mówisz poważnie? W tym mroku konie będą ślepe tak samo jak jeźdźcy. – Usiadłem na łóżku i kopnąłem Hermesa, który wymamrotał coś niezrozumiałe.

– Niebawem zrobi się jaśniej, rozśpiewają się ptaszki. Możesz mi zaufać, kochanieńki. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł, opuściwszy poły. Właściwie trudno oddać manierę, z jaką mówią ci prostacy Galowie, ale starałem się to możliwie wiernie odtworzyć. Chwyciłem Hermesa, uniosłem i mocno potrząsnąłem.

– Wstawaj, mały wieprzku! Potrzebuję wody. – Czuję w głowie



pulsujący ból. Stół Cezara zastawiony był skromnie, lecz nie brakowało wina. Hermes trochę zdołał nawet wynieść niepostrzeżenie z namiotu dowódcy.

– Ależ na zewnątrz jest jeszcze ciemno! – jęknął żałośnie.

– Lepiej szybko się do tego przyzwyczaj – poradziłem. – Dni, kiedy wylegiwałeś się, leniuchując do wschodu słońca, już się właśnie skończyły. Odtąd będziesz wstawał przede mną, by przygotować mi śniadanie i zagrzać wodę. – Spożywanie śniadań było jednym z tych egzotycznych, zdegenerowanych nawyków, za które odsądzano mnie w Rzymie od czci i wiary. Hermes wyszedł z namiotu na chwiejnych nogach. Po chwili usłyszałem rumor, a potem potok przekleństw; niewolnik upadł, potykając się o linę namiotu.

Zawiązałem sandały, wstałem i wystawiłem głowę na zewnątrz. Obóz budził się ze snu. Powietrze było chłodne, bo znajdowaliśmy się wysoko, a pora roku była wczesna. Owinąłem się szczelnie sagum służącym mi za koc. Hermes wrócił po chwili z wiadrem lodowatej wody. Opłukałem twarz, po czym przepłukałem usta, pozbywając się okropnego smaku, i poczułem się nieco lepiej.

– Przygotuj ekwipunek – poleciłem Hermesowi, ale okazało się, że mnie ubiegł. Pomógł mi wdziać przez głowę kolczugę; dwadzieścia funtów połączonych ze sobą żelaznych pierścieni zsunęło się po moim ciele, zakryło barki oraz uda tuż nad kolanami. Przypiąłem do pasa miecz i ciasno ściągnąłem sprzączkę, aby odciążyć ramiona. Z hełmem w ręku wyruszyłem na poszukiwanie moich podkomendnych.

Znalazłem ich przy ognisku, pochylonych nad koszem wypełnionym bochnami chleba i drewnianymi kubkami. Nad ogniem parował miedziany kocioł. Gdy podszedłem bliżej, spojrzął na mnie mężczyzna o ryzawych włosach.

– Dołącz do nas, kapitanie – powiedział. – Napij się. Posca rozwieje mgłę w twojej głowie.

– Dzień dobry, Loverniusie. Skoro nie ma nic lepszego, dobre jest, co jest.

Gal uniósł kubek, przypominający drewnianą misę, zanurzył go w kotle i wręczył mi. Upiłem łyk i wykrzywiłem się. Pewno miałem komiczną minę, bo Lovernius i pozostali Galowie roześmieli się gromko. Trzeba wiele lat spędzić w legionie, żeby przywyknąć do podgrzanego octu rozcieńczonego wodą. Na szczęście posca rzeczywiście stawiała na nogi.

Lavernius był arystokratą z plemienia Allobrogów i pobierał nauki w rzymskich szkołach. Golił się i przycinał krótko włosy na modłę rzymską, lecz jego twarz znaczyły tatuaże – biegnące od ucha do ucha paski. Świtało, tak jak zapowiedział budzący mnie żołnierz, i w rzedającym półmroku przyjrzałem się podkomendnym. Pretoriańską alę tworzyło stu jeźdźców, wokół ogniska zaś zgromadziło się ich mniej więcej dwudziestu. Większość nosiła długie włosy i zwisające wąsiska, które cywilizowani ludzie uważają za ohydne i odrażające. Mieli tatuaże o wymyślnych wzorach, lecz żaden, na szczęście, nie wymazał sobie skóry farbą. Na kolorowe tuniki, pasiaste i kraciaste, narzucili krótkie kolczugi bez rękawów. Pasy opinające ich biodra zdobiły misternie rzeźbione i wykonane z brązu płytki. Wszyscy nosili piękne żelazne hełmy z małymi rogami i kołami. Przyznaję to z ogromną przykrością – Galowie znają się na obróbce metali lepiej niż Rzymianie. Wszyscy jeźdźcy mieli na szyi ozdoby wykonane z brązu, srebra bądź złota, przypominające otwarte obręcze.

Pomimo tatuaży, wąsów i barbarzyńskich ozdób byli raczej przystojni, tak jak większość Galów. Górowali nad Rzymianami wzrostem, a wydawali się jeszcze wyżsi, gdyż chodzili z wyprostowanymi plecami i żaden się nie garbił. Będąc wojownikami należeli z definicji do wyższej warstwy. Jako

jeźdźcy uznawali siebie za lepszych od zwykłych piechurów.

Wbrew powszechnej opinii nie wszyscy Galowie byli jasnowłosi bądź rudzi, choć blondynów z pewnością spotykało się u nich najczęściej. Mniej więcej połowa moich podkomendnych miała włosy, które Rzymianin określiłby mianem galijskich. Poza tym mieli czupryny w rozmaitych odcieniach brązu, jeden zaś czy dwóch – czarne niczym Egipcjanie, lecz karnacją jasną.

Legioniści sami wypiekali chleb. Bochny były ciężkie, suche i niesmaczne. Odłamałem kawałek chleba i namoczyłem w posce, by móc go zjeść. Galowie przypatrywali mi się bacznie, tak samo jak ja im.

– Przemówicie do żołnierzy przed wyjazdem, kapitanie? – zapytał Lovernius.

– Owszem – odparłem, po czym przełknąłem ostatni kęs chleba i cisnąłem na ziemię kubek. – Słuchajcie, bando owłosionych drani. Stoi przed wami senator Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy. Z woli senatu i ludu rzymskiego władam odtąd waszym życiem i śmiercią. Nie żądam od was wiele, prócz całkowitego posłuszeństwa, i nie obiecuję niczego, prócz śmierci w razie porażki. Ochroniajcie mnie w polu, a ja będę o was dbał w pretorium. Dopóki będę waszym dowódcą, nie zabraknie wam łupów, ale nie unikniecie kary, jeśli nie staniecie się najlepszą alą tego legionu. Nie pozwólcie, by naszpikowano mnie strzałami, a ja dopilnuję, żeby wasze plecy omijał bat. Zrozumiano?

Żołnierze lubią, gdy mówi się do nich w ten sposób. Czują się wówczas prawdziwymi mężczyznami. Siedzący przede mną Galowie wyszczerzyli zęby w uśmiechu i pokiwali głowami. Wywarłem na nich dobre wrażenie.

Ich wierzchowce wydały mi się niskie i brzydkie, lecz przecież Rzymianin przyzwyczajony jest do widoku wspaniałych zwierząt, hodowanych wyłącznie z myślą o wyścigach rydwanów. Galowie swoim

koniom nie przycinali ani nie związywali grzyw i ogonów, toteż miały na grzbietach skołtunioną po zimie sierść i daleko im było do ideału końskiej urody. Wystarczył mi jednak jeden rzut oka, by zrozumieć, że doskonale się nadają do tutejszych warunków terenowych.

Jeźdźcy podeszli do wierzchowców i zaczęli głaskać je po grzbietach, szepcząc przy tym czułe słowa. Galowie wielbią swoje konie niczym kochanki. Dorobili się nawet bogini koni o imieniu Epona, której, co stwierdzam ze smutkiem, brakuje w panteonie rzymskich bóstw. Większość ich świąt związana jest jakoś z końmi.

Najmłodszy żołnierz, chłopiec o imieniu Indiumix, odpowiadał za oporządzanie i osiodłanie mojego wierzchowca. Podszedł do mnie ze zwierzęciem, gładząc je po grzbiecie, i z dumą w głosie zachwalał jego rozliczne zalety. Po satysfakcjonujących oględzinach konia wskoczyłem mu na grzbiet. W tej samej chwili kolczuga wpiła mi się boleśnie w biodra i zanotowałem w myślach, że muszę oddać ją do zbrojmistrza, aby naciął ją po bokach.

Wyjechaliśmy z obozu przez północną bramę, Porta Decumana. Dotąd uważałem siebie za doskonałego jeźdźcę, lecz Galowie sprawili, iż poczułem się jak niezdara. Wszyscy jak jeden mąż przypominali w siodłach centaurów. Każdy uzbrojony był w długi miecz, lancę i kilka oszczepów przytroczonych do siodła, zaś na plecach trzymał płaską owalną tarczę. (Powinienem w tym miejscu zaznaczyć, iż imiona, jakimi ich nazywamy, są jedynie przybliżoną wersją ich imion, których nie sposób poprawnie wymówić ani napisać. W języku galijskim występują bowiem głoski nieistniejące w łacińskim alfabecie. Dlatego też jeden i ten sam galijski wódz może występować w kronikach pod odmiennymi imionami, w zależności od danego kronikarza).

Skierowaliśmy się na wschód, w stronę jeziora. Lovernius objaśnił, że do

ich obowiązków należało przeprowadzenie porannej inspekcji wału i odbieranie raportów od oficerów na warcie. Na szczęście nie musieliśmy w tym celu przemierzyć całej dziewiętnastomilowej palisady – oficerowie odpowiadający za zachodni kraniec mieli się z nami spotkać w połowie wału. Co mila napotykaliliśmy małe obozy wojsk pomocniczych. Żołnierze lekkiej piechoty i jazdy z pewnością nie czuli się bezpiecznie z dala od dużego obozu, chociaż wartownik zawsze powinien być czujny.

Straże przy jeziorze zameldowały, że barbarzyńcy nie próbowali przedostać się nocą za wał. Identycznych raportów wysłuchaliśmy, podążając wzdłuż palisady. Wróg krył się w mroku, wykrzykując przekleństwa i klątwy. Legioniści opowiadali o tym z pogardą w głosie, ale byłem pewien, że nocą ściskają ze strachu drzewce oszczepów i z szeroko otwartymi oczami wpatrują się w ciemności, skąd dobiegały niezrozumiałe słowa.

Około południa dojechaliśmy do małego stawu i postanowiliśmy napić konie. Przekazałem wodze Indiumixowi i ruszyłem pieszo brzegiem, chcąc rozprostować kości. Napięte od jazdy mięśnie ud bolały mnie przy każdym kroku. Nagle kątem oka dostrzegłem w wodzie błysk.

Wszedłem do stawu, stanąłem na płaskim kamieniu i pochyliłem się nad wodą. Coś migotało na płyciźnie. Przykłęknąłem i zanurzyłem dłoń, lecz magiczne właściwości wody wykrzywiły jej obraz. W końcu jednak wyłowilem błyszczący przedmiot. Była to przepiękna fibula, galijska zapinka wykonana ze szczerego złota. Uradowany znaleziskiem, pospieszyłem w stronę moich ludzi.

– Ktoś zgubił całkiem dobrą zapinkę. – Uniosłem fibulę nad głową, by mogli podziwiać jej misterną robotę. – Jego pech, moje szczęście! – Ku memu zdziwieniu Galowie spoglądali na mnie zdumieni i gniewni.

– Niech pan to wrzuci z powrotem do stawu, kapitanie – powiedział cicho Lovernius. – W wodzie żyje duch. Ktoś złożył zapinkę w ofierze. Może

szkował się do bitwy.

Zerknąłem na złoty przedmiot z żalem. – Kto wie, może ten ktoś od dawna nie żyje i nie potrzebuje już ochrony wodnego ducha.

Lovernius potrząsnął głową. – Śmierć czeka tych, którzy zabierają ofiary przeznaczone dla bogów. Ta zapinka mogłaby leżeć setki lat na widoku i nikt nie ośmieliłby się jej podnieść.

Widziałem na własne oczy, jak Galowie wrzucają do stawów małe monety na dobrą wróżbę, ale nie sądziłem, że traktują ten zwyczaj tak poważnie. Westchnąłem z rezygnacją i cisnąłem fibulę do stawu – wpadła do wody z cichym pluskiem. Nie zamierzałem narażać się na gniew tutejszych bóstw. Wojownicy uśmiechnęli się i pokiwali głowami, zadowoleni, że uszanowałem ich obyczaje. Dodam, iż działałem we własnym interesie. Jestem pewien, że gdybym zachował broszę, zabiliby mnie cichaczem i zrzucili winę na Helwetów.

Gdy ponownie dosiedliśmy koni, Lovernius wyjaśnił mi, jak ważną rolę odgrywa u Galów ten aspekt ich religii. Zdarza się, że przed bitwą wojownicy obiecują bogom złożyć w ofierze całą armię nieprzyjaciela w zamian za zwycięstwo. Po bitwie nie oszczędza się nikogo. Wraz z ciałami pokonanych wrzuca się do stawów i bagnisk ich broń, zbroje, wozy i skarby, konie, bydło i niewolników, żeby w rękach zwycięzców nie pozostała nawet jedna miedziana moneta czy skrawek płaszcza. Wszystkie łupy oddaje się bogom.

Głębiej w lasach napotkać można miejsca, gdzie stosy bitewnych trofeów, przeleżawszy wieki, zapadają się z wolna w bagno. Lovernius opowiedział mi o straszliwych karach wymierzanych tym, którzy ośmielili się przywłaszczyć choćby najmniejszy przedmiot. Poprzysiągłem sobie, że nigdy nawet nie spojrzę w stronę takiego przeklętego skarbu.

Dochodziło południe, kiedy wróciliśmy do obozu. Złożyłem raport Tytusowi Labienusowi, legatowi i zastępcy Cezara, po czym udałem się na

poszukiwania balwierza. Nie zamierzałem powierzać mego cennego gardła niedoświadczonym rękóm Hermesa.

Ogolony zmierzałem wzdłuż namiotów ku mojej kwaterze, z myślą o czekającym mnie posiłku, bo burczało mi w brzuchu, gdy wtem usłyszałem krzyk.

– Patronie!

Rozejrzałem się. Znajdowałem się w pobliżu pretorium, w narożniku placu zajmowanego przez legionistów jednej z centurii. W obozie panował ruch i zgiełk typowy dla takiego miejsca. Legioniści w pełnym oporządzeniu maszerowali, by zluzować stojących na warcie kompanów, inni zamiatali ulice, jeszcze inni krążyli w tę i z powrotem, wypełniając rozkazy. W trakcie dnia żołnierz ma niewiele wolnego czasu. Każdego dnia w obozie wprowadzane są jakieś ulepszenia. Buduje się nowe latryny, a nawet łaźnie, jeśli legion zamierza na dłużej pozostać w jednym miejscu. Nie zaszkodzi też, co rozumie się samo przez się, pogłębić trochę dół, by usypać wyższy wał. Żołnierze, którym akurat nie przydzielono obowiązków, mogą zająć się okorowywaniem i ostrzeniem pali wbijanych w dno dołu.

– Patronie! – zawołał ktoś z grupy legionistów napinających liny dużego namiotu, z całą pewnością należącego do centuriona, który nie wykonywał żadnych prac niegodnych jego statusu. Nieznany mi żołnierz odłączył się od towarzyszy i biegł w moim kierunku. Minęła chwila, nim go rozpoznałem.

– Młody Burrus! – Uścisnąłem mu dłoń. Był synem klienta naszej rodziny, starego wiarusa, który służył ze mną w Hiszpanii. – Zamierzałem cię odnaleźć. Mam dla ciebie listy od rodziny. – Przywiozłem ze sobą pół tuzina listów dla synów naszych klientów, służących w legionie. – Ilekroć rozchodzi się wieść, że do Galii wybiera się oficer ze stolicy, musi wziąć na siebie rolę kuriera przewożącego pocztę. Burrus nie był jednak nikim obcym, bo należał do rodziny klienta, który parę razy pomógł mi w mało przyjemnych

sytuacjach.

– Co słytać u mojego ojca? – spytał i uśmiechnął się, ukazując szczerbę w górnych zębach.

– Złośliwy jak zawsze. Ironizuje, że masz tutaj łatwe życie, bo żołnierka dziś to nie to samo, co za jego czasów.

– Cały on, stary drań – skomentował.

– Gdy ostatni raz widziałem Lucjusza Burrusa, był jeszcze chłopcem. Teraz stał przede mną przystojny młodzieniec średniego wzrostu, o krzepkiej budowie italskiego chłopca. Słowem, istny rekrut. Dopiero po chwili dostrzegłem, że jest posiniaczony.

– Muszą was tu okropnie ćwiczyć – stwierdziłem.

Zamrugnął i popatrzył na mnie baranym wzrokiem. – To nie tak. To... – zawiesił głos, i odwrócił głowę w kierunku dużego namiotu, a ja w ślad za nim. Legioniści przerwali nagle wykonywane czynności. Oto u wejścia objawiła się postać bogini.

Jakimi słowami opisać doskonałość bogini, zwłaszcza barbarzyńskiej? Była wysoka, górowała wzrostem nad wszystkimi mężczyznami. Była nieco wyższa ode mnie, a że miałem sandały na grubej podeszwie, nasze oczy znajdowały się na tej samej wysokości. Była niewątpliwie piękną, aczkolwiek o owym pięknie stanowiła suma mankamentów: podłużna i wąska szczęka, zbyt blisko osadzone oczy, długi i cienki nos, zbyt szerokie usta o wydatnych wargach, spomiędzy których łyśkały duże zęby. A jednak jej uroda porażała.

Miała gęste, złote włosy, które niczym płaszcz okrywały jej ramiona i plecy, sięgając bioder. Kontrastowały z nimi proste, ciemne brwi. Jej oczy miały barwę lodowatego błękitu. Jasna karnacja jej skóry była bledsza niż Galów, jaśniejsza od bieli togi. Ciało bogini, widoczne spod skąpej tuniki zszytej z rudych lisich skór, kojarzyło się z batem woźnicy rydwanu, było



równie gibkie, sprężyste i silne.

Nie da się ukryć, że zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Zresztą nie tylko na mnie. Stała przed namiotem, trzymając na ramieniu pękaty dzban o szerokim dnie, świadoma skierowanych na nią oczu i pełna pogardy dla patrzących. Nie przypominała w tym bogini, zachowywała się niczym bóstwo. Zazwyczaj atleta prezentuje się w ruchu dobrze, lecz ledwie garstka śmiertelników przypomina wtedy bogów. Rzymscy politycy latami próbują wyuczyć się podobnego dostojństwa i opanowania.

Ja syciłem oczy widokiem bóstwa przyobleczonego w smukłe ciało germańskiej niewolnicy... Moje kosmate myśli przerwał niespodziewany odgłos uderzenia, któremu towarzyszył wrzask człowieka padającego na ziemię. Obróciłem się na pięcie i zobaczyłem gramolącego się z czworaków Burrusa. Nad nim stał Tytus Winiusz z kijem w ręku, uniesionym nad głową, którym począł okładać plecy legionisty. Centurion zapewne namoczył go w oliwie, gdyż wyginając się, nie łamał.

– Za mało masz zajęć, leniwy gnojku? – wrzasnął, czemu towarzyszyły trzy uderzenia.

Oficer nie powinien się wtrącać, gdy centurion dyscyplinuje swoich podkomendnych, lecz uznałem, że sprawy zaszły za daleko. Chwyciłem Winiusza za nadgarstek, zanim zdołał zadać kolejny cios. Nosił na przegubie srebrną bransoletę, nagrodę za zasługi odniesione w bitwie.

– Wystarczy, centurionie! To mój klient. Przekazywałem mu wieści z domu.

W jego wzroku dostrzegłem błysk szaleństwa. – Dla mnie to on może być nawet najwyższym kapłanem Jowisza! Ale widziałem, jak się zachowywał! A teraz puść moje ramię, kapitanie. Mieszasz się w sprawy, które cię nie dotyczą. – Odniosłem wrażenie, iż odzyskał panowanie nad sobą i puściłem nadgarstek. Opuścił kij, lecz kopnął Burrusa w żebra czubkiem podkutego

ćwiekami sandała.

– Wstawaj, Burrus! Skoro nie masz niczego lepszego do roboty, niż gapienie się na moją własność, dołączysz do oddziału kopiącego latryny. – Powiódł gniewnym wzrokiem po pozostałych legionistach. – Wam też mam znaleźć zajęcie? – Żołnierze rzucili się do gorączkowej pracy, spoglądając na boki, byle nie na centuriona i kobietę. Zauważyłem, iż każdy z nich nosi na skórze sińce, choć żaden nie był tak straszliwie pobity jak Burrus. Niewolnica przeszła obok nas, nie zaszczycając nas choćby jednym spojrzeniem, jakbyśmy w ogóle nie istnieli. Nawet w zaistniałych okolicznościach musiałem wysilić wolę, by nie podążyć za nią oczami.

Burrus dźwignął się na nogi, garbiąc się z bólu. Jego twarz pokraśniała z gniewu i upokorzenia. Unikał mojego wzroku, a ja czułem zażenowanie, zmuszony do przyglądania się wymierzanej mu karze. Podniósł broń z piramidki oszczepów i zniknął za namiotem.

– Przesadziliście, centurionie – powiedziałem, starając się nadać głosowi opanowany ton. – Nie spał przecież na warcie.

– Traktuję swoich ludzi, jak uznam za stosowne, kapitanie – odparł, wypowiadając ostatnie słowo z niewiarygodną wręcz pogardą. – Lepiej o tym pamiętajcie.

– Chyba się zapomnieliście, Tytusie Winiuszu – rzekłem wyniośle, czyli jak na Cecyliusza Metellusa wynioślej niż zazwyczaj.

Wykrzywił nieznacznie wargi. – Służycie teraz w armii Cezara, Metellusie. Cezar pojmuje znaczenie centurionów. To my zapewnimy mu zwycięstwa, a nie chłystki z politycznego nadania strojące się w purpurowe wstęgi.

Zapragnąłem dobyć miecz i przebić go na wylot, lecz uznałem, iż Cezar skazałby mnie za to na śmierć. Winiusz nie złamał prawa wojskowego. Postanowiłem odwołać się do jego rozsądku.

– Skoro nie chcecie, by legioniści ślinili się na widok waszej niewolnicy, odziejcie ją przyzwoicie. Ta kobieta wystawia na szwank morale całej armii.

– Swoją własność traktuję jak mi się podoba – warknął.

– Mnie nie potraktowałeś kijem, Winiuszu – zauważyłem. – A przecież gapiłem się na nią jak i reszta.

– Nie jesteście moim podkomendnym – odrzekł, uśmiechając się krzywo.  
– Poza tym jesteście rzymskim oficerem. Możecie patrzeć do woli, byle nie przyszła wam ochota dotknąć.

Odwołanie się do jego stopnia nie zadziało, a próba przemówienia do rozsądku zawiodła z kretesem. Pozostało jedynie liczyć na chciwość centuriona. Sięgnąłem do sakwy u pasa. – W porządku, Winiuszu. Ile chcecie za zostawienie chłopaka w spokoju?

Splunął mi pod nogi. – Zatrzymaj swoje pieniądze, nobilu. Chłopak należy do mnie, kobieta należy do mnie, a po prawdzie, cały ten legion też. Jestem Pierwszą Włócznią Dziesiątego Legionu. Prokonsulowie przychodzą i odchodzą, a Pierwsza Włócznia zostaje.

Zaniemówiłem z wrażenia. Po raz pierwszy spotkałem centuriona, który odmówił przyjęcia łapówki. – Porozmawiam o tym z Cezarem.

– Proszę bardzo. Wy politycy, tylko do tego się nadajecie. Do gadania.

Za plecami centuriona dostrzegłem niskiego człowieka. Stał u wejścia do namiotu, tam gdzie pojawiła się wcześniej germańska niewolnica. Ubawiony moją konsternacją, szczyrzył zęby w prześmiewczym uśmiechu. Skołtunione włosy sterczały mu na wszystkie strony. Odwróciłem wzrok. Sprawy przyjęły nieprzyjemny dla mnie obrót, toteż nie miałem ochoty przyglądać się pokracznemu karłowi.

Obróciłem się na pięcie i odszedłem. Miałem ochotę powiedzieć coś uszczypliwego, lecz byłem świadom, że dowiodłoby to jedynie mojej słabości i bezradności. Winiusz nie roześmiał się – przynajmniej głośno – za

moimi plecami.

Przytoczona wymiana zdań może wydać się zmyślona tym, którzy obracają się w okolicach Forum, jednakże armia to całkowicie inny, odmienny świat. Legionista, dosłużywszy się stopnia centuriona, zyskuje nietykalność trybuna ludowego. Oczekuje się od niego wymierzania surowych kar i rzadko karze za okrucieństwo wobec podkomendnych. Wolno mu z nimi robić wszystko, byle nie pozbawić życia. Branie łapówek w zamian za darowanie kary i przydział do mało męczących zadań to tolerowany od lat po cichu przywilej płynący ze stopnia. Jedynym powodem do ukarania centuriona jest tchórzostwo okazane na polu bitwy, a o centurionach powiedzieć można wszystko, prócz nazwania ich tchórzami.

Pod względem siły charakteru i braku skrupułów nie mają sobie równych. Ludziom często się wydaje, że na miano twardych zasługują uliczni przestępcy i gladiatorzy, lecz wygłaszają podobne opinie, gdyż nigdy nie spotkali rzymskiego centuriona, który dwadzieścia lat swego życia oddał armii i wojaczce. Każdy legion liczy sześćdziesiąt centurii, każdą dowodzi centurion, a stanowisko Pierwszej Włóczni przypada zazwyczaj najtwardszemu twardzielowi.

Zapomniawszy o głodzie, udałem się do zbrojmistrza, by poprawił kolczugę, a przy okazji chciałem ochłonać ze wzburzenia. Wiedziałem, że postąpię nierozsądnie, rozmawiając z Cezarem, gdy głowę będę miał wypełnioną gniewnymi myślami. Zbrojmistrz zabrał się do pracy, a ja przejrzałem zgromadzony przez niego używany oręż. Nim udało mi się wyszukać odpowiednią broń, odzyskałem moje filozoficzne podejście do życia. Zakupiłem długi galijski miecz w całkiem dobrym stanie, który nadawał się znacznie lepiej do konnej jazdy niż moja broń, a także wysłużony, lecz solidny gladius wraz z oprzyrządowaniem.

Przed namiotem czekał na mnie Hermes. Rozłożył posiłek na składanym

stoliku i przysunął do niego składane krzesło. W obozie wojskowym nie znajdziecie bardziej przydatnego przedmiotu niż wygodne rozkładane krzesło. Usiadłem i zapomniałem o zmartwieniach, a Hermes nalał mi rozcieńczonego wina z moich osobistych zapasów. Sprawiał wrażenie osobliwie podekscytowanego.

– Panie, zdaje mi się, że dziś widziałem w obozie boginię! Pewnikiem Wenus. Czy Cezar nie twierdzi przypadkiem, że jego ród wywodzi się od Wenus? Może złożyła mu wizytę?

Upiłem długi łyk i westchnąłem. – Hermesie, czy naprawdę sądzisz, że Wenus paraduje pośród śmiertelników odziana w zwierzęce skóry?

– Mnie też wydało się to dziwne, ale bogowie zachowują się przecież inaczej niż my.

– Widziałeś dziś germańską niewolnicę. Ja też ją widziałem. – Wspomnienie o niej było tak samo realne i namacalne jak stojący przede mną puchar. Nawet barbarzyński zwyczaj ubierania się w skóry nie umniejszył jej urody.

Hermes uśmiechnął się szeroko. – Naprawdę? W takim razie ci Germanowie nie są wcale tacy źli!

– Tak myślisz? Ta kobieta z łatwością złamałaby twój kręgosłup na swym kształnym kolanie. Wyobraź sobie, jak wyglądają ich mężczyźni.

– O, nie pomyślałem o tym.

Uniosłem wskazujący palec w ostrzegawczym geście. – Hermesie, to bardzo ważne. Pod żadnym, powtarzam, pod żadnym pozorem nie gap się na nią.

– Pan mówi poważnie? – spytał, napełniając opróżniony puchar. – Mężczyźni ślinią się, gdy ich mija.

– A jednak, ty będziesz zachowywał się powściągliwie. Będziesz patrzył w ziemię, a nie na nią, tak jak to masz robić, gdy odwiedzają mnie

znamienici goście, choć wiem, że nigdy mnie nie słuchasz, ty podły mały łajdaku. – Pochyliłem się, podniosłem krótki miecz i cisnąłem w jego kierunku. Złapał za pochwę i spojrzał na mnie pytająco.

– Mam go wyczyścić? Jest gorszy od pańskiego miecza.

– Ten kupiłem dla ciebie – odparłem. – Zamierzam posłać cię do instruktora, żeby cię nauczył władać mieczem. Najwyższy czas, byś się nauczył, jak się obchodzić z bronią.

Promieniał radością, a w myślach z pewnością dorównywał już Horacjuszowi.

– Bez głupich pomysłów – ostrzegłem go. – Podjąłem taką decyzję, gdyż będziesz mi towarzyszył w strefie wojennej i na terenach rojących się od bandytów. Nie wolno ci nosić broni w mieście, a w szczególności w Rzymie, o ile nie chcesz skończyć jako dekoracja na jednym z krzyży ustawionych przed bramami.

Pobladł na twarzy, jak to zwykle niewolnicy na pierwszą wzmiankę o krzyżu.

– Nie lękajcie się, panie!

– Świetnie. A teraz powiedz mi, co będzie na obiad.

E-book przygotowany przez Merlin.pl dla transakcji [11442904]

## ROZDZIAŁ 3

Tego popołudnia wyjechaliśmy z obozu w pełnej sile; około stu jeźdźców. Wyminęliśmy długą palisadę i znaleźliśmy się na łące porośniętej krzewami. Przeprowadziliśmy zwiad, wyglądając Helwetów skradających się brzegiem jeziora, by zorientować się, czy się sposobią do nocnego ataku. Rozwinęliśmy długą linię i powoli przeczesywaliśmy obszar za wałem, zwracając szczególną uwagę na miejsca odpowiednie do zasadzki.

Kilka razy wypłoszyliśmy z krzaków dwóch czy trzech młodzieńców wymalowanych niebieską farbą, a moi jeźdźcy puszczali się za nimi w pogoń, krzycząc i wrzeszcząc, jakby polowali na szaraki. Galowie umykali niczym spłoszone zające, pospiesznie przebierając nogami w kolorowych spodniach, i śmieli się w głos ze ścigających ich konnych. Nie spotkałem dotąd ludzi, którzy by traktowali wojnę niczym zawody jak owi Galowie. Moi podkomendni wracali z jasnowłosymi głowami wrogów, przytroczonymi do siodeł.

W połowie patrolu dostrześliśmy grupę Galów na koniach. Przed nimi podążali heroldzi, trzymając w dłoniach kije oplecione gałązkami bluszczu. Jeźdźcy byli posłami zmierzającymi na rozmowy z Cezarem. Trzymali się w siodłach prosto, z godnością, ignorując przemykającą obok nich ludzką zwierzynę i pędzących za nią łowców. Dostrzegłem wśród nich mężczyzn, którzy wyglądali inaczej niż galijska starszyzna: mieli długie brody, nosili białe szaty i srebrne diademy na głowach, podczas gdy towarzyszący im

wojownicy byli odziani w zwierzęce skóry. Przypominali Galów, lecz nie zdobili ich ani tatuaże, ani naniesione farbą wzory.

Podjechałem do Loverniusa. – Kim są ci ludzie jadący z posłami?

– Siwobrodzi w białych szatach? To druidzi – odparł. Owszem, słyszałem o tych kapłanach i wróżbitach, ale dotąd nie dane mi było ich spotkać. – Pozostali to Germanie, ludzie Ariowista.

– Króla Germanów? Słyszałem jego imię wypowiedane podczas debaty w senacie. Co jego ludzie robią po tej stronie Renu?

– Tylko tyle wiedzą w Rzymie? – zaśmiał się gorzko. – Kapitanie, Ariowist wraz z setką tysięcy wojowniczych Germanów osiedli na lewym brzegu Renu już dobre parę lat.

– Co takiego?! Jak do tego doszło? – dopytywałem się z przerażeniem.

– Wiecie z pewnością, że w Galii zwalczają się głównie dwa ugrupowania plemienne. Jednemu przewodzą Eduowie, mój lud, drugiemu mieszkający nad brzegiem Renu Arwernowie.

– Tak, tyle wiem. Słyszałem też, że Eduowie wygrywali z Arwernami, aż ci wsparli się siłami germańskich najemników. To jeden z powodów tego, że Cezarowi powierzono dowództwo. Nikt nie zająknął się jednak o stu tysiącach wojowników i ich królu! Jaki duch opętał Arwernów, że się do tego posunęli?

– Przegrywali, a przegrywający posuwają się do desperackich decyzji. Poza tym – dodał, wzruszając ramionami okrytymi kolczugą – są spokrewnieni z Germanami.

Najpierw powinien był coś wyjaśnić. My, Rzymianie, uznajemy ludy żyjące na zachód od Renu za Galów, a na wschód za Germanów. Uproszczenie to jest pomocne, choć niedokładne. W rzeczywistości trudno odróżnić jednych od drugich. Ludy te żyją w sąsiedztwie od wieków, a na terenach przygranicznych żenią się między sobą i obyczaje się przenikają.



Można więc natknąć się na osadę, której mieszkańcy noszą wąsy i kolorowe ubrania, zdobią twarze tatuażami, chociaż słyszy się tam wyłącznie język germański. W Galii zaś spotyka się ludzi, którzy zapuszczają na germańską modłę brody i odziewają się w zwierzęce skóry.

Podobne zjawiska dotyczą także naszych morskich wybrzeży. Na przestrzeni czterech wieków wiele ludów przejęło zwyczaje, sprzęty i ubiory Greków. Dzisiaj zaś powszechne jest naśladowanie Rzymian. Prymitywne plemiona często uznają cudzą wyrefinowaną kulturę za bardziej interesującą od własnej, natomiast wojownicy, którzy uważają, iż ich lud zatracił swój charakter, przejmują z kolei obyczaje i sposób życia gorszych od siebie barbarzyńców.

– Bardzo osobliwa mieszanka – skomentowałem. – Ale skąd druidzi?

– Doradzają Helwetom. Służą radą w podejmowaniu ważnych decyzji.

Pociągnąłem za wodze, a koń wyminął błotną kałużę. – My postępujemy podobnie – wtrąciłem. – Radzimy się augurów, wypatrujemy znaków i staramy się, by odprawiono stosowne rytuały, zanim podejmiemy zasadniczą decyzję i przystąpimy do działania.

– To nie do końca tak. Druidzi służą radą w sprawach ziemskich i zajmują się gromadzeniem wiedzy, historii, zbieraniem legend i tradycji naszych ludów.

Po raz pierwszy usłyszałem, że druidzi są kimś więcej niż zwykłymi kapłanami. – Czy jakoś wpływają na politykę? – Nie byłem pewien, czy Gal właściwie zrozumie zadane pytanie.

– Królowie ich słuchają.

– Nawet germańscy królowie?

Zaśmiał się. – Nigdy! Germanowie uznają tylko potężnych bogów, których mogą zobaczyć na własne oczy: słońce i księżyc, a także błyskawicę, no i jeszcze piorun i burzę.

I wtedy wypłoszyliśmy kolejną grupę wojowników i puściliśmy się za nimi w pogoń.

Kiedy wróciliśmy pod wieczór do obozu, zauważyłem kupieckie wozy i kramy rozstawione na forum. Legioniści niebędący na służbie przemykali pomiędzy nimi, kohorta po kohorcie, kupowali potrzebne rzeczy lub marnotrawili żółd na byle co. Odprawiłem swoją alę, a jeźdźcy, którzy zdobyli podczas patrolu trofea, pospieszyli do kompanów, by pochwalić się uciętymi głowami wrogów. Dla Galów są one szczególnie ważne, tak że dekorują nimi świątynie, a nawet własne domostwa. Uważają, że w ludzkiej głowie mieści się odwaga i mądrość. My, Rzymianie, sądzimy z kolei, iż ludzkie cnoty mieszczą się w wątrobie. Jakoś nie mam w tej kwestii zdania, ale bardzo niechętnie rozstałbym się z którąkolwiek częścią mego ciała.

Tego wieczoru Cezar ugościł posłów kolacją, toteż mogłem im się lepiej przyjrzeć. Helwecka starszyzna nosiła kosztowne płaszcze i ciężkie ozdoby, wykonane ze złota. Druidzi, wyróżniający się ubiorem spośród Galów, nosili brody – dwóch starszych kapłanów siwe i długie, trzeci, młodszy, rudą bródkę. W przeciwieństwie do towarzyszy nie miał na głowie srebrnego diademu, i uznałem, że jest uczniem lub akolitą. Ich smukłe dłonie o długich palcach najwyraźniej nie splamiły się nigdy pracą fizyczną. W długich białych szatach i z kosturami w dłoniach przypominali heroldów.

Trzej Germanowie byli wysokimi, barczystymi mężczyznami o włosach niemal białych lub barwy ciemnego złota. Mieli jasną karnację, lecz teraz ich skóra zaczerwieniła się od słońca. Zapowiadała się zimna noc, lecz oni mieli na sobie jedynie lekkie tuniki wykonane z wilczych skór i skórzane spodnie sięgające kolan. Opierali się na włóczniach wykonanych w całości z żelaza, a u pasów mieli długie miecze. Wodzili dookoła oczami tak błękitnymi, że nawet można by ich uznać za ślepców, co było złudzeniem, gdyż lustrowali obecnych byстрым wzrokiem.

W dużym kamiennym amfiteatrze w Kapui widziałem kiedyś hyrkańskiego tygrysa, pierwszy okaz przywieziony do Italii. Dzikie zwierzę dostojnie wkroczyło na arenę, a mnie poraziło piękno jego ciała. A że całkowicie ignorował otoczenie, kojarzył się z ospałym, leniwym lwem. Nagle wzrok tygrysa padł na potężnego byka. Niczym złocista błyskawica tygrys przemknął przez arenę i z łatwością powalił większego od siebie buchaja. Przez lata był ulubieńcem tłumów. W moim pojęciu ucieleśniał okrucieństwo śmierci.

Widok Germanów skojarzył mi się z tygrysem. Nie przypominali w niczym zgalicyzowanych pobratymców zamieszkałych nad brzegami granicznej rzeki. Byli prawdziwi – dzikusy z leśnych gęstw rozciągających się na wschód od Renu.

Cezar zorganizował bardziej wystawną kolację niż poprzedniego wieczoru, lecz nie nazwałbym jej ucztą. Co prawda od handlarzy na forum zakupiono trochę przysmaków, a legionieści upolowali w lesie odyńca, lecz posłom nie smakowały najwyraźniej ani oliwki, ani *garum*, sfermentowany rybi sos ze względu na jego zapach i smak. Cóż, niełatwo dogodzić wszystkim gustom. Zauważyłem, że druidzi nie tykali zwierzęcego mięsa, nie jedli nawet jajek.

Gdy kolacja dobiegła końca, Cezar przystąpił do rozmów. Pierwszy zabrał głos Helwet stojący na czele poselstwa. Nosił fałdzisty płaszcz w misterne wzory kraciaste i pasiaste, przecinające się i zachodzące na siebie. Owinął się nim, chroniąc przed wieczornym chłodem. Płaszcz miał spięty na ramieniu złotą broszą o średnicy jakichś ośmiu cali. Jego słowa tłumaczył rzymski kupiec zamieszkały od urodzenia w Galii, ja zaś zatrzymałem przy sobie Loverniusa, by upewnić się, czy jest to wierny przekład.

Nie będę się starał odtworzyć wyszukanego stylu, figur retorycznych i pustosłowia cechujących wystąpienie posła, gdyż zamiłowanie Galów do

wyłaszczania przemówień przewyższa pod tym względem upodobanie Rzymian. Skupię się na sensie tego, co ów poseł powiedział, i podam jego słowa w skrócie. Zacytuję jednak sam początek:

– Czcigodny prokonsulu, ja, Nammejus, wódz Helwetów, przemawiam do ciebie w imieniu sławnego, potężnego i niepokonanego ludu, sprawiedliwego dla sąsiadów, czujnego w czasach pokoju i srogiego w czasach wojny, o donośnym i dźwięcznym głosie, hojnego, szlachetnego i dumnego. – Po tym cytacie łatwo można sobie wyobrazić, jak nudna i rozwlekła byłaby przemowa przytoczona w całości.

– Rzym słucha. – Kontrastująca z długą przemową posła natychmiastowa odpowiedź Cezara odznaczała się lapidarnością, a więc stylem, do którego prokonsul przyzwyczał wszystkich. Nammejus milczał przez moment zakłopotany. Spodziewał się czegoś więcej.

– Szlachetny Cezarze, po raz ostatni składam protest. Twoja ingerencja w migracje naszego ludu jest nieuprawniona i bezpodstawna. Jesteśmy plemieniem prawdziwych mężczyzn, a jedynie słabeusze bez ikry i krztyny życiowego wigoru tkwią do śmierci w jednym miejscu, wyjaławiając ziemię i tocząc stale wojny z pobliskimi sąsiadami. W zgodzie z uświęconą tradycją przodków zamierzamy spalić nasze miasta i osady, a następnie pomaszerować przez ziemie Allobrogów i twoją prowincję, by osiedlić się z dala od Rzymu i jego sojuszników.

Obiecaliśmy zachowywać się pokojowo i nie wyrządzać szkód na ziemiach, przez które musimy przejść. Nikt nie zginie i nie popadnie w niewolę, nie będzie kradzieży i dewastacji. Nie są nam potrzebne łupy, bo nasz dobytek zabierzemy na wozach. Nie potrzebujemy jedzenia, gdyż zabierzemy ze sobą na drogę zapasy zboża, które nam wystarczą na cały czas. Musisz wyrazić zgodę, Cezarze. Dym unosi się do niebios nad naszymi płonącymi miastami, oppidiami i gospodarstwami. Załadowaliśmy już wozy

i zbieramy się nad rzeką. Niebawem musimy wyruszyć, by na czas dotrzeć tam, dokąd zmierzamy. Cezarze, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, poprosiłeś mnie o czas do namysłu. Twoja prośba wydała się nam sensowna, więc przystaliśmy na nią. Teraz widzimy, że wykorzystałeś ten czas na budowę długiego wału, fortyfikacji, z których Rzymianie słyną na świecie. Zapewniam cię o daremności tego przedsięwzięcia. Nie jesteśmy Grekami, żeby wystraszyć się byle palisady. Kiedy Helweci wytyczą sobie drogę do celu, ich marszu nie spowolni usypisko ziemi i drewniane paliki. Rozniosą wszystkie przeszkody niczym wiatr plewy. Cezarze, po raz ostatni namawiam cię, byś ustąpił nam z drogi. – Tymi słowami poseł zakończył przemowę i usiadł na krześle.

– Czcigodny Nammejusie, rozważyłem propozycję twojego ludu z wielką rozważą pomimo rozlicznych zaczepek twoich wojowników, których doświadczyłem zarówno ja, jak i przyjaciele Rzymu. Zacznę od stwierdzenia, iż uważam podany przez ciebie powód migracji za całkowicie bezsensowny.

Eneasz, którego matką bogini Wenus, natomiast syn Askaniusz, zwany też Julus, to protoplasta rodu julijskiego, wyprowadził pobratymców z miasta podpalonego przez wrogów, a nie przez siebie. – Oto cały Cezar – nigdy nie przepuścił okazji, by przypomnieć zwykłym śmiertelnikom o swym boskim rodowodzie. – Romulus, potomek Askaniusza, założył Rzym 696 lat temu. Odtąd nie ruszyliśmy się z miejsca i nie czujemy się z tego powodu mniej męscy. – Uśmiechnął się, a uczestniczący w kolacji Rzymianie przyjęli jego dowcip głośnym śmiechem. Z twarzy Galów dało się wyczytać, co myśleli: „Zamiast migrować, poszerzaliście nasze terytorium i zakładaliście kolonie”. Nie mogli jednakowoż wypowiedzieć tego na głos, gdyż teraz przemawiał Cezar. – Nie mogę przyjąć twego zapewnienia, że przemaszerujecie przez ziemie wielu ludów, nie czyniąc im krzywdy – oznajmił. Jesteście, jak sam z elokwencją napomknął, ludem wojowników, a choć jesteś ich przywódcą,

nie potrafisz nad nimi zapanować. Zamierzacie przejść przez ziemie waszych odwiecznych nieprzyjaciół, toteż obawiam się, że nie zdołasz powstrzymać Helwetów od grabieży, gwałtów i rzezi. Wracając do słabości mojego wału, zgodzę się z tobą, że dół i ziemny wał nie stanowią wielkiego wyzwania dla młodych krzepkich mężczyzn. Także wieńcząca go palisada nie będzie dla nich żadną przeszkodą. Ale za tą palisadą znajdziecie ostateczną zaporę. Rzymskiego żołnierza. Już wszędzie ludy wiedzą, że tarcza legionisty to najtrwalszy mur i że wszyscy wrogowie Rzymu padają pod ciosami jego wyostrzonego miecza. Na nic przechwałki, jeśli ktoś poważy się z nami stanąć w szranki.

Z krzesła podniósł się inny helwecki poseł. – Jestem Verucloetius, wódz klanu Tigurinów. Nie lękam się Rzymian i nie lękają się ich moi wojownicy. Gdy konsul Lucjusz Kasjusz ruszył na nas, zabiliśmy go, a z jego armii uczyniliśmy niewolników!

Twarz Cezara poczerwieniała, lecz jego głos zachował powściągliwy, lodowaty ton. – Czterdzieści dziewięć lat temu wszystkie galijskie ludy opuściły swoje siedziby, a nie jedno plemię. Z tego właśnie powodu postanowiliśmy, by nigdy więcej nie dopuścić do migracji na terenach należących do Rzymu. Przekonacie się, że w naszej armii zaszły istotne jakościowe zmiany. Mój wuj, Gajusz Mariusz, zadbał o wprowadzenie nowych rozwiązań i osobiście wielokrotnie przetestował je w polu, wypróbując na waszych współplemieńcach.

Galowie zareagowali na imię Mariusza, jakby dostali w twarz. Dwa galijskie plemiona zostały unicestwione w starciu z Mariuszem, kilka innych do dziś lizało rany. Jego imieniem Galowie straszili niesforne dzieci.

Jeden z Germanów dał znak, że chce zabrać głos. Cezar przyzwalająco skinął dłonią, a barbarzyńca wstał z krzesła. Jego tunikę z wilczej skóry spinał szeroki na sześć cali skórzany pas, nabity brązowymi ćwiekami.

Zaskrzypiał, gdy wojownik włożył za niego kciuki.

– Pierwsza Włócznie – powiedział Cezar. – Wezwij swego tłumacza.

Winiusz zaklaskał w dłonie, co skojarzyło się mi z dźwiękiem katapulty miotającej ciężki pocisk. Uśmiechnąłem się na myśl, że zobaczę ponownie germańską niewolnicę, lecz ku memu wielkiemu rozczarowaniu między wartownikami strzegącymi wejścia do pretorium przecisnął się szkaradny, niziutki, rudowłosy karzeł. Niewolnik zatrzymał się przy germańskim pośle, a ten spojrział na niego spode łba, jakby patrzył na ropuchę lub inne odrażające stworzenie, i powiedział coś w języku, który przypominał powarkiwanie dwóch basiorów walczących o przywództwo nad wilczą watahą.

Niewolnik to przetłumaczył z bezczelnym uśmiechem, odsłaniając uzębienie, w którym zęby i ubytki następowały w naprzemiennym porządku: – Coś podobnego! My topimy takie potworki po urodzeniu.

Cezar zaśmiał się donośnie. – W prawdziwie doskonałym świecie nic tak szkaradnego i odrażającego nie miałoby prawa żyć. Jednakowoż żyjemy w świecie rzeczywistym, a nie w Platońskim świecie idei. Czasami trzeba przymknąć oko na brzydotę ze względu na jej użyteczność. Molon był przez wiele lat niewolnikiem na wschodnim brzegu Renu. Zanadto obawia się bata, by przeinaczyć twoje słowa. Na pewno odda je wiernie. Proszę, mów dalej.

Po tej odpowiedzi Cezara Germanin zaczął traktować niewolnika jak powietrze. – Jestem Eintzius, bratanek króla Ariowista. Wraz ze mną przybył mój brat, Eramanzius. – (Raz jeszcze zaznaczę, że barbarzyńskie imiona podaję w przybliżeniu). – Od pewnego czasu nasz król pertraktuje z Helwetami przez swoich posłów. Nasze plemiona uzgodniły między sobą, że na ziemi opuszczone przez Helwetów ściągną nasi pobratymcy, Harudowie i Swebowie. Plemiona te już opuściły swoje siedliska i gotowią się do przekroczenia Renu. Jeśli Helweci pozostaną tutaj, Harudowie

i Swebowie nie będą z tego zadowoleni.

Za moimi plecami rozległ się stłumiony syk, a po chwili Lovernius wyszeptał słowa: – Wiedziałem! Helweci opuszczają swoje ziemie nie dlatego, że tak zdecydowali. Zostali z nich wyganiani! Germanowie kazali im się wynosić albo...

Cezar, prostując się na kurulnym składanym krześle, położył dłonie wzdłuż misternie zdobionych oparc. – Czcigodny pośle, nie radują mnie te wieści. Rzym też nie będzie z nich zadowolony. Republika kieruje się dwoma zasadami, których nie zamierza zmieniać, a które mam zamiar tu wprowadzić w życie. Galijskie plemiona pozostają na zajmowanych przez siebie ziemiach, a Germanowie trzymają się z dala od zachodniego brzegu Renu.

– Cezarze, nasze plemiona mieszkają na zachodnim brzegu rzeki od lat i nie zamierzają się nigdzie ruszać. – Eintzius, pomimo barbarzyńskiego ubioru i wyglądu, odezwał się wyniośle, niczym poseł wysłany przez senat do azjatyckiego despoty z rozkazem przywołania go do porządku i zaprzestania działań niemiłych Rzymowi. Wyczułem między nim a Cezarem napięcie, zapowiadające nieuchronny konflikt charakterów. Nagle Helweci przestali być zagrożeniem. Niemal ich żałowałem. Znaleźli się między Rzymem a Germanią niczym ziarno między żarnowymi kamieniami.

– Tym zajmę się, gdy rozwiążę sprawę Helwetów – odparł Cezar.

Na te słowa wstał drugi Germanin. – Ściągnij więcej żołnierzy. Ci tutaj nie starczą na poranne igraszki. – Jak na odzianego w skóry dzikusa Eramanzius wypowiedział się z zadziwiającą arogancją. Pewności siebie dodawał mu zapewne niebывały wzrost. Ludzie nieprzeciętnie wysocy często mają też zawyżone poczucie własnej wartości.

Obaj Germanowie swoją posturą budzili grozę w przeciwieństwie do Galów w kolorowych szatach. Próbowałem to sobie wytłumaczyć barbarzyńskim zwyczajem noszenia zwierzęcych skór. Galowie i Rzymianie



wdziewali skóry pod spód jedynie w zimie, natomiast Germanowie nosili je stale, jakby z rozmysłem chcieli upodobnić się do swych totemicznych zwierząt. U ludów cywilizowanych praktyki te ograniczają się do religijnych rytuałów, jak dzieje się to choćby w Egipcie, gdzie kapłani przywdziewają leopardzie skóry, podobnie greckie bachantki, a także legionowi chorążowie, którzy zarzucają na siebie skóry lwie, niedźwiedzie i wilcze. Widok ludzi odzianych w futra od świtu do zmierzchu wywoływał niepokój.

Cezar zmierzył posłów chłodnym wzrokiem. – Nie prowokujcie mnie. Nie ma na świecie potęgi większej niż Rzym. Na italskiej ziemi legiony wyrastają niczym źdźbła zbóż po wiosennym deszczu. Jeśli macie takie życzenie, zapewnimy wam niezłą zabawę, choć nie będziecie wiwatować, gdy się skończy.

Były to śmiałe słowa, zważywszy, że wypowiadający je człowiek dowodził zaledwie jednym legionem i skromnym oddziałem auxiliów, lecz Rzymianie lubują się w buńczucznej retoryce. Nawet ja, świadom powagi sytuacji, poczułem jak w mym drżącym kręgosłupie rozlewa się i zastyga rzymska stal.

Nammeius podniósł się z krzesła, a w ślad za nim galijscy posłowie. – Osiągnęliśmy wszystko, co się da osiągnąć za pomocą słów, czyli nic. Odtąd będziemy rozmawiać za pośrednictwem oręża.

Galowie i Germanowie odeszli od stołu i opuścili pretorium. Jako ostatni wyszli druidzi, którzy ni jednym słowem nie odezwali się w trakcie spotkania. Cezar popatrywał na posłów gniewnym wzrokiem, a ja zwróciłem uwagę, że najsurowiej spoglądał wcale nie na barbarzyńskich wodzów, lecz na kapłanów. Kiedy poselstwo opuściło obóz, zwrócił się do oficerów.

– Panowie, powinniśmy się od dziś spodziewać częstszych i groźniejszych ataków. Prace przy wznoszeniu wału dobiegły końca, cały czas docierają do nas posiłki z prowincji. Owi żołnierze obsadzą wał.

Podwólcie nasze strażę. Udajcie się do swoich oddziałów, by sposobić legionistów do walki.

Wstałem wraz z Loverniusem i szykowałem się do wyjścia, lecz Cezar skinął na mnie dłonią.

– Decjusz Cecyliusz, dołącz do mnie.

Poczekalem, aż pozostali oficerowie odejdą od stołu. Tytus Winiusz obdarzył mnie szkaradnym uśmiechem, a w ślad za nim poczłapał jego jeszcze szkaradniejszy niewolnik. Cezar wszedł do namiotu, a ja za nim. Namiot był podzielony na dwie części – mniejsza służyła za miejsce do spania, w większej stał długi stół, przy którym odbywano narady, gdy zła pogoda uniemożliwiała spotkania pod gołym niebem. Na tacy stały srebrny dzban i puchary. Cezar wskazał je dłonią, a ja nalałem wina. Był to pierwszorzędny falernejski trunek. Nawet tak daleko od Rzymu Cezar nie odmawiał sobie przyjemności.

– Doszły mnie słuchy o twoim drobnym konflikcie z Tytusem Winiuszem – powiedział bez słowa wstępu.

To było do przewidzenia. – Legion jest niczym mała wioska – zauważyłem.

– W tej prowincji rozstrzygam wszystkie sprawy – oznajmił. – Nie powinieś ingerować w pracę moich centurionów, zwłaszcza gdy wypełniają swoje obowiązki.

– Obowiązki! Cezarze, ten brutal okładał różgą chłopca, mojego klienta, w dodatku bez wyraźnego powodu. Nie mogłem na to pozwolić.

– Nie był to ani chłopiec, ani twój klient, tylko rzymski żołnierz, który przysięgał służyć Republice jak każdy legionista w tym obozie. Kiedy za dwadzieścia lat wróci do cywila, stanie się na powrót twoim klientem. Do tego czasu podlega władzy centuriona, a gdy dosłuży się podoficerskiego stopnia, będzie własnoręcznie wymierzać karę podkomendnym. Nie pozwolę,

byś prowokował Winiusza. To mój najlepszy żołnierz.

– To gbur przeczulony na punkcie swojej własności.

Cezar uśmiechnął się lekko. – A, zakładam, że spotkałeś Fredę. Zadziwiające stworzenie, nieprawdaż?

– Owszem. Dlaczego pozwoliłeś, by trzymał ją w obozie? Winiusz pała taką zazdrością, że lada chwila wynajmie osobistego kata, każe mu chodzić krok w krok za niewolnicą i skracać o głowę wszystkich śliniących się na jej widok.

– Daję moim centurionom pewną swobodę. Zezwalam na trzymanie niewolników, a nawet kochanek.

– Tak zwykle postępują dowódcy, ale dotyczy to koszar i zimowych kwater, ale nie obozów w prowincjach.

– Gdy maszerujemy, niewolnicy idą za wozami. Jeśli nie nadążają, zostawiamy ich w tyle. Nie grozi to Fredzie. Jestem przekonany, że z łatwością prześcignęłaby wyścigowego konia. – Machnął dłonią, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszej rozmowy na ten temat. – Nie wezwałem cię tu, by usprawiedliwiać podejmowane decyzje, Decjuszu. Mam dla ciebie zadanie. Kiedy się zjawiałeś, wspomniałem, że częściej przebywał będziesz w pretorium, niż ze swoją alą.

– Co tylko rozkażesz – odparłem, otwarty na propozycję miłej, wygodnej pracy w sztabie, z dala od błota i kurzu. Miejsce herosa jest w wierszach i mitach, ale Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy z pewnością nie zostanie bohaterem.

– Niebawem wyruszę do Italii najkrótszą z możliwych dróg, przez góry. Na czas mojej nieobecności dowodzenie obejmie Labienus. Moje dumne słowa wygłoszone do barbarzyńców zostaną bez pokrycia, jeśli nie wrócę na czele legionów. Zamierzam je znaleźć i ściągnąć tu, nawet siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Dwa dodatkowe legiony sprawią, że poczujemy się pewniej – przytaknąłem.

– Chcę, żebyś nim wrócić opracował moją korespondencję z senatem. Zamierzam dostarczyć Ojcom Poborowym, jak ich zwie Cynceron, szczegółową relację z tej kampanii, a tylko ty masz w tym obozie odpowiednie wykształcenie, by sprostać temu zadaniu. Wiem też, że podobnie jak ja nie znosisz azjanizmu, więc powstrzymasz się przed dorzuceniem do opowieści zastępów nimf, paflagońskich bóstw i sprośnych przygód Zeusa.

Czekała mnie zatem rola sekretarza. To nie uwłaczało mojej godności. Przynajmniej będę pod dachem. – Tak mówisz, jakbyś spodziewał się długiej kampanii.

– A jak ci się wydaje, dlaczego domagałem się przyznania aż pięciu lat na doprowadzenie jej do końca? Kiedy dotarłem do Galii, Helweci wyruszyli już ze swoich siedzib. Teraz we wszystko wmieszali się jeszcze Germanowie. Obawiam się, że zanim skończę, będę musiał rzucić na kolana całą Galię, od Renu po Pireneje. Kto wie, może przeprawię się nawet do Brytanii.

Omal nie zakrztusiłem się falernejskim winem.

– Całkiem duża połać ziemi do przełknięcia. Nie wspominając o sporej liczbie zamieszkujących ją barbarzyńskich, wojowniczych plemion.

Wzruszył ramionami. – Aleksander podbił podobnej wielkości obszar w rok.

Aleksander, po raz kolejny, pomyślałem. Pożałowałem, że ten mały macedoński bękart nie dożył naszych czasów, bo bym własnoręcznie go udusił. Wystarczyło, że na kartach historii pojawił się jeden maniak, by na wieki inspirować podobnych sobie głupców. Macedonia leży obecnie w granicach Imperium Rzymskiego, co powinno dać wielu ludziom do myślenia.

– Galowie nie są Persami.

– Nie są – i dzięki niech będą za to Jowiszowi. Wątpię, by Persowie dorośli do roli praworządnych obywateli.

Odniosłem dziwne wrażenie, że zaczął mówić językiem, którym nie władałem biegle.

– Obawiam się, że nie nadążam, Cezarze.

Spojrzał na mnie surowym wzrokiem prawnika. – Rzym potrzebuje świeżej krwi, Decjuszu. Nie jesteśmy już tym samym ludem jak za czasów Scypiona i Fabiusza. Dawniej wystawialiśmy dziesięć legionów z ziem odległych od Rzymu o dwa, trzy dni. Teraz penetrujemy całą Italię, by zebrać trzy czy cztery legiony. Jeszcze trochę, pokolenie lub dwa, i nie będziemy mieli nawet tego. Gdzie będziemy wtedy szukać nowych żołnierzy? W Grecji? Absurdalny pomysł. W Syrii? W Egipcie? Żart.

Jego słowa nie były pozbawione sensu. – Jeśli zdołamy oczyścić Italię z rzesz niewolników, by oddać ziemię prawowitym mieszkańcom, problem zniknie – odparłem.

Potrząsnął głową. – Teraz przypominasz Katona. Nikt nie zdoła odwrócić biegu historii. Musimy skorzystać z okazji, by wykorzystać rzeczywistość do swoich celów. Służyłeś w Hiszpanii. Co myślisz o Iberach?

– Są dzicy i prymitywni, ale to dobrzy żołnierze.

– Tak też uważam. Wielu z nich przypomina Galów. Sądzę, iż te ludy można ucywilizować. Jeśli zmusi się je do porzucenia na wpół wędrownego sposobu życia, osadzi na wyznaczonym obszarze, skłoni, by przestały między sobą wojować i przyjęły zwierzchnictwo Rzymu, to wesprą nas zasobami ludzkimi i materialnymi.

Radykalne myśli. Podbój barbarzyńskich ziem to jedno i z tym się wszyscy zgadzali. Ale przebieranie barbarzyńców w szaty obywateli?

– Nie wiedzą nawet, co to dobre wino, choć przyznają, że ich konie

dorównują najlepszym wierzchowcom wyhodowanym w Rzymie.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Zawsze potrafiłeś dostrzec walory każdego przedsięwzięcia.

– Ależ Cezarze, nie tak dawno toczyliśmy krwawą wojnę, której zarzewiem stało się zrównywanie w prawach italskich plemion! A byli to przecież spokrewnieni z nami Latynowie i Oskowie, o podobnych zwyczajach i tradycjach. Skoro trzeba było wojny, by przyznać im pełne obywatelstwo, to jak zamierzasz przekonać Rzymian, że podobny zaszczyt należy się Galom?

– Odwołam się do zdrowego rozsądku – odparł natychmiast. – I wykorzystam strach przed Germanami. – W tym punkcie zgadzałem się z Cezarem. – Wiesz równie dobrze jak ja, że Galowie nie są dzikusami, stwarzają jedynie takie pozory. To wspaniali rzemieślnicy i całkiem zdolni rolnicy. Ich architektura jest przyjemna dla oka, choć nie wznoszą budowli z kamienia. Kłopot polega na tym, że brak im politycznego wyrobienia i że ich plemiona toczą między sobą nieustanne wojny.

– Nie znają też pisma – wytknąłem.

– To prawda. Mają za to druidów.

– Nie widzę związku.

– Decjusz, pomyśl, jak potężni muszą być kapłani, skoro tylko oni umieją pisać i czytać. Zastanów się nad tym. Lubisz udawać kogoś nierozgarniętego, ale wiem, że to tylko poza.

Uznałem te słowa za komplement. – Masz na myśli Egipcjan, zanim poznali greckie pismo?

– Mniej więcej. Wyobraź sobie jednak społeczeństwo, w którym – oprócz kapłanów – niepiśmienni są także arystokraci i królowie. Oto jaką pozycję zajmują druidzi.

– Lovernius wyjaśnił mi, że są strażnikami praw i tradycji, a także

pośredniczą między śmiertelnikami i bogami.

– Owszem. I dlatego właśnie oni są również rozjemcami w sporach małostkowych królów i wodzów, choć rzadko udaje się im zapobiec rozlewowi krwi. Druidzi zyskują na znaczeniu wtedy, kiedy Galowie muszą podjąć działania przeciw wspólnemu zagrożeniu, tak jak to dzieje się dziś w odniesieniu do Germanów bądź Rzymu. Te ziemie zamieszkuje ponad dwadzieścia galijskich ludów i sto plemion, którymi rządzi stu kłótliwych wodzów, ale druidów napotkasz od szczytów Pirenejów po brzegi Brytanii. To jedyne, co jednoczy Galów. Jeśli mam ich podbić, muszę wpierw złamać władzę druidów.

Przyznam, że nie darzyłem druidów sympatią. Stan kapłański, do którego przynależność przechodziła z ojca na syna, zawsze wydawał mi się tworem pasożytniczym. Nasi pradziadowie wykazali się zadziwiającą przezornością, czyniąc z kapłaństwa urząd państwowy.

– Nie będę po nich płakał – skwitowałem jego wypowiedź.

Cezar usiadł na krześle i pochylił się ku mnie. – Decjuszu, druidzi nie są zwykłymi pieśniarzami i mędrkami. Ich religia jest mroczna i krwawa. Podczas świąt składają ofiary z ludzi. Robią wiklinowe kukły o kształtach ludzkich bądź zwierzęcych, wsadzają do nich ludzi i zwierzęta, a potem w świętych gajach wrzucają w ogień. Ponoć krzyki palonych żywcem ofiar mrożą krew w żyłach.

Zdjęło mnie przerażenie, co było naturalną reakcją, gdy się słyszało o ofiarach z ludzi. Galom daleko było do straszliwych praktyk naszych nieprzejednanych wrogów, Kartagińczyków, lecz za sprawą owych wiklinowych kukieł naprawdę zasługiwali na miano dzikusów. Rzymianie bardzo rzadko składali ofiary z ludzi, a i wtedy czynili to z zachowaniem stosownej godności i powagi, wykorzystując do tego celu jedynie przestępców skazanych prawomocnymi wyrokami.

– Twoim planom nie brak rozmachu – przyznałem. – Ale z drugiej strony w Rzymie jest dzisiaj wielu energicznych i ambitnych ludzi. Znacznie więcej niż konserwatywnych i nieruchawych niczym woły pokroju moich krewnych.

– Mimo to chcę zdobyć poparcie Cecyliuszów – odrzekł Cezar. Ja zaś pomyślałem, że to nareszcie taki Cezar, jakiego znam. Polityk z Forum z wprawą tworzący koalicje, żeby zrealizować własne plany.

– Rozmawiasz z niewłaściwym Cecyliuszem. W pojęciu mego rodu jestem nikim. Moje zdanie zupełnie się nie liczy.

Uśmiechnął się. – Decjuszu, czy zawsze musisz zachowywać się jak potulny chłopiec? Nestorzy stojący na czele twego rodu nie powstrzymają upływu czasu. Niebawem usuną się w cień, znajdą się na uboczu publicznego życia. Nim obejmiesz urząd pretora, zyskasz na znaczeniu w swoim rodzie i zaczniesz podejmować istotne decyzje. Natomiast braterstwo broni, Decjuszu, to więź o trwałym charakterze.

Była to zgrabna myśl, aczkolwiek nie do końca prawdziwa. Starych żołnierzy łączyło braterstwo broni dopóty, dopóki nie dochodziły do głosu ich ambicje. Mariusz, Sulla i Pompejusz walczyli ramię w ramię w wielu kampaniach. Potem zapragnęli władzy i stali się śmiertelnymi wrogami.



## ROZDZIAŁ 4

Nazajutrz rozpocząłem żmudną pracę w pretorium, podczas gdy Lovernius na czele mojej ali wznowił patrole. Większość zadań jazdy powierzono oddziałom auxiliów. A wojsk pomocniczych było dużo. Cezar chciał mieć w trakcie tej kampanii duży oddział kawalerii, toteż uporczywie domagał się, by prowincja dostarczyła legionowi wszystkich mężczyzn zdolnych do służby w siodle oraz konie. My, Rzymianie, od zawsze odnosiliśmy się do jazdy z pogardą, lecz właśnie od liczby konnych zależał szacunek Galów.

Moje obowiązki zapewniały mi względne bezpieczeństwo. Byłem bezpieczny, o ile może tak powiedzieć o sobie człowiek w małym obozie pośrodku głuszy, tkwiącym wśród mrowia wrzaskliwych barbarzyńców. Helweci dopiero gotowili się do szturmowania na nasze pozycje, ale to była tylko kwestia czasu. Miałem również pewność, że ich wieczorne wypadki na wał będą coraz częstsze i bezczelniejsze. Wszyscy zamartwiali się myślą o germańskich posiłkach.

Posłuszny rozkazom Cezara, każdego ranka wdziewałem pancerz i przypinałem do pasa miecz, i to nawet jeśli czekała mnie jedynie praca w sztabie. Aby jeszcze bardziej uprzykrzyć mi życie, zabronił pić w trakcie dnia. Uznałem, że posunął się za daleko, lecz wiedziałem, iż nie ma sensu protestować.

Zanim zasiadłem do pracy i rozłożyłem papirusy, pióra i atrament, odszukałem legionowego instruktora i uzgodniłem z nim harmonogram

ćwiczeń Hermesa. Instruktor okazał się, co się często zdarzało, byłym gladiatorem, to natomiast, że dożył emerytury, dowodziło niezbiecie znajomości wyuczonego fachu. Poznaczony bliznami osiłek z miejsca wręczył chłopcu długi na sześć stóp kij i wziął go w obroty niczym nieopierzonego niewolnika w pierwszym dniu w ludus, szkole gladiatorów. Wiedziałem, że za kilkanaście minut Hermes straci czucie w ramieniu. Wiedziałem też, że instruktor będzie zadowolony dopiero wtedy, kiedy chłopiec po raz pierwszy trafi końcem kija w punkt nie większy niż srebrny denar. Kiedy opuszczałem Hermesa, jego skórę już zrosiły krople potu.

Zewsząd dobiegały mnie pokrzykiwania centurionów i ich adiutantów, *optio*, musztrujących żołnierzy. Młotki zbrojmistrzów uderzały z hukiem w pancerze, stukotały końskie kopyta na utwardzonej powierzchni ulic, gdy jeźdźcy wyruszali na patrol lub wracali do obozu, by złożyć raport. Uśmiechnąłem się, gdyż nie brałem w tym udziału. Mnie powierzono zadanie wymagające siedzenia, lecz na szczęście nie w siodle.

Podczas gdy Cezar i Labienus naradzali się z delegacją na wpół zromanizowanych Allobrogów, zasiadłem na składanym krześle i owinałem się szczelnie płaszczem podróżnym, *sagum*, chroniąc przed porannym chłodnym wiatrem. Gęste chmury przesłoniły niebo i galijskie słońce, okradając nas z resztek ciepła. Odziany w zimne żelazo i okryty ciepłą wełnianą materią, rozpocząłem lekturę pierwszego zwoju sprawozdań sporządzonych przez Cezara dla senatu.

Zawierał zwięzłe, szkicowe zapiski dotyczące poczynań Cezara od momentu opuszczenia Rzymu. Potem była mowa o objęciu dowodzenia nad legionem, następnie o przemarszu na północ i zbieraniu po drodze oddziałów pomocniczych. Uznałem, że to wstępne notatki, jakie sporządza każdy pisarz, przygotowując się do napisania większego dzieła lub przemówienia.

Szybko miałem pożałować przydziału sprezentowanego mi przez Cezara,

bo natrafiłem na przeszkodę, której istnienia nie sposób było przewidzieć. Nie dość, że notatki miały charakter szczątkowy, to do tego pismo Cezara było po prostu okropne. Musiałem mocno natężyć umysł, by w swoistych ligaturach rozróżnić poszczególne litery. Na domiar złego Cezar nie stosował przyjętego systemu skrótów wyrazów – jego abrewiatura miała zupełnie dowolny charakter: krótsze słowa zapisywał od tyłu, przestawiał porządek liter, a nawet w dłuższych zmieniał je.

Przypomniałem sobie, że ilekroć widziałem Cezara odpoczywającego, to zwykle wtedy niewolnik czytał mu kroniki lub klasyczną poezję. Większość z nas zatrudnia rzecz jasna lektora, by nie męczyć oczu, lecz nagle dotarło do mnie, że niesłychanie rzadko widziałem Cezara pochylonego nad zwojami. Cóż za niecodzienne odkrycie – Gajusz Juliusz Cezar, prokonsul i ulubieniec komicjów, czyli zgromadzeń ludowych, niedoszły Aleksander, był właściwie analfabetą!

Na początek postanowiłem przepisać notatki Cezara słowo po słowie. Dziwny sposób zapisywania wyrazów utrudniał skupienie się na sensie tekstu i jeszcze bardziej zniechęcał. Spędziłem cały ranek na przepisywaniu pierwszego zwoju. Gdy uczyniłem jego treść bardziej zrozumiałą, wróciłem do pierwszego zdania i poddałem je pewnej redakcji i korekcie, a następnie jeszcze raz przeczytałem. Potem zrobiłem to z kolejnymi zdaniami.

Po skończonej pracy położyłem zwój na stole, świadom, że stworzyłem nowy gatunek w epistolografii. Przepisawszy notatki i nadawszy ich tekstowi komunikatywną formę, pojąłem, jak niewiele mogę zrobić, by poprawić ich język. Nie byłem, jak powiedział Cezar, wielbicielem wyszukanego, kwiecistego stylu pisania, zwanego azjanizmem, lecz w porównaniu z tym, jakim językiem posługiwał się prokonsul, moja oszczędna proza wydawała się równie kwiecista jak mowy Kwintusa Hortensjusza Hortalusa. Nie napotkałem ani jednego zbędnego słowa, które dałoby się wykreślić bez

szkody dla sensu.

Pierwszy Obywatel przyznał Cezarowi naturę półboga i wyniósł go (a przy okazji siebie, wskutek pokrewieństwa) ponad zwykłych śmiertelników. Cezar bynajmniej nie był bogiem, choć bóstwa zdawały się igrać z jego losem. Często zastanawiałem się, jak to się stało, że ten człowiek, który z trudem zapisywał swoje myśli, pozostawił po sobie tak znakomite dzieła napisane wyborną łaciną. Ta zagadka męczy mnie do dziś. Znałem jego młodzieńcze teksty, niezgrabne i mierne jak dzieła każdego nowicjusza, lecz ostatnie zwoje wyszły spod pióra zgoła innego człowieka.

Zastanawiałem się nad tym, gdy czyjś cień przesłonił stół. Uniosłem głowę i zobaczyłem stojącą przede mną germańską niewolnicę, dumną i pewną siebie niczym księżniczka. Byłem owinięty wełnianym płaszczem przed zimnem, ona zaś miała na sobie jedynie skąpą tunikę, nie dostrzegłem jednak wcale gęsiej skórki.

– O, Freda. Mam rację?

– Freda – powtórzyła, poprawiając moją wymowę, choć to krótkie imię brzmi w języku germańskim podobnie jak w łacinie. Pierwsza sylaba jest akcentowana, dźwięk zaś wydobywa się ze szczeliny między górnymi zębami a dolną wargą, podczas gdy druga, przypominająca bzyczenie owada, wymawiana jest z czubkiem języka umieszczonym między górnymi a dolnymi siekaczami, a nie na górnym podniebieniu.

– Dla Cezara od Tytusa Winiusza – oznajmiła zmysłowym głosem, głębokim i schrypniętym.

– Masz na myśli prokonsula i swojego pana? – spytałem, udając zdenerwowanie. W rzeczywistości chciałem jeszcze raz usłyszeć jej barbarzyńską wymowę.

– Dla Jego Wysokości od Tego, Który Jest, jeśli tak wolisz. – Wypowiedziała te słowa z takim sarkazmem, że mógłby jej pozazdrościć sam

Hermes.

– Dlaczego Pierwsza Włócznia posyła swoją niewolnicę z wiadomością? Służbę gońców pełnią przecież zazwyczaj legionieści. – Zadałem głupie pytanie, bo nie chciałem, by od razu wyszła z namiotu.

– Dlaczego? Nie muszę tego wiedzieć, a tym bardziej ty – odparła pogardliwie i zarazem uwodzicielsko.

– Nie podoba mi się twój ton, dziewczyno.

– I co z tego? Jesteś tylko jednym z Rzymian. Żeby mnie ukarać, musiałbyś mnie wpierw odkupić od Tytusa Winiusza. Wątpię, czy cię na to stać.

– Nigdy nie zetknąłem się z większą bezczelnością! – Odpowiedziałem z fałszywym oburzeniem.

– Decjusz Cecyliusz – odezwał się Cezar za moimi plecami. – Jeśli pozwolisz Fredzie zrobić to, po co przyszła, wróci do swoich obowiązków, my – także.

Upokorzenia zawsze układają się w serie. Przeszła obok mnie tak blisko, że mogłem wciągnąć w nozdrza zapach jej ciała. Nawet klacz paradyjąca przed ogierem nie mogła pachnieć bardziej zachęcająco. Nie odwróciłem się, gdy podała mi wiadomość dla Cezara, ona zaś nawet nie zerknęła na mnie, przechodząc obok. Od tyłu prezentowała się równie ponętnie, zwłaszcza w ruchu.

Cezar podszedł do stołu i spojrzał na mnie z góry. – Nigdy nie przyszło mi na myśl, że siedzący na krześle mężczyzna, okutany w pancerz i płaszcz, może tak dalece przypominać posąg Priapa.

– Skoro Tytus Winiusz jest zazdrosny – odparłem – dlaczego pozwala jej chodzić po obozie na wpół nago?

– Każdy z nas ma w zwyczaju chwalić się swoim dobytkiem, Decjusz. Jeśli jesteś właścicielem wspaniałego dzieła sztuki, eksponujesz je, by inni

mogli ci go zazdrościć. Ludzie na ogół lubią, żeby bliźni im zazdrościli. – Odwrócił się i zniknął w namiocie.

– Freda – powiedziałem do siebie, ćwicząc wymowę. Później dowiedziałem się, że jej imię pochodzi od słowa „pokój”; to dość osobliwe, zważywszy, że ten temat nie cieszy się u Germanów zainteresowaniem. Źródłem jego etymologii jest zapewne zwyczaj przypieczętowywania sojuszy plemion za pomocą małżeństwa.

Z wielkim trudem zmusiłem się do pracy nad zwojami Cezara.

Tego wieczoru Hermes nie nadawał się do niczego. Ręce zwiślały mu bezwładnie, a twarz wykrzywiał grymas bólu. Prawie mu współczułem. Ojciec posłał mnie do ludus, gdy miałem szesnaście lat, bym nauczył się władać mieczem, a początki ćwiczeń zapamiętałem jako najbardziej bolesny czas w moim życiu. Rzecz jasna, nie zdradziłem się przed niewolnikiem ze swymi uczuciami.

– Dziś w nocy czeka mnie służba wartownicza – poinformowałem Hermesa. – A to oznacza, że nie zmrzę oka. Ty też nie położysz się spać. Z powodu służby nie wolno mi tknąć wina. To dotyczy również ciebie. Zrozumiano?

–To żart – jęknął. – Nie dałbym rady unieść do ust pucharu, choćbym nawet umierał z pragnienia pośrodku libijskiej pustyni.

– Doskonale. Chcę, by w namiocie i przed nim przez całą noc świeciły się lampy. To chyba zdołasz zrobić?

– Jeśli to będą małe lampy – odparł.

Jako człowiek o ludzkich odruchach, natarłem Hermesowi barki mazidłem, zanim wyszedłem z namiotu. Byłem świadom, że następnego ranka będzie odczuwał jeszcze większy ból.

Oficera oddelegowanego do służby wartowniczej wybierano zazwyczaj z oddziałów jazdy. Oficerowie piechoty byli zapewne ważniejsi

i potrzebowali więcej snu. Nienawidziłem szczerze tej służby, choć brak snu nie był tu jedynym powodem. Zawsze obawiałem się, że napotkam żołnierza, który zasnął na warcie, i że będę musiał zameldować o tym dowódcy. W samej Italii nawet w czasach pokoju kara za takie wykroczenie była surowa. W wypadku bliskiej obecności wroga mogła być wręcz nieludzka. Na oczach całego legionu żołnierze z oddziału winnego okładali go kijami dopóty, dopóki nie wyzionął ducha. Owa kaźń trwała zwykle bardzo długo, nawet jeśli uczestniczyli w niej silni mężczyźni.

Nie potrafiłbym się wyzbyć ludzkich uczuć, by móc dopuścić się czegoś takiego. Brakowało mi jeszcze innych cech cenionych u żołnierzy. Kroniki Rzymu roją się od dowódców posyłających na śmierć własnych synów za sprzeciwianie się rozkazom, jeśli nawet nieposłuszeństwo istotnie przyczyniło się do zwycięstwa. Miało to dowodzić rzymskiej sprawiedliwości i wojskowego ducha. W moim przekonaniu dowodziło jedynie, jak marnymi ojcami byli Rzymianie.

Wstąpiłem na wał okalający legionowy obóz przy głównej bramie i zacząłem obchód palisady, robiąc więcej hałasu, niż powinienem. Na szczęście dla mnie rozkaz Cezara dotyczący wzmocnienia straży oznaczał, że legioniści pełnili wartę po dwóch. W ten sposób mieli mniejsze szanse, by zasnąć na służbie. W obozie paliły się ogniska, lecz na wale ich nie dostrzegłem. Nie rozpalano ich, by nie utrudniać zadania wartownikom.

Przemierzyłem południowy wał, potem, idąc na północ wałem wschodnim, napotkałem czujnych żołnierzy, którzy przestali grozić mi oszczepami, dopiero gdy podałem im hasło. Legioniści wiedzieli o zerwaniu rozmów z Helwetami i spodziewali się rychłego ataku barbarzyńców.

Na północnym wale legioniści byli szczególnie niespokojni, bo znajdowali się najbliżej Galów.

– Spokojnie, na pewno ich usłyszycie, zanim nadciągną – zwróciłem się

do wartownika. – Obóz oddziela od wroga drugi wał.

Jego towarzysz splunął na ziemię. – Być może, ale bronią go auxilia. Ci z wojsk posiłkowych są do niczego!

– Większość z nich z chęcią poderżnęłaby nam gardła. Na próżno szukać pośród nich obywateli Rzymu. A jazda to sami Galowie. Jak możemy zaufać tej bandzie dzikusów?

Wiedziałem, że na uprzedzenia nie ma rady.

– W której kohorcie służycie? – spytałem.

– W Pierwszej – odparł jeden z wartowników. – Do Pierwszej Kohorty należy zaszczyt obrony wału znajdującego się najbliżej wroga oraz prawego krańca bitewnej linii.

Obrona prawego krańca linii wiązała się z wystawieniem boków na oskrzydłające ataki nieprzyjaciela. Dlaczego nie zdziwiło mnie, że ostatnie miejsce na polu bitwy, w którym chciałby się znaleźć trzeźwo myślący człowiek, uważano za miejsce honorowe? Nie żebym twierdził, iżby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciał się znaleźć na polu bitwy. To właśnie dzięki takim wątpliwym zaszczytom ludzie dają się namówić do działania wbrew własnym interesom.

– A czy coś się dzieje po stronie barbarzyńców? – zapytałem.

– Cisza jak makiem zasiał, kapitanie, ale siedzą tam, tego możecie być pewni. Lada chwila będziemy musieli się kryć przed gradem strzał, oszczepów i kamieni. A na wale jest za mało straży, nawet jeśli uwzględnimy tych z auxiliów. Dzikusy z łatwością przedrą się w mniejszych grupkach, po dwóch lub trzech. Wielkich szkód nie zrobią, ale uprzykrzą nam życie.

– Nie dadzą spokoju – dodał drugi legionista flegmatycznie.

Mniej więcej w połowie wału spotkałem dwóch szepczących do siebie wartowników.

– Nie usłyszycie barbarzyńców, jeśli nie przestaniecie trajkotać jak



przekupki – powiedziałem, zbliżywszy się na odległość dziesięciu kroków. Obrócili się powoli i unieśli broń.

– Hasło! – zażądał pierwszy półgłosem.

– Herkules niepokonany – odparłem cicho, nie zamierzając sprezentować nasłuchującemu nieprzyjacielowi hasła.

– Patronie! – dodał natychmiast legionista. – Nie wiedziałem, że dzisiejszej nocy będziemy mieli na służbie oficera.

– Burrus? Czy za ten odcinek wału odpowiada Pierwsza Centuria?

– Tej nocy tak. Każdy legionista pełni wartę co trzecią noc. Niewielu uda się zdrzemnąć po tym, jak podwojono strażę. – Wskazał drugiego legionistę – trzymał w dłoniach *pilum*, długą włócznię, i masywną podłużną tarczę, *scutum*, które istotnie ograniczały ruchy. – To Marcus Quadratus, z mojego contubernium.

Drugi legionista kiwnął głową w hełmie. – Dobry wieczór, senatorze. Burrus może opowiadać bez końca, że jego rodzina to klienci Cecyliuszów.

– Pochodzicie z Arpinum? – spytałem, rozpoznając akcent.

Uśmiechnął się szeroko. – Zgadliście. Z rodzinnego miasta Cyclerona i Gajusza Mariusza.

– Co też Homer napisał o Itace? – zastanowiłem się na głos. – „Niewielka kraina rodząca dobrych ludzi”. – Legionista poruszał się równie sztywno jak Burrus i domyśliłem się, że z tego samego powodu. – Widzę, że ty też skupiłeś na sobie uwagę waszego centuriona.

Quadratus zerknął na Burrusa, a ten pokiwał głową.

– W ciągu pięciu dni złamał na moich plecach trzy różgi. Jego optio nosi wiązkę pod pachą i wręcza Winiuszowi nową, gdy złamie poprzednią.

– Czy wszyscy legioniści w centurii traktowani są w ten sposób? – zapytałem. Takie zachowanie było osobliwe nawet jak na doświadczonego centuriona.

– Pastwi się nad wszystkimi – odparł Burrus – ale najsurowsze kary spotykają legionistów z naszego namiotu.

– Czemu? Czy powodem zawsze jest jego kobieta? Czy wasz namiot stoi najbliżej namiotu centuriona?

Quadratus wykrzywił usta w ponurym uśmiechu. – Nie, to tylko wymówka. Podczas porannej inspekcji znajduje na naszych pancerzach rdzę, a w trakcie musztry któryś z nas zawsze gubi krok. W wypadku kobiety przynajmniej wiemy, za co jesteśmy chłostani.

– Dlaczego wziął się na wasze contubernium?

– Oczywiście kapitanie, że zadawaliśmy sobie takie pytanie – powiedział Burrus. – Część z nas uważa, że jest szalony, ale ja sądzę, iż wykorzystuje nas, by scementować swą władzę nad Dziesiątym Legionem.

– Jak to? – spytałem, zaskoczony zależnościami wyznaczającymi tok legionowego życia, świadom, że mogą być one nie mniej skomplikowane i niebezpieczne niż polityka uprawiana na Forum. Burrus raczył mnie oświecić.

– Cezar mianował go *primus pilus* ledwie miesiąc temu, tuż po przejściu na emeryturę Kasjusza Facilisa, który był dotąd Pierwszą Włóczęgą. Legioniści nie od razu przyzwyczajają się do zmiany dowódcy i wolno akceptują nowego człowieka w roli pana życia i śmierci. Podejrzewam, że chce nas sprowokować do buntu.

– Egzekucja całego contubernium dałaby innym do myślenia – dodał Quadratus. – Nie sądzę, by po tym ktokolwiek zakwestionował jego władzę.

Słyszałem już podobne przerażające opowieści, ale poczułem się nieswojo, gdy sam natrafiłem na trop jednej z nich. Z zastrzeżeniem, że legioniści mieli rację. Najdziwniejszy wydał mi się ich stosunek do całego zdarzenia; jakby bestialskie i nieuzasadnione traktowanie przez centuriona było czymś zwykłym w żołnierskim życiu, podobnie jak rany, paskudna

pogoda i ryzyko popadnięcia w niewolę barbarzyńców, by skończyć w roli żywej ofiary.

– Tak się już zdarzało – powiedział Burrus, najwyraźniej czytając mi w myślach. – Ale nigdy w Dziesiątym.

– Czy Winiusz od początku służył w Dziesiątym Legionie? – zapytałem. Niektórzy legionieści odbywali wojskową służbę w jednym legionie, lecz oficerów i podoficerów niekiedy przenoszono.

– Nie – odpowiedział Burrus. – Wojował z Cezarem w Hiszpanii, dowodził jedną z pierwszych centurii Siódmego. – Oznaczało to, że był centurionem Pierwszej, Drugiej lub Trzeciej kohorty, które w legionie traktowano inaczej niż pozostałe. A przynajmniej tak bywało dawniej. Wiele uległo zmianie, gdy Pierwszy Obywatel przeprowadził reformę armii. Chciałbym wierzyć, że były to zmiany na lepsze, choć szczerze w to wątpię.

– Dlaczego Cezar wybrał akurat jego?

– Zły żołnierz nie dostanie się nigdy do pierwszej kohorty – zauważył Quadratus. – Tytus Winiusz jest dobrym żołnierzem, a przynajmniej sprawia takie wrażenie w obozie i w trakcie przemarszów. Nie widzieliśmy dotąd, jak się spisuje w walce.

– Na uroczyste parady ozdabia pancerz *phalerae* – dodał Burrus. – Nie przyznają ich za grzeczność.

Phalerae to ciężkie, okrągłe medaliony mocowane na skórzanych pasach zarzucanych na zbroję. Tych odznaczeń przyznawanych za męstwo pożąda każdy legionista. Wielu zakłada je nawet przed bitwą, choć nie zapewniają dodatkowej osłony i są jedynie dodatkowym ciężarem.

Coś świsnęło nad moją głową. Machnąłem dłonią koło ucha, oganiając się od owadów. Obaj wartownicy odwrócili się ku palisadzie i roztaczających się za nią ciemnościach, unosząc tarcze na wysokość oczu. Uczynili to ruchem tak mechanicznym, jakby wykonywali ćwiczenie na musztrze, ja zaś

początkowo nie zrozumiałem ich zachowania.

– To była strzała, patronie – poinformował Burrus. – Będzie najlepiej, jak skryjecie się za palisadą lub za nami. Nie macie przecież tarczy. – Gdy wypowiadał ostatnie zdanie, usłyszałem głuchy odgłos i kolejna strzała wbiła się w belki palisady sięgające mi do piersi. Z mroku dobiegały pokrzykiwania Galów.

Stałem za legionistami. – Zamienię kilka słów z Carbo – powiedziałem. – Miał nie dopuszczać do takich rzeczy. – Byłem przerażony stanem mojego instynktu. W rzymskiej uliczce wyczuwałem każde niebezpieczeństwo. Tu czułem się równie bezradnie, jak trybun podczas pierwszego dnia służby.

– Nie na wiele się to zda – odrzekł Quadratus. – Galowie poruszają się w ciemnościach niczym nietoperze.

Cięnięty z procy kamień uderzył w pokrytą skórą drewnianą tarczę, a głuchy odgłos rozbrzmiał w moich uszach.

– A może powinniśmy zaalarmować obóz? – spytałem, zawstydzony tym, że ja, oficer, szukałem rady u szeregowych legionistów.

– Na to jest stanowczo za wcześnie – wyjaśnił Burrus. – Nie będziemy stawiać całego obozu na nogi z powodu paru strzał i kamieni. Barbarzyńcy nie podeszli nawet pod palisadę, bo wtedy posypałyby się na nas oszczepy.

– O to im właśnie chodzi – dodał Quadratus. – Chcą, byśmy nie zmrużyli oka. Im krócej będziemy spać, w tym gorszej będziemy formie, gdy zmierzmy się z nimi na polu bitwy. – Kolejny kamień dosięgnął tarczy, trafiając z brzękiem w obręcz z brązu. – Jasna cholera! Wystarczy! Wolno nam obudzić resztę tylko w razie ataku na obóz, kapitanie, ale jak dotąd barbarzyńcy przedostają się przez zewnętrzny wał małymi grupkami, niewystarczającymi, by przypuścić szturm. Dlatego drażnią się z nami każdej nocy.

– Na szczęście macie przed sobą dwie noce snu – powiedziałem.

– Nie tym razem – odparł Burrus. – Winiusz wypatrył w naszym namiocie pleśń na skórze ekwipunku. Będziemy stali na warcie każdej nocy, dopóki nie zmieni rozkazu.

– Po całym dniu służby? – spytałem, a w tym momencie nad moją głowę przeleciał kamień, z dźwiękiem kojarzącym się z brzęczeniem pszczoły spieszącej do kwiatka. – Porozmawiam o tym z Cezarem.

– Nie zawracajcie sobie tym głowy – powiedział Burrus. – Weźmie stronę Pierwszej Włóczni, a wy zrazicie do siebie obu.

– Ma rację, kapitanie – przytaknął Quadratus. – Winiusz poradzi sobie z każdym oficerem, który zajdzie mu za skórę. Lepiej się do tego nie mieszajcie.

– Jeszcze się o tym przekonamy. Muszę dokończyć obchód. Zobaczymy się ponownie przed świtem.

– A nie zapomnijcie wziąć tarczy, patronie – rzekł Burrus z uśmiechem. Nie pojmowałem, jak mimo swego położenia umiał zdobyć się na żarty. Zaimponował mi tym, więc przymknąłem oko na jego zuchwalstwo.

Oficer nie może okazywać strachu w obecności podkomendnych i dlatego ukucnąłem za palisadą dopiero wtedy, kiedy oddaliłem się od wartowników. Do następnego stanowiska podszedłem, dziwacznie zgięty, a wyprostowałem plecy dopiero na widok dwóch legionistów.

Na całej długości północnego wału wartownicy odpowiadali na zaczepki i okrzyki Galów nieprzyzwoitymi obelgami, z których słyną Italowie. Ciemności i zbroje przeszkadzały im wykonywać wyszukane gesty, uznawane przez ludzi urodzonych na południe od rzeki Po za element arsenału tej nacji.

Z wielką ulgą zakończyłem inspekcję północnego wału i przeszedłem na wał zachodni, mniej nękany przez wroga, i niebawem doszedłem do wału południowego, gdzie panowały cisza i spokój. Przy głównej bramie zszedłem

do obozu i ruszyłem w stronę skrzyżowania Via Praetoria z Via Principalis, gdzie płonęło duże ognisko. Na skrzyżowaniu zbierali się legioniści luzujący wartowników. Napotkałem tam również niewolnika dogładającego wodnego zegara odmierzającego długość wart.

– Kiedy nastąpi zmiana wart? – zapytałem siwowłosego niewolnika, któremu lata spędzone na służbie legionu zapewniły wygodną posadę, wiążącą się jednakowoż z brakiem snu.

– Dwie godziny, panie. W tym legionie warty zmieniają się co cztery godziny. Pierwsza wieczorna warta zaczyna się na godzinę przed zachodem słońca, ostatnia schodzi na godzinę przed świtem.

Spojrzałem na zegar wodny. Był to zmyślny wynalazek greckiego pochodzenia, przypominający wykonaną z brązu wazę. Była ona napełniona wodą. Na powierzchni wody, która wyciekała przez otwór znajdujący się na dnie naczynia, unosił się pusty w środku spławik. Gdy poziom wody opadał, wraz z nią opadał spławik, pociągając w godzinnych odstępach dźwignie, które uwalniały metalowe kule do małego płaskiego talerza z brązu. Rozlegał się wtedy głośny dźwięk, oznajmiając upływanie godziny. Widziałem podobny, lecz znacznie większy w Aleksandrii. Wydawał dźwięk tak głośny, że słyhać go było w całym mieście. Często zastanawiałem się nad sensem umieszczenia zegara w Aleksandrii. Mieszkańcy tego miasta nie przywiązują bowiem najmniejszej wagi do pory dnia.

– Co robicie w zimie, gdy woda zamarza? – zapytałem.

– Przysuwamy zegar bliżej ogniska, a jeśli lodowaty wiatr zamraza wodę, patrzymy na gwiazdy. Gdy zaś zasłaniają je chmury, po prostu zgadujemy.

– Z pewnością jest wtedy do ciebie sporo pretensji – zauważyłem. – Każdy legionista uważa, że stał na warcie dłużej niż pozostali.

Niewolnik pokiwał głową. – Zima to nieprzyjemna pora roku, zwłaszcza tak daleko na północy.

Po powrocie do namiotu zastałem Hermesa zajętego lampami. Podał mi dzbanek. Ból w ramionach zelżał, gdyż uniósł naczynie na wysokość brzucha. Było ciepłe i przyjemnie rozgrzewało zmarznięte dłonie.

– To ten okropny ocet wydawany żołnierzom – wyjaśnił przepraszającym tonem. – Przynajmniej postawi was na nogi. – Upiłem łyk, a Hermes był na tyle grzeczny, że odczekał, aż oczy przestaną mi łzawić, nim zadał oczywiste pytanie. – Czy to barbarzyńcy tak tam hałasują? – Mój namiot stał blisko północnego wału.

– No pewnie, że nie posiłki przysłane z Rzymu. Ale nie martw się, dbają tylko, byśmy się zanadto nie nudzili.

– Jeśli nie robi to wam różnicy, będę się dalej martwił – odparł, po czym zniżył głos do szeptu, choć i tak mówił jak na siebie zadziwiająco cicho. – Siedzimy w samym środku, prawda? Podśluchałem żołnierzy. Mówili, że siedzimy w samym środku barbarzyńskich ziem, sami, bez wsparcia, i że lada chwila zwali się nam na głowę mrowie dzikusów.

Pokiwałem głową, a moja mina niewątpliwie była równie cierpka jak wypita posca. – To prawda, ale nie najgorsza. Sądzę, że w obozie przebywa człowiek znacznie bardziej niebezpieczny niż barbarzyńcy.

– Dlaczego zawsze wynajdujecie takich ludzi? – spytał Hermes.

– Bogowie mają poczucie humoru. Lubią ze mnie żartować.

– W takim razie dziś na Olimpie pękają ze śmiechu – odparł. – Wystawili przeciw nam najokrutniejszego krzyżownika w całym legionie.

Niewolnicy używają słowa „krzyżownik” na określenie ludzi, którzy wzbudzają ich strach i przerażenie. Hermes zwykł przysłuchiwać się rozmowom wolnych ludzi, którzy na ogół ignorowali jego obecność. W moim środowisku często strofowano mnie za to, że chętnie słuchałem plotek mego niewolnika, ale dzięki temu nieraz ocaliłem skórę.

– Masz dla mnie więcej plotek żołnierzy?

– W obozie aż od nich huczy. Ulubiony temat pogaduszek to, oprócz barbarzyńców, Pierwsza Włócznia i jego Germanka. Wszyscy gadają o tym, jak Tytus Winiusz i nowy oficer skoczyli sobie do oczu.

– Biedny Cezar – odparłem. – Przyzwyczał się do tego, że to on jest tematem rozmów. Robią już zakłady?

Potrząsnął przecząco głową. – Nie. Wszyscy uważają, że centurion rozgniecie was na miazgę jak robaka.

Upiłem kolejny łyk i zmusiłem się do przełknięcia octu. – Sytuacja pogorszy się bardzo szybko. Popytaj jutro w obozie, może uda ci się znaleźć legionistę gotowego postawić na mnie.

Spojrzał na mnie litościwym wzrokiem. – Nie każecie mi przypadkiem postawić własnych pieniędzy?

– Jesteś niewolnikiem, nie powinieneś mieć własnych pieniędzy. Znowu mnie okradasz? – Prawo zabraniało niewolnikom posiadania dobytku, lecz rozdziew między przepisami a rzeczywistością bywał równie wielki jak odległość z Hadesu do Olimpu. Hermes rzadko mnie okradał, ale uznałem, że powinien mieć się na baczności.

Wykręcił się od odpowiedzi, zadając mi pytanie: – Czy gra będzie się toczyć o jeszcze wyższą stawkę?

– Tak. Zamierzam rozjuszyć Tytusa Winiusza. Gdy będę miał trochę szczęścia, szlag go trafi.



## ROZDZIAŁ 5

**P**odszedłem do ogniska akurat w tym momencie, gdy brązowa kula uderzyła w dno talerza. Legioniści wyznaczeni do zluzowania wart stali w dwóch równych szeregach. Tuż przed nimi dostrzegłem żołnierza w hełmie pokrytym cyną, tak wypolerowanym, że lśnił niczym ze srebra, i z kitą z białego końskiego włosia. Na mój widok zrobił zdziwioną minę, a gdy zorientował się, że nie jestem sam, szeroko otworzył oczy. Zasalutował z nonszalancją wyćwiczoną przez lata.

– Aulus Vehilius – przedstawił się. – Optio Pierwszej Kohorty i dowódca dzisiejszej zmiany. – Miałem przed sobą prawą rękę Winiusza, człowieka noszącego za nim zapasowe różgi.

– Decjusz Cecyliusz Metellus, kapitan pretoriańskiej ali i oficer warty.

– A oni? – spytał Vehilius, wskazując ruchem głowy ludzi stojących za moimi plecami.

– Jeźdźcy z pretoriańskiej ali.

– Obozowy wał to nie miejsce dla auxiliów. Wartę pełnią na nim wyłącznie legioniści.

– Potraktujcie ich zatem jako moich osobistych gwardzistów. Obawiam się o własne życie. Ponoć moi polityczni przeciwnicy szykują na mnie zamach.

Spojrzał na mnie jak na wariata, co było jakoś zrozumiałe, a następnie warknął: – Tracimy tylko czas. Zmiana warty, naprzód marsz! – Obrócił się

na pięcie i ruszył przed siebie stukając podkutymi butami. Legioniści podążyli za nim równym, marszowym krokiem. Dostrzegłem, że niektórzy uśmiechają się pod nosem, ubawieni zmieszaniem optio.

Dołączyłem do Vehiliusa, który nie zwracał na mnie uwagi. Za mną podążał Lovernius i pozostali jeźdźcy, nie zważając rzecz jasna na porządek i szyk. Byli nie tylko Galami, lecz również kawalerzystami i nie zmusiłbym ich do równego kroku, gdyby nawet miało to ich ocalić od ukrzyżowania.

Vehilius rozpoczął zmianę warty przy Porta Praetoria. Na każdym stanowisku wypowiedano najpierw hasło i odzew, po czym optio wysłuchiwał raportu, a następnie dwaj legioniści stojący na początku szeregu luzowali wartowników, którzy ustawiali się na końcu kolumny.

Niebawem weszliśmy na północny wał. Ku memu zadowoleniu po Helwetach nie było już śladu. Najwidoczniej zmęczyło ich całonocne ciskanie kamieni i strzał. Poza tym spodziewali się patroli jazdy, toteż zniknęli przed świtem.

Kiedy dotarliśmy do posterunku Burrusa i Quadratusa, padło hasło i odzew. Quadratus złożył raport, po czym Vehilius wydał rozkaz, by kolumna wznowiła marsz.

– Chwileczkę, optio! – powiedziałem.

Przystanął. – Tak, kapitanie?

– Czy nie zluzujecie tych legionistów? – zapytałem.

– Nie, nie zamierzam. Ci dwaj i sześciu stojących na kolejnych trzech posterunkach należą do szóstego contubernium Pierwszej Centurii Pierwszej Kohorty. Pełnią całonocną wartę, bo taką nałożono na nich karę.

– Rozumiem. Zakładam, że kara dotyczy tylko tej nocy.

– Będą stali na warcie dopóty, dopóki Pierwsza Włócznia nie wyda innego rozkazu.

– A czy w ten sposób nie wystawia się aby na niebezpieczeństwo całego

obożu?

– Nie mnie to oceniać. A teraz, kapitanie, jeśli pozwolicie, a nawet jeśli zgłosicie cholerny sprzeciw, zamierzam wrócić do obowiązków.

– Nie będę was zatrzymywał, optio. Życzę wam miłego wieczoru.

Wyprostowany niczym włócznia obrócił się na pięcie i odmaszerował, a w ślad za nim podążyła kolumna rozbawionych legionistów, którym uśmiech zniknął z twarzy w mgnieniu oka, gdy Vehilius zerknął gniewnie przez ramię.

Kiedy odeszli, Lovernius wykonał dłonią bardzo galijski gest. – Kapitanie, zawsze powtarzano mi, że rzymscy politycy z łatwością nawiązują przyjaźnie. Czyżby próbowano wprowadzić mnie w błąd?

– Będą z tego kłopoty! – powiedział z radością Indiumix. Galowie kochają kłopoty.

– Patronie, co zamierzacie zrobić? – spytał Burrus.

– Burrusie, Quadratusie, możecie zejść z posterunku. Zastąpią was moi kawalerzyści – wskazałem dłonią dwóch stojących za mną Galów. – Zostańcie na wale, ale zdrzemnijcie się trochę.

– Ale oni nie są legionistami! – zaprotestował Quadratus.

– Całą odpowiedzialność biorę na siebie – oznajmiłem. – Jestem oficerem warty i wydałem wam rozkaz. Lepiej go wykonajcie, bo nie dostanę tego przydziału przez kolejne cztery noce.

Żołnierze odznaczają się zadziwiającą umiejętnością – mogą zapaść w sen w dowolnym miejscu i w każdych warunkach. Burrus i Quadratus ułożyli tarcze na wale, po czym położyli na nich głowy. Obaj w pełnym rynsztunku, z mieczem u pasa, ściskając w dłoni oszczep, zasnęli niczym niemowlaki.

Obszedłem trzy kolejne posterunki i zluzowałem pozostałych legionistów nieszczęsnego centubernium. Potem stanąłem z Loverniusem przy palisadzie,

Oparłszy się o nią plecami, wsłuchiwaaliśmy się w odgłosy wieczoru. W ciszy niosło się bzyczenie owadów, z rzadka było słychać pohukiwanie sowy.

– Stawiam pięć sestercji, że dobierze się do mnie przed wschodem słońca – powiedziałem.

– A ja dziesięć, że zaczeka i złoży na was meldunek Cezarowi na porannej naradzie sztabu.

– Przyjmuję zakład. – Uścisnęliśmy sobie dłonie. Lovernius zaśmiał się, kiwając z podziwem głową. Galowie mają niezrozumiałą predylekcję do podziwiania wszystkich lekkoduchów i niedbających o własne życie głupców. Jak się miało okazać, wygrał ode mnie dziesięć sestercji.

Wreszcie wzeszło słońce i poczęło rozgrzewać nasze zmarznięte ciała. Mgła rozpraszała się powoli nad wodami jeziora. Przez kilka minut obóz przypominał wojenny okręt unoszący się na falach białych jak owcze runo. Przeszło mi przez myśl, że tak właśnie czuje się Jowisz, zasiadając na tronie pośród chmur. Czułem zapachy typowe dla legionowego obozu: świeżo wzruszonej ziemi, dymu, płonących gałęzi. Były przyjemniejsze niż odór miasta, ale w tamtej chwili wiele bym dał, żeby znaleźć się za miejskimi murami, na brzydkiej, cuchnącej uliczce.

Legioniści z nieszczęsnego contubernium podnieśli się z wału i zajęli posterunki, a Galowie skupili się przy mnie.

– Wracajcie do namiotów – rozkazałem. – Nocna służba dobiegła końca.

– Wolelibyśmy zostać i zobaczyć, co się teraz stanie – odezwał się Lovernius.

– Nie wątpię, ale czas już na poranny patrol. W takiej mgle z pewnością czają się Helweci. Dajcie im nauczkę. Minionej nocy zaleźli mi za skórę. – Roześmiali się, zasalutowali i zeszli z wału. Cokolwiek mnie czekało, ich nie dotyczyło i nie chciałem, by w tym uczestniczyli.

Słońce zawisło nad górskim grzbietem, gdy na wale pojawiła się zmiana

warty. Tym razem kolumnę prowadził inny optio. Ten legionista o przetrąconym nosie i czarującym, wykrzywionym uśmiechu oddał mi honory tak niedbale, że gotów byłem uznać ten gest za wyraz szacunku. Na napolicznikach jego hełmu widniały srebrne ozdoby w kształcie małych kapliczek, mające zaskarbić właścicielowi szczęście, na czubku zaś sterczały krótkie niebieskie pióra.

– Zostaliście zlurowani, kapitanie – powiedział, a dwóch legionistów zajęło miejsce Burrusa i Quadratusa.

– Macie dla mnie rozkazy od dowódcy? – zapytałem.

– Nie mam wam nic do przekazania, ale na waszym miejscu zacząłbym się zastanawiać, co powiedzieć Cezarowi.

Wznowił obchód, a ja dołączyłem do niego. Rzeczywiście – przez ostatnie cztery godziny myślałem wyłącznie o tym.

– Wpadliście na sensowny pomysł?

– Nie, jak dotąd. Jakieś sugestie?

– Ucieczka. Galowie powinni was przygarnąć, ale potem mogą nabrać ochoty, by was oddać. Germanowie to pewniejszy wybór. O ile nie zabiją was na miejscu. Gorliwie przestrzegają prawa gościnności.

– Cezar raczej nie odeśle mnie do Rzymu w niesławie.

– Ha! Gdyby tak postąpił, połowa sztabu poszłaby w wasze ślady, wykręcając podobne numery, jakimi wy bawiliście nas przez ostatnie dni tylko po to, by uciec jak najdalej od tej wojny. Nigdy nie widziałem takiej zbieraniny tchórzliwych nobilów. – Splunął na palisadę, jego ślina spłynęła obok wbitych w pal strzał.

– Co oznaczają niebieskie pióra? – zapytałem. – Drugą Kohortę?

– Zgadza się. Jestem Helvius Blasio, optio Czwartej Centurii, Drugiej Kohorty. Wiem, kim wy jesteście.

– Wieści szybko się tu rozchodzą.

– Otóż to. W legionowym obozie wie się wszystko o każdym. Zwłaszcza gdy dotyczy to kogoś, kto podważa autorytet Pierwszej Włóczni. Taki ktoś zwraca na siebie uwagę i zyskuje szacunek. Ale to zainteresowanie prędko mija.

Dokończyłem z nim obchód, nie spiesząc się na spotkanie z przeznaczeniem. Rozmawialiśmy o nieprzyjacielu i czekającej nas kampanii. Blasio zachowywał pozory żołnierskiej nonszalancji, lecz w jego głosie i postawie wyczuło się niepokój. Zresztą w obozie w ogóle panowało napięcie, legionieści mieli świadomość, w jakim się znaleźli położeniu.

Pożegnałem optio i udałem się do balwierza, który zgolił mi brodę i przystrzygł włosy, po czym wróciłem do namiotu. Hermes przygotował dla mnie śniadanie.

– Jeden z Galów powiedział mi, że macie kłopoty – rzekł radosnym głosem.

– To prawda. Teraz pędź do instruktora.

– A ja myślałem, że ból czuje tylko ktoś dźgnięty czubkiem miecza! – wyjęczał.

– Nie ma nic darmo. Zmykaj. – Jęknął, lecz wypełnił polecenie.

Niebawem rozbrzmiał sygnał wzywający oficerów na naradę. Byłem potwornie zmęczony, lecz na odpoczynek nie mogłem sobie oczywiście pozwolić. Z hełmem pod pachą ruszyłem pewnym krokiem w kierunku pretorium. Jednym z walorów bycia członkiem szacownego rodu jest kształcenie się od najmłodszych lat w retoryce. Nie ogranicza się ono jedynie do nauki przemawiania, lecz dotyczy również mowy ciała. Ubiegający się o wysokie stanowiska musi odbyć służbę w legionie, toteż uczy się go właściwego sposobu poruszania w pełnej zbroi. Umiejętne drapowanie wojskowego płaszcza, żeby powiewał za plecami, i zarzucanie go na uniesione nieznacznie ramię tak, by przypominał togę, było istną sztuką.

Winiusz mógł mnie z łatwością przekrzyczeć, ale żadną miarą nie zdołałby dorównać mojej arystokratycznej pozie, ja zaś wiedziałem, że będzie ona moją jedyną tarczą.

Twarze oficerów zebranych przy stole wyrażały różne uczucia – od powściągliwej rezerwy po jawną wrogość. Tylko ja się uśmiechałem, ale to nie był szczery uśmiech. Cezar zachowywał się ze śmiertelną powagą. Starłem się pocieszyć myślą, że powodem tego są Galowie.

– Decjuszu Cecyliuszu Metellusie – odezwał się, okradając mnie ze złudzeń – Pierwsza Włócznia wygłosił przeciw wam bardzo poważne oskarżenie. Musicie na nie odpowiedzieć.

– Oskarżenie? – odparłem. – Czyżbym źle się zachowywał?

– Będzie lepiej, jeśli przyjmiecie do wiadomości powagę sytuacji – rzekł Cezar. – Głupoty, na którą można przymknąć oko w pokojowych czasach, nie wolno tolerować w legionowym obozie podczas wojny.

– A, tak. Głupota – powtórzyłem, spoglądając na Winiusza. – Uważam za skrajną i groźną głupotę wystawianie na wartość tych samych żołnierzy noc w noc, co pozbawia ich chwili odpoczynku i snu.

– Prokonsulu – powiedział Winiusz, zaciskając szczęki. – Ten oficer wmieszał się w sprawy, które go nie dotyczą. Od momentu przybycia do obozu rozpieszcza swojego drogiego klienta, który służy w mojej centurii. Minionej nocy ów legionista wraz z całym contubernium zasnęli na warcie. Domagam się, by zostali straceni.

Zebrani oficerowie wstrzymali oddech.

– Wspomniani legioniści położyli się spać na mój rozkaz. Nie opuścili samowolnie stanowisk. Obsadziłem je żołnierzami z mojej ali.

– Galów postawił na straży obozowego wału! – powiedział Winiusz, dobitnie wymawiając pierwsze słowo. – To czyn gorszy niż zdrada!

– To poważny występki – odparł Cezar – ale uważam karę śmierci za

nieadekwatną do popełnionego czynu. Legioniści wykonywali polecenie wyższego stopniem oficera, to zaś, że owo polecenie było idiotyczne, niewiele zmienia. Wina nie leży po stronie żołnierzy, winien jest oficer.

Winiusz poczerwieniał ze złości. To, że przeszło mu koło nosa kilka egzekucji, spowodowało reakcję godną pogardy.

– Sądzę, że postąpiłem zgodnie z...

– Cisza – przerwał mi Cezar, ani o ton nie podnosząc jednak głosu. Zamilkłem. Miał rzadką, godną podziwu zdolność wymawiania prostych słów z mocą jowiszowego gromu. – Decjusz Cecyliuszu, cóż mam z tobą począć? Mógłbym odesłać cię do Rzymu w niesławie, ale podejrzewam, że właśnie tego pragniesz najbardziej. Mógłbym zdegradować, ale masz najniższy oficerski stopień. Mógłbym zrobić z ciebie szeregowego żołnierza, ale że jesteś senatorem, to nie zamierzam obrazić senatu, czyniąc jednego z członków tego dostojnego grona pospolitym piechurem. – Bardzo możliwe, że w tym momencie po raz ostatni Gajusz Juliusz Cezar uwzględnił w swoim rozumowaniu rzymski senat.

– Zawsze można skrócić go o głowę, Cezarze – zasugerował półgłosem Labienus. – To szlachetny rodzaj kary, godny Cecyliusza.

Cezar podrapał się po policzku, jakby zastanawiał się nad wygłoszoną propozycją. – Musimy liczyć się z jego rodem. Początek wojny to nie najlepszy czas na zrażanie do siebie najpotężniejszej frakcji w senacie i zgromadzeniach.

– O, nie będziemy po nim tęsknili – zapewnił Cezara mój kuzyn Guzek. – Szybko znajdziemy zastępcę. – Niektórzy ludzie zniżą się do każdej podłości, byle nie uszczuplić swojej sakiewki o sto sestercji.

– Kuszący pomysł – odparł Cezar. – Jednak egzekucja przed rozpoczęciem działań zbrojnych może zostać uznana za zbyt surową karę. Nie, obmyślę inną. Pierwsza Włóchnio, bądźcie spokojni, ten oficer nie



przeszkodzi wam więcej w wykonywaniu obowiązków.

Winiusz najwyraźniej nie był zadowolony, lecz znał swoje miejsce. Nawet Pierwsza Włócznia nie mógł domagać się egzekucji oficera.

– Skoro takie jest wasze życzenie, prokonsulu – odparł opanowanym głosem.

Wydawało się, że moja arystokratyczna, lekceważąca poza spełniła pokładane w niej nadzieje. Mimo to daleki byłem od triumfowania. Rozmowa o egzekucji miała zapewne jedynie mnie wystraszyć, lecz nie do końca byłem tego pewien. Dowódcy zostawia się ogromną swobodę w kwestii utrzymywania i zaprowadzania dyscypliny w swoim oddziale. Po powrocie do domu i złożeniu imperium może stanąć przed sądem, lecz zwykle spotyka się z życzliwością sędziów. Obywatele są świadomi, że bezpieczeństwo Republiki zależy od żołnierskiej dyscypliny, a tej może nam pozazdrościć cały świat.

Lukullus przecież nie zdecydował się na egzekucję Klodiusza, choć miał pełne prawo pozbawić go życia. Tamten podburzył przeciwko niemu oficerów i legionistów, lecz Lukullus nie chciał narazić się potężnemu rodowi Klaudiuszów. Poza tym knowania Klodiusza na niewiele się zdały. Inni dowódcy nie byli tak pobłażliwi.

Cezar ignorował mnie całkowicie, gdy naradzano się nad istotnymi i mniej ważnymi sprawami. Rozdzielał obowiązki i specjalne przydziały spokojnym głosem, znamionującym pewność siebie. Po raz kolejny zrobił na mnie dobre wrażenie. Później miałem okazję poznać jego pogląd, że nieprecyzyjne rozkazy są przyczyną większości klęsk i porażek.

Oficerowie oddali honory i wyszli z namiotu, żeby wypełniać rozkazy. Jako ostatni wyszedł Tytus Winiusz. Wpatrywał się we mnie, ale Cezar tego nie zauważył.

– To wszystko, Pierwsza Włócznio – powiedział Cezar. – Możecie

odejść.

Winiusz już miał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język, zasalutował i odmaszerował, rozsiewając dookoła aurę nienawiści tak gęstą, że wprost materialną.

– Decjuszu Cecyliuszu, co mam z tobą począć? – rzekł Cezar, gdy zostaliśmy sami. Było to dobre pytanie. Obowiązki trybuna i oficerów sztabowych rzadko precyzowano. Każdy wiedział, co musi robić legionista, podobnie rzecz miała się z optio i centurionami. Dowódca i legatus otrzymywali przydział z nadania senatu i ludu rzymskiego. O losie pozostałych oficerów decydował dowódca armii. Zdarzało się, że oddawał komendę nad legionem zdolnemu trybunowi, lecz na ogół oczekiwano od oficerów młodszych stopniem, by po prostu nie wchodzili nikomu w drogę.

– Czy mam przez to rozumieć, że odtąd przestałem dowodzić oddziałem jazdy?

– Mogło być znacznie gorzej. Nie prowokuj mnie, Decjuszu. Nie jestem w tej chwili przyjaźnie do ciebie nastawiony. Poprosiłem o twój przydział z powodów osobistych. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł, ale przyznam, że już mi wywietrzało z głowy, dlaczego tak myślałem.

Zamilkłem, a ja zacząłem się pocić. Byłem pewien, że przydzielili mi jakieś pożałowania godne obowiązki, których w armii nie brakuje.

– Wygląda na to, że masz za dużo wolnego czasu, Decjuszu. Potrzebujesz zajęcia, które przypomni ci o dyscyplinie wymaganej od każdego żołnierza. Od dziś będziesz się zgłaszał o pierwszym brzasku do instruktora i ćwiczył do południa z przerwą na narady, podczas których będziesz stał z tyłu i milczał. W południe powrócisz do obowiązków w sztabie, a w nocy... Cóż, znajdę ci również zajęcie na noc, i to bynajmniej niezwiązane z wartami.

Czekało mnie upokorzenie. Mogłem skończyć gorzej.

– Może ci się wydawać, że okazałem ci nieuzasadnioną pobłażliwość, ale

czynię tak, gdyż również uważam, że zachowanie Winiusza i jego stosunek do legionistów nie jest rozsądny. Tym niemniej to on, w przeciwieństwie do ciebie, zna najlepiej swoich podkomendnych, zna legion. Jeśli postanowił karać ich dla przykładu, jego decyzję można usprawiedliwić tym, że kampania dopiero się zaczyna. Pozostali legioniści zrozumieją dzięki temu, czego się od nich oczekuje i co im grozi. Nie zgłosiłem jednakże obiekcji wobec Winiusza, a skoro dowódca legionu nie uważa za konieczne, by udzielić reprimendy centurionowi, z pewnością nie powinien tego robić oficer jazdy, który dopiero co przybył do obozu. Nie zwykłem tłumaczyć się z podejmowanych decyzji podkomendnym, Decjusz. Ufam, że docenisz ten niecodzienny zaszczyt, jaki ci uczyniłem.

– Oczywiście, Cezarze! – odparłem z zapałem.

– Postępuję tak, gdyż wiem, że jesteś inteligentnym człowiekiem, pomimo wielu popełnianych przez ciebie głupstw, które temu przeczą. Co do twojej ali, pozostawię ci stanowisko dowódcy, ale dołączysz do swoich jeźdźców jedynie na paradach, przynajmniej dopóki nie zmienię zdania. Nie zasługujesz na objęcie komendy nad zbrojnym oddziałem, Loverniusz zaś poradzi sobie bez twojej wątpliwej pomocy. To wszystko, Decjusz. Zgłoś się do instruktora – mam na myśli legionowego instruktora, a nie nauczyciela władania mieczem. Chcę, byś poczuł się pewnie, trzymając w dłoniach pilum i scutum.

– Jak rozkażesz – powiedziałem, zżymając się w duchu, bo przeczuwałem, co mnie czeka. Zasalutowałem, obróciłem się na pięcie i wymaszerowałem z namiotu. Nie byłem zadowolony z tej rozmowy, ale Cezar nie musiał przecież na to zważać. Chciałem przedyskutować z nim zachowanie Winiusza i własne zastrzeżenia w stosunku do centuriona, ale Cezara nie interesowało to zupełnie. Nagle zdałem sobie sprawę, że Winiusz odwrócił uwagę od swego naganego postępowania, czyniąc nasz spór

kwestią prywatną, starciem dwóch silnych osobowości. Zrozumiałem, że mam w jego osobie wroga znacznie bardziej niebezpiecznego, niż początkowo zakładałem. Sądziłem, że dawno temu zaniechałem nieliczenia się z ludźmi z powodu ich niskiego urodzenia i prostackich manier, ale jakże często okazywało się, że byłem w błędzie, oszukując bezczelnie samego siebie.

Hermes zdziwił się niepomnie, widząc mnie na placu ćwiczeń. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy zgłosiłem się na szkolenie. Młodzi rekruci wpatrywali się we mnie z rozdziawionymi ustami, aż instruktorzy zagonili ich krzykami do ćwiczeń. Już za moment rozległ się miarowy brzęk mieczy uderzających w tarcze.

– Robiliście to już wcześniej, kapitanie – powiedział instruktor – więc jesteście zorientowani. Możecie się rozgrzać oszczepami, a potem zaczniecie ćwiczenia z pilum. Tarcze leżą tam.

Wzdrygnąłem się na myśl o zbliżających się godzinach. Rzucanie oszczepem to przyjemny sport, w którym radzę sobie niegorzej, ale nie ma co porównywać zawodów organizowanych na Polu Marsowym z ćwiczeniami w pełnym oporządzeniu.

Scutum w niczym nie przypomina lekkich, okrągłych tarcz zwanych parma, których używają jeźdźcy. Zasłania legionistę od podbródka po kostki, a jej grubość dorównuje szerokości dłoni dorosłego mężczyzny. Wykonane jest z trzech warstw cienkiego drewna, sprasowanego i sklejonego tak, że zakrzywia się rynienkowato, zapewniając dodatkową osłonę. Z tyłu scutum pokrywa gruby filc, z przodu natomiast skóra byka, całość zaś spaja metalowa obręcz wykonana z brązu. Długa, wrzecionowata wypukłość biegnie z góry na dół, przecina środek tarczy, rozszerzając się pośrodku, aby zrobić miejsce na dłoń, którą trzyma się poprzeczny imacz.

Po prawdzie scutum przypomina raczej mały przenośny mur niż tarczę;

jedna komenda dowódcy zamienia linię maszerujących legionistów w forteczny wał. Kohorta ustawiona w szyk zwany żółwiem, z legionistami w pierwszym szeregu zasłaniającymi się tarczami, podczas gdy żołnierze dalszych szeregów trzymali tarcze nad głowami, tworzyła jakby jednolity dach. Takiej ścieśnionej kolumnie mógł zagrażać jedynie duży pocisk z katapulty.

Na polu bitewnym scutum zasłania legionistę niemal w całości, pozostaje raczej nieruchoma. W bezpośredniej walce unosi się ją jedynie od czasu do czasu, by sparować cios wymierzony w twarz. Jednak w razie rzutu oszczepem legionista musi unieść scutum, aby zachować równowagę, obciążając w ten sposób lewe ramię i lewy nadgarstek. W trakcie bitwy dochodzi do tego z rzadka, lecz na ćwiczeniach powtarzane jest w nieskończoność. I tak stało się też tego ranka.

Oszczep to lekka, długa na cztery stopy broń służąca do „zmiękczenia” linii nieprzyjaciela przed właściwym starciem, pilum zaś to całkiem inna kategoria. Jest długie, wykonane z jesionu lub innego litego drewna, grubości nadgarstka mężczyzny. Rozszerza się w miejscu łączenia drzewca z cienkim, podłużnym grotem. W porównaniu z oszczepem zachowuje się w trakcie lotu jak zastrugana kłoda.

Specjaliści wielokrotnie ulepszyli pilum, mając na względzie ryzyko związane z odrzuceniem pocisku przez nieprzyjaciela. Mariusz nakazał mocować żelazny grot w drzewcu za pomocą dwóch nitów – żelaznego i drewnianego. W momencie uderzenia drewniany nit pękał, a drzewce obracało się na żelaznym, wskutek czego broń stawała się bezużyteczna. Cezar zdecydował się na inne rozwiązanie – wpadł na pomysł wykuwania grotów z mniej trwałych metali, toteż wyginały się w zetknięciu z tarczami nieprzyjaciela. To rozwiązanie z pewnością przysporzyło roboty płatnerzom, którzy prostowali je po bitwie.

Do ćwiczeń rzecz jasna używano trwalszych oszczepów. Za cel służyła zazwyczaj wiązka słomy oddalona o pięćdziesiąt stóp od rzucającego. Pilum nigdy nie spada dalej. Działo się tak, gdyż ledwie garstce ludzi udawało się cisnąć je na większą odległość. Większość centurionów uczy podkomendnych, by zbliżyli się do celu na odległość dziesięciu stóp i dopiero wtedy rzucali. Dzięki temu rzadko który chybiał, a grad pocisków posłanych z bliska wyrządzał dotkliwsze szkody.

Pilum nie miało uśmiercać nieprzyjaciela, lecz pozbawić go tarczy. Wykrzywiony i zagnieżdżony w tarczy oszczep krępuje ruchy nieprzyjaciela i zmusza go do porzucenia osłony. Legioniści muszą wyćwiczyć w trakcie zajęć następujący tryb postępowania: rzucają pilum w tarczę wroga, dobywają gladius, podchodzą do nieprzyjaciela, kopią w wykrzywiony oszczep, by odsłonić cel, po czym dźgają go mieczem. Większość barbarzyńców jest zbyt leniwa i wygodna, by dźwigać na plecach ciężkie tarcze. Często grot pilum przechodzi przez drewnianą osłonę i zagłębia się w ciało przeciwnika. Wtedy legioniście nie pozostaje już nic innego, jak znaleźć nowy cel. Zdarza się, że barbarzyńcy próbują przetrzymać grad oszczepów, zbijając się w grupy i zasłaniając nawzajem tarczami; niekiedy jedno pilum przebija wówczas wiele tarcz jednocześnie.

Krótko mówiąc, choć wielu zachwala nasze miecze, to pilum wygrywa dla nas bitwy.

Ćwiczenia z pilum przebiegają zawsze według jednakowego schematu: legionista podchodzi do wyznaczonego punktu, unosi pilum nad ramieniem i robi duży krok. Pilum wędruje za plecy, a scutum nad głowę. Aby posłać masywny oszczep na odległość pięćdziesięciu stóp, legionista wykorzystuje siłę wszystkich mięśni, a ból rozchodzi się po całym ciele od prawego nadgarstka aż po lewą kostkę. To chyba oczywiste, że ćwiczenia trwają godzinami, a instruktor dopinguje do wzmożonego wysiłku uszczypliwymi

komentarzami. Oto garść przykładów:

– Niedobrze, kapitanie, ale przynajmniej nie zmęczycie się długim spacerem, by podnieść broń. – Tym razem napędziliście mu stracha, ale słyszałem, że Germanów nie tak łatwo przestraszyć. Powinniście się lepiej przyłożyć. – To nie to samo co wygłaszanie mów na Forum, prawda, kapitanie? Sprawdźmy, czy tym razem uda się wam nie trafić we własną stopę. – Jaki miał pan przydział w poprzednim legionie, kapitanie? Czy wasz niewolnik ciskał za was wykałaczką? – Pocieszałem się jedynie tym, że szeregowych legionistów beszta się znacznie gorzej.

Gdy już miałem paść z wycieńczenia, przyszedł czas na ćwiczenia z mieczem.

– Oto wasz wróg, kapitanie – powiedział były gladiator, wskazując dłonią słup okręcony słomą. – Zabijcie go! Szkoliliście się przecież w ludus w przeciwieństwie do Hermesa. Powinniście więc poradzić sobie z tym barbarzyńcą bez większego kłopotu. Ułatwię wam jednak zadanie. – Podniósł okruch węgla drzewnego i namalował nim mały punkcik wielkości opuszka palca na wysokości szyi. – Nie sposób chybić, prawda? A teraz pchnięcie! – Ostatnie słowo wykrzyczał tak głośno, że zdało mi się, że słyszę odgłos balisty posyłającej potężny żelazny pocisk.

Gdybym nie nadwerężył ramienia ciskaniem pilum, prawdopodobnie trafiłbym w cel. Niestety, z trudem uniosłem miecz do ciosu. Czubek głowni poszybował w górę i opadł, zataczając kręgi przypominające lot pijanej muchy, i trafił ostatecznie pięć cali obok zaznaczonego punktu i sześć cali pod nim.

Instruktor przyłożył dłoń do policzka i głośno cmoknął ku wielkiej uciesze tłumu gapiów, na mój gust nazbyt licznego.

– Kapitanie, chyba wiem, w czym tkwi błąd. Pozwolicie, że was oświecę? Tak? Doskonale. A więc na początek, powinniście wyprowadzić szybki cios.

Kiedy wypychacie ramię z mieczem przed tarczę, pozbywacie się osłony. Z tego powodu my, gladiatorzy, zakładamy w trakcie igrzysk coś w rodzaju rękawa o nazwie *manica*. – Miał na myśli osłonę wykonaną ze skóry lub brązowych płytek noszoną na przedramieniu. – Powinniście zadać cios, mierząc do góry, i natychmiast schować ramię za tarczą, zanim wróg zorientuje się w waszych zamiarach. Wy, niestety, postąpiliście zgoła odmiennie. Pomiedzy chwilą, w której wyprowadziliście cios, a chwilą, w której chybiliście celu, barbarzyńca z łatwością odrąbałby wam ramię. Zdążyłby nawet przyzwać do pomocy kilku kompanów. Spróbujmy raz jeszcze. Postarajcie nie zhańbić się bardziej niż poprzednio, dobrze?

We własnym mniemaniu byłem, powiem nieskromnie, dobrym szermierzem, ale wyszedłem z wprawy, a ponadto miałem za sobą bezsenność noc i męczący poranek spędzony na ćwiczeniach z pilum. Z tego też powodu prezentowałem się gorzej niż nieopierzony rekrut. A należy też pamiętać, że ćwiczyłem w pełnym oporządzeniu, na które składał się hełm, kolczuga, scutum na ramieniu, skórzany pas wyłożony brązowymi płytkami, zaopatrzone u dołu w skórzany fartuch, również pokryty pionowo ułożonymi płytkami. Wyposażenie legionisty ważyło łącznie ponad pięćdziesiąt funtów.

Prawdę powiedziawszy, rzymscy legioniści zasługują jedynie na miano niezłych szermierzy. Żołnierz ma do wypełnienia mnóstwo obowiązków i musi nauczyć się władać wieloma rodzajami broni. Ćwiczenie walki na miecze zajmuje tylko część szkoleń, i to wcale nie największą. Bitwy wygrywają ludzkie masy, uformowane w takim szyku bojowym, który umożliwiał wyprowadzenie najsilniejszego ataku w najsłabszym punkcie linii nieprzyjaciela, i do tego w określonym momencie. Pojedynki opiewane przez Homera należą do rzadkości, gladius zaś służy częściej do tego, by dobić ранego wroga, niż do walki wręcz z podobnie uzbrojonym przeciwnikiem.

Gladiatorzy szkolą się wyłącznie w walce wręcz, i to po całych dniach.



Nie muszą rozstawiać namiotów, kopać dołów, stać na warcie, nie mają mnóstwa obowiązków, które ma do wykonania zwykły żołnierz. Większość z nich wprost po mistrzowsku włada mieczem i byłem pewien, że mój instruktor nie spocznie, dopóki nie zbliżę się do określonego przez niego poziomu wyćwiczenia.

Długi poranek ciągnął się w nieskończoność. Czułem się niczym posąg odlany z wosku, który powoli roztopia się od gorąca. Nieciekawe przedstawienie znudziło gapiów i niebawem rozeszli się w poszukiwaniu innych rozrywek. Gdy okrzyk instruktora położył kres moim cierpieniom, opuściłem tarczę, schowałem miecz do pochwy i ściągnąłem z głowy hełm, z którego buchnął kłęb pary niczym dym unoszący się w chłodnym powietrzu ponad ofiarnym ołtarzem.

Usłyszałem dziewczęcy śmiech i odwróciłem głowę, lecz spływający po czole pot oślepił mnie na krótką chwilę. Gdy zmrużyłem oczy i otarłem twarz dłonią, zobaczyłem Fredeę. Przyglądała mi się, obok niej zaś stał pokraczny niewolnik Molon.

– Zgodnie z wiekowym zwyczajem musimy znosić grubiaństwo legionowych instruktorów, którym wolno karcić wszystkich szkolących się, bez względu na ich stopnie – powiedziałem. – Ale na bezczelność niewolników nie przymykamy z taką łatwością oczu. Nie przeceniaj nadto tego, że należysz do Pierwszej Włóczni.

– Po cóż ta skromność, senatorze? – odparł Molon. – Niebawem dorównacie waszemu młodziutkiemu niewolnikowi. – Ruchem głowy wskazał Hermesa, który z otwartymi ustami i miną zakochanego po uszy gamonia wpatrywał się w Germankę, głuchy na upokorzenie jego pana. Zapragnąłem zabić Molona, i przysięgam, że tak bym zrobił, gdybym tylko miał dość sił, aby unieść miecz.

– A jakim prawem odzywasz się takimi słowami do rzymskiego senatora?

– Z tego, co zasłyszałem, jest was około sześciuset i rzadko który się do czegoś nadaje.

Była to – niestety – godna pożałowania prawda. – Ja jestem chlubnym wyjątkiem. – Z jakąż łatwością wówczas kłamałem. Chciałem zaimponować germańskiej niewolnicy, lecz z miejsca pojąłem, że dziewczyna nie wie zapewne, kim jest senator.

Molon uniósł nierówną brew. – Doprawdy? I może pochodzicie ze znanego rodu?

– Chcesz powiedzieć, że nie słyszałeś nigdy o Cecyliuszach?

Niewolnik rozprostował przygarbione ramiona. – Nie zawędrowałem nigdy do Rzymu. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, jeden albo dwóch Cecyliuszów sprawowało już w Galii władzę.

– No proszę. A nie mówiłem? – Można by uznać za dość dziwne to, że stałem na placu, ociekając potem, po to tylko, by zamienić dwa słowa z bezczelnym niewolnikiem. Na moje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że sytuacja, w jakiej się znalazłem, bynajmniej nie była typowa, toteż nawet tak osobliwą rozrywkę uznałem za upragnioną odmianę. A prócz tego zyskiwałem okazję, by popatrzeć na Germankę.

– Rzymianie – prychnęła, jakby mówiła o czymś zabawnym, acz nie do końca zrozumiałym i trochę odstręczającym. Ku memu wielkiemu rozczarowaniu obróciła się na pięcie i odeszła wolnym krokiem, wywołując niewątpliwie u mijanych żołnierzy przyjemne doznania w kroczu. Molon pozostał na miejscu. Uważnie powiódł wzrokiem dookoła, po czym podszedł bliżej.

– Nie potrzebujecie przypadkiem nowego niewolnika, senatorze?

Zdumiał mnie tym pytaniem. – Masz na myśli Fredę? Nie sądzę, by stać mnie było na taki wydatek, i szczerze wątpię, aby Winiusz sprzedał ją właśnie mnie!

– Miałem na myśli siebie! Bylibyście gotowi mnie kupić?

– Po co? Hermes przysparza mi dość zmartwień.

Skinął głową, a jego twarz przybrała chytry wyraz. – Otóż to. Mógłbym go przypilnować, oćwiczyć, gdyby coś ukradł. Wyglądacie na pana o zbyt miękkim sercu, by własnoręcznie wybatożyć niewolnika.

– Rozumiem już, dlaczego się mną zainteresowałeś. Wyjaśnij, dlaczego miałbym cię kupić.

– Znam te ziemie, senatorze. Znam także wszystkie zamieszkałe tu plemiona. Mówię ich językami. Tutejsi barbarzyńcy nie widzą poza mną świata, panie.

– Widziałem, że germańscy posłowie darzyli cię szacunkiem. Skoro jesteś tak cenną własnością, to dlaczego Winiusz miałby się z tobą rozstać?

– Cóż, senatorze, mój pan ma plany, które mnie nie obejmują i sądzę, że sprzeda mnie tanio. Możecie skorzystać z pośrednika, jeśli nie chcecie targować się o cenę.

– Posłuchaj mnie uważnie, człowieczku. Nie dam zrobić z siebie głupka. Widziałem wszystkie greckie i rzymskie komedie i wiem, że niewolnicy tak szkaradni jak ty to z reguły szubrawcy i oszuści. Poszukaj innego kupca.

Molon uśmiechnął się przebiegle, ale trzeba zauważyć, że właściwie jego wszystkie miny były naznaczone przebiegłością. – Przemyślcie to raz jeszcze, senatorze. Jestem pewien, że szybko pojmiecie, jaką jestem okazją. – Odwrócił się i odszedł, a raczej pokuśtykał.

– Chyba go nie kupicie? – stęknął Hermes blady z przerażenia.

– Kto wie? Może to zrobię, jeśli się nie poprawisz – ostrzegłem go.

W nocy, kiedy już skończyłem przeglądać raporty Cezara, nadal siedząc na składanym krześle, zastanawiałem się nad propozycją niewolnika i posilałem się skromną kolacją, którą popijałem miejscowym winem wymieszanym z wodą. O dziwo, nieźle smakowało. Powoli wszystko, co nie

miało smaku octu, wydawało się dobre.

Czy Molon rzeczywiście chciał, bym go kupił? Dlaczego? Z łatwością mogłem sobie wyobrazić, czemu nie chciał być dłużej niewolnikiem kogoś pokroju Tytusa Winiusza. Skoro centurion traktował tak okrutnie legionistów, to co robił ze swoimi niewolnikami? Ale z jakiego powodu Winiusz miałby przystać na moją ofertę?

Odpowiedź narzucała się sama. Winiusz przysłał Molona na przeszpiesi. Takiego myślenia starałem się unikać. Znałem dobrze takich ludzi, których myśli zaprzętały tylko plany wrogów i już niebawem na każdym kroku widzieli spiski, intrygi i szpiegów.

Jednakowoż życie rzymskiego polityka to były właśnie spiski, intrygi i szpiegostwo, lecz nie sądziłem, że spotkam się z czymś takim w zwykłym legionowym obozie.

Co miał na myśli Molon, mówiąc o „planach” swego pana, w których nie było dla niego miejsca? Nie wątpiłem, że Winiusz byłby zdolny wyrzucić bezużytecznego niewolnika do kloaczego dołu, nie zaprzętając sobie nim głowy. Uznałem, iż Molon, wypowiadając słowa bez znaczenia, maskował jedynie prawdziwy powód rozmowy ze mną. Jak widać, ten sposób postępowania nie dotyczy jedynie wystąpień przed zgromadzeniami.

Głównie jednak zastanawiałem się, w jaki sposób wydostać Fredę z brudnych łap tamtego człowieka, i wnet ta sprawa zaprzętnęła wszystkie moje myśli. Miałem wówczas prawie trzydzieści dwa lata i głupie chłopięce namiętności powinny być mi obce, lecz z pewnych rzeczy nigdy się zupełnie nie wyrasta. Myśl, że niemal cały legion zaprawiony w bojach podzielał moje odczucia, przynosiła mi ulgę i sprawiała, że byłem nieco mniej zażenowany. Ale tylko nieco.

## ROZDZIAŁ 6

Kolejne dni biegły w jednakowym rytmie: pobudka o absurdalnie wczesnej godzinie, odprawa oficerów, poranek spędzony na musztrze z bronią, popołudnie na przeglądaniu dokumentów Cezara, a w nocy głęboki sen ze zmęczenia; znoszenie docinków kolegów oficerów i pogardliwych uśmiezków legionistów nie podlegało żadnemu rytmowi.

Takie życie miało jednakże swoje zalety. Bycie pośmiewiskiem armii przeciwdziało popadnięciu w arogancką dumę, ściągającą gniew bogów. Ilekroć mijalem legionistów z centurii Winiusza, ci salutowali mi z szacunkiem i nigdy nie stroili sobie ze mnie żartów.

Moi Galowie, odwiedzając mnie nadspodziewanie często, okazywali mi sympatię i współczuli z powodu położenia, w jakim się znalazłem. Okazało się, że ta zgraja ciemnych barbarzyńców to całkiem porządni ludzie. Dołączyłem do nich tylko raz, gdy Cezar zarządził przegląd auxyliów, wojsk, które zbierał wytrwale i w dużej liczbie pośród najbliższych sojuszników Rzymu.

Redagowanie dokumentów Cezara miało również tę dobrą stronę, że dzięki temu poznawałem bliżej armię oraz sposób jej zarządzania. Walka zajmuje tylko niewielką część czasu żołnierzy, nie licząc rzecz jasna tych chwil, gdy odpierają ataki. Legioniści przede wszystkim uczestniczą w ćwiczeniach, nim dostaną nowe rozkazy, oficerowie zaś dbają o ich żołądki, wyposażenie i żołąd. Morale armii zależy od tego, jak rzetelnie

dowódcy pełnią owe obowiązki.

Zagadnienia związane z zaopatrzeniem armii otworzyły mi oczy na sprawy dla mnie zupełnie nowe. Ujmując rzecz w dużym skrócie, chodzi tu głównie o kontakty z cywilnymi dostawcami. Konszachty miejscowych handlarzy z oficerami zaopatrzeniowymi przypominały układy cenzorów z publikanami. Spore łapówki przekazywane były jawnie, a wielkość liczby oficerów – zarówno dowódców legionowych, jak i oddziałów auxiliów – którzy mieli gospodarstwa i warsztaty na terenie prowincji, wprowadziła mnie w osłupienie.

– Czy sądzisz, że to umknęło jakoś mojej uwadze? – spytał mnie pewnego wieczoru Cezar, gdy napomknąłem o takich sprawach w rozmowie.

– Zastanawiałem się przez moment, czy zdajesz sobie do końca sprawę z wszechobecności korupcji – odparłem. – Dla przykładu, spójrzmy na tego tu oto Nazariusza, dowódcę oddziału sojusznicznych łuczników. Ten sam Nazariusz jest również właścicielem największych garbarni w tej prowincji. Po przybyciu na te ziemie Kajusz Paterculus, prefekt obozu, uznał, że wszystkie namioty Dziesiątego Legionu nie nadają się do użytku i nakazał wymienić je na nowe. Kontrakt na sprzedaż skór wygrał, o dziwo, Nazariusz. Legion potrzebuje mniej więcej ośmiu setek namiotów. Zakładając, że na uszycie jednego namiotu potrzeba około dwunastu skór otrzymujemy... – arytmetyka nigdy nie była moją mocną stroną – cóż, to bardzo dużo skór. Gdy weźmie się pod uwagę kwotę przeznaczoną na zakup skór oraz cichą umowę łączącą Nazariusza i Paterculusa, można zaryzykować twierdzenie, że do sakiewki prefekta obozu trafiła całkiem okrągła suma. – Prefekt obozu był oficerem odpowiedzialnym za administrację całego obozu, a sprawował w nim dowodzenie, kiedy legion wyruszał w pole.

Cezar, który dyktował coś niewolnikowi, westchnął i położył dłonie na nieco zaokrąglonym brzuchu. – Decjuszu, przecież to odwieczna wojskowa

tradycja, którą zapoczątkował, jeśli mnie pamięć nie myli, Romulus. Przecież musimy od kogoś kupić te skóry, więc nie powinno dziwić, że tym kimś jest największy dostawca w okolicy. Gdyby ktoś próbował sprzedać nam towar poorestniej jakości za wygórowaną cenę, tobyśmy mieli do czynienia z prawdziwą korupcją, którą ukarałbym przykładnie. Jednak sam obejrzałem nowe namioty i stwierdziłem, że materiał jest pierwszorzędny. To oczywiście, że namioty uszyte z myślą o południowym klimacie są niezbyt odpowiednie w Galii. Skoro nie traci na tym Republika, to czy można mówić o szkodzie?

– To nie jedyny przykład, i z całą pewnością nie najbardziej rażący. Są jeszcze...

– Decjusz – wszedł mi w słowo Cezar. – Jestem pewien, że znane są mi wszystkie przykłady, które miałeś zamiar przywołać wraz z ich ciemnymi stronami. Nic nie poradzisz na takie praktyki. Jesteś rzymskim politykiem i nie zabawisz u Orłów dłużej niż rok, może dwa, gdyż wymaga tego od ciebie polityczna kariera. Ludzie dowodzący legionem spędzają w wojsku całe swoje życie.

– A zawsze z każdej transakcji coś skapnie Prefektowi Obozu i Pierwszej Włóczni – dodałem z przesadną goryczą w głosie.

Cezar uśmiechnął się lekko. – Teraz już wiesz, dlaczego stanowisko Prefekta Obozu przyznawane jest jedynie na rok i zazwyczaj otrzymuje je centurion odchodzący ze służby. To jego ostatnia szansa na nabicie sakiewki. W teorii nawet najbardziej nieudolny prefekt nie może wyrządzić przez rok takich szkód, których by się nie dało naprawić. To, co zdoła odłożyć, będzie jego nagrodą za dwadzieścia pięć lat służby pełnej wyrzeczeń i trudów. To prawda, że ten system daleki jest od ideału, ale działa.

– Podejrzewam, że to samo można powiedzieć o systemie rządów w ogóle – zauważyłem.

– Ano właśnie. A teraz zmykaj, Decjusz – powiedział Cezar, po czym

wrócił do dyktowania notatek, ignorując mnie całkowicie.

W istocie, byłem zdziwiony, że Cezar poświęcił mi tak dużo uwagi. Zmartwienia wyłobiły na jego twarzy świeże bruzdy, oczy zaś poczęły tracić dawny blask. Nowych legionów wciąż nie było, traciliśmy cenny czas, podczas gdy siły barbarzyńców rosły. Cezar nie mógł dłużej zwlekać z podróżą do Italii. Miał nadzieję, że zdoła jakoś uniknąć wyjazdu, gdyż mógł on zostać zrozumiany jako ucieczka i porzucenie armii w przededniu wojny.

Złe myśli nie opuszczały legionistów. Poczucie zagrożenia wraz z jednoczesną beczynnością niszczyły morale wojska. Po obozie poczęły krążyć niebezpieczne pogłoski: wróg nadciąga; stoi na drugim brzegu rzeki; jest niewidzialny za sprawą zaklęć i czarów. Sprzedawcy talizmanów i przepowiadacze przyszłości nieźle się obłowili, nim Cezar nakazał wypędzić ich z obozowego forum.

Wszędzie dopatrywano się znaków: w locie ptaków, błyskach piorunów, a ponadto w zachowaniu zwierząt, będących obozowymi maskotkami. Taka sytuacja zmusiła wreszcie Cezara do wygłoszenia przemowy do żołnierzy. Starał się zagrzewać ich do boju, jakby za moment mieli walczyć z wrogiem. Przypomniał im, że jako pontifex maximus i augur z wieloletnim doświadczeniem sam potrafi interpretować omeny. Słowa dowódcy wcale nie uspokoiły legionistów, nadal każdej nocy na wale rozlegały się okrzyki wartowników, którzy w ciemnościach dostrzegali hordy nadciągających Galów. Wymierzone dla przykładu kary chłosty niewiele pomagały.

Najlepszy rzymski legion całkowicie podupadł na duchu.

– Wstawaj! – syknął ktoś w moje ucho. Uniosłem jedną powiekę. Dookoła panowały egipskie ciemności.

– To ty, Hermesie? – spytałem, lecz w tym samym momencie usłyszałem



chrapanie niewolnika śpiącego obok mego łóżka.

– Zapomnij o swoim chłopcu – nakazał głos. – Masz się bezzwłocznie zgłosić do prokonsula. Po cichu! – dodał z przyciskiem.

– Kim jesteś? – Nie widziałem twarzy mówiącego. Równie dobrze mogliśmy siedzieć na dnie kopalnianego szybu.

– Publiusz Aureliusz Cotta – odparł z emfazą głos. Był młodym trybunem, nosił szacowne nazwisko, lecz ze względu na nadpobudliwość nie miał specjalnych szans, aby stać się chlubą swego rodu.

– O co chodzi? – spytałem stanowczo i siadłszy na łóżku, szukałem po omacku sandałów.

– O coś ważnego – odparł, bezmyślnie potwierdzając oczywistość.

– Nie zabrałeś przypadkiem ze sobą lampy? Nie mogę znaleźć ekwipunku.

– Mniejsza z nim – odrzekł. – Tu chodzi o rozkaz Cezara.

A więc musiało wydarzyć się coś bardzo ważnego. Cezar zarządził przecież surowe kary dla legionistów i oficerów poruszających się po obozie bez hełmu. Natrafiłem dłonią na pas i miecz, zapiąłem go, oplótłszy na biodrach. Wyciągnąłem ręce przed siebie i wolno stawiając kroki, skierowałem się do wyjścia z namiotu. Cotta chwycił mnie za ramię i dostrzegłem poświatę bijącą od rozpalonych ognisk.

– Nie słyszę odgłosów alarmu – powiedziałem. – Zakładam, że Galowie nie zaatakowali obozu. Jeśli Cezar chce, bym przepisał kolejną partię jego cholernych raportów dla senatu, to zdezerteruję.

– To chyba coś ważniejszego – odparł Cotta, siłąc się na typową dla arystokraty nonszalancję, ale mu to najwyraźniej nie wyszło – potrzebował jeszcze ładnych paru lat doświadczenia.

– O co w takim razie chodzi?

– Nie wolno mi o tym mówić. Cezar nakazał, abym zbudził cię po cichu.

– Czyli nie chciał, żeby dowiedzieli się o tym żołnierze. W takim razie mówimy o czymś poważniejszym niż typowe kłopoty dowódcy legionu. Pewnie zapomniano wystawić warty, Galowie przedarli się do obozu i teraz chce, bym naprawił... – Potknąłem się o linę namiotu i upadłem na twarz. Wyprowadzony z równowagi wymamrotałem jedynie parę przekleństw pod nosem. Cotta był zadowolony, że zamilkłem.

Niebawem doszliśmy do pretorium oświetlonego pochodniami. Przy stole zobaczyłem grupkę oficerów owiniętych wełnianymi płaszczami. Mieli miny równie kwaśne jak ja. Rozpoznałem legata Labienusa i Prefekta Obozu Paterculusa, pozostałych nie znałem zbyt dobrze. Mój wzrok padł na Carbo i stojącego obok niego Gala. Barbarzyńca, niższy niż jego pobratymcy, był ubrany w ciemną tunikę i spodnie. Ramiona i twarz miał wymazane ciemną farbą.

– To ty, Metellusie? – spytał Cezar, przechodząc pochyłony pod połami namiotu. – Dobrze, zaczynajmy.

– Za wałami obozu mogą czaić się jeźdźcy – powiedział jeden z oficerów.

– I cóż z tego? – odparł Cezar. – Czyż nie mamy przy sobie broni? Dalej, panowie. To poważna sprawa i chcę jej poświęcić odpowiednio dużo uwagi, zachowując przy tym stosowną dyskrecję.

Ruszyliśmy w ślad za Cezarem. Przychodziły mi do głowy kolejne pytania, lecz wiedziałem, że nie powinienem ich zadawać. Opuściliśmy obóz przez Porta Decumana, bramę dzielącą w połowie północny wał. Straże spoglądały na nas z otwartymi ustami, Cezar rozkazał im milczeć pod karą śmierci. Ton głosu, jakim wypowiedział ten rozkaz, nie pozostawiał wątpliwości co do jego prawdziwości. Warto tutaj dodać, że obozowe bramy nie są w rzeczywistości prawdziwymi bramami z odrzwiami i ryglami, lecz zachodzącymi na siebie fragmentami wałów. Istnieje kilka sposobów ich rozmieszczenia, choć wszystkie opierają się na koncepcji, że nieprzyjaciel

próbujący wdrzeć się do środka ma się znaleźć pod krzyżowym ostrzałem z kilku stron jednocześnie.

Gdy wyszliśmy poza mury, na czele grupy stanął Gal. Szedł pewnym krokiem, jakby miał dodatkową parę oczu widzących w ciemności, i pochyłał się nieznacznie niczym biegacz na starcie. Przypominał mi gończego psa, szamoczącego się na smyczy.

Nigdy nie lubiłem przebywać z dala od obozu, który zapewniał poczucie bezpieczeństwa. Stanowiliśmy tutaj zbyt łatwy cel dla barbarzyńskich zwiadowców. Wystarczył jeden porywczy harcownik, a dwóch z nas straciłoby życie, zanim pozostali zdążyliby się zorientować. Rzymianie nie cierpią nocnych walk, i to wcale nie bez powodu.

Jeśli nie straciłem orientacji, to podążaliśmy na północny wschód, ku jezioru. Niebawem zaczęło chlupać przy każdym kroku, co potwierdziło moje przypuszczenia. Znaleźliśmy się na podmokłym terenie, który Carbo patrolował na polecenie Cezara, ograniczając wypady galijskich harcowników. Przed nami słychać było przytłumione głosy i po chwili rozstąpili się przed nami żołnierze z lekkobrojnymi auxilliów, ustawieni w półkole.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Carbo. Stanęliśmy przy brzegu jeziora. Usłyszałem ciche chlupanie fal i zauważyłem gwiazdy niewyraźnie odbijające się w wodzie. W powietrzu unosił się charakterystyczny, wilgotny zapach, typowy dla urodzajnych terenów, na których woda spotyka się z ziemią. Mój nos wychwycił również inny zapach, znacznie mniej przyjemny. Dlaczego przyszliśmy nad brzeg jeziora w środku nocy?

– Niczego nie widzę – skomentował Cezar. – Skrzeszcie ogień i zapalcie pochodnie.

– Galowie mogą nas zobaczyć – zaproponował Labienus.

– Niech tylko przyjdą! – warknął gniewnie Cezar. Najwidoczniej pomysł

pobudki o tak niehumanicznej godzinie wydał się prokonsulowi równie niedorzeczny jak mnie. Niebawem rozległy się dźwięki przypominające cykanie świerszczy. To jednocześnie kilku żołnierzy usiłowało skrzesać ogień, co przerywało nudę wieczornej warty.

– Ha! – wykrzyknął jeden z nich, a w jego głosie pobrzmiewała satysfakcja człowieka, który wygrał zakład o pieniądze. Klęczący Gal jako pierwszy zdołał skrzesać iskrę, która padła na ułożoną na tarczy podpałkę. Dmuchał ostrożnie i tłąca się podpałka zapłonęła. Drugi Gal przysunął do ognia pochodnię i po chwili pierzchnął najbliższy krąg ciemności.

– Przynieście tu pochodnie – nakazał Cezar. Stał nad brzegiem, a w migotliwym świetle pochodni dostrzegłem, że u jego stóp coś się unosi na wodzie. Nagle nabrałem pewności, że było to ludzkie ciało. Cóż innego mogłoby ściągnąć nad brzeg jeziora prokonsula o tej porze? Ale do kogo należało?

– Gal miał rację – powiedział Labienus. – Musi mieć wzrok niczym sowa, skoro rozpoznał go w tym mroku.

– Wyciągnijcie go z wody – rzucił Cezar. – Decjuszu Metellusie, podejdź do mnie.

Wypełniłem polecenie, podczas gdy dwóch żołnierzy weszło do wody, by wynieść zwłoki. Obaj byli Galami, a oni – w przeciwieństwie do Rzymian – nie boją się dotykać trupa. Łowcy głów nie mogą mieć fanaberii.

– Prokonsulu? – powiedziałem.

– Decjuszu, właśnie przypomniałem sobie, z jakiego powodu chciałem cię mieć przy sobie. Ze względu na podobne przypadki.

Galowie ułożyli na plecach zwłoki wyciągnięte z jeziora. Oświetlono topielca pochodniami. Twarz miał wykrzywioną i opuchniętą, prawdopodobnie z powodu pętli zaciśniętej wokół szyi, lecz rysy trupa dało się rozpoznać.

Przede mną leżały zwłoki Tytusa Winiusza, Pierwszej Włóczni Dziesiątego Legionu.

Wyprostowałem się. – W porządku, dorzucę się do funduszu pogrzebowego, choć idę o zakład, że w najbliższej okolicy nie znajdziemy zbyt wielu zawodowych płaczków.

– Nie prowokuj mnie, Decjuszu! – warknął Cezar. – To poważna sprawa i wielka strata dla całego legionu. Nastroje żołnierzy sięgnęły już dna, a teraz dowiedzą się jeszcze o śmierci Pierwszej Włóczni! To morderstwo może pociągnąć za sobą katastrofalne skutki!

– Moim zdaniem niepomernie polepszy morale żołnierzy.

– Nie sil się na głupie żarty. Chcę jak najszybciej zobaczyć mordercę, by go przykładowo ukarać.

– Skąd pewność, że mamy do czynienia z morderstwem? – spytałem. – I co centurion robił tu sam? Jeśli ten głupiec włóczył się samotnie po nocy, mógł natknąć się na galijskich harcówników, a wtedy należy mówić nie o morderstwie, lecz o działaniu wroga.

Cezar westchnął. – Decjuszu Cecyliuszu, sądziłem, że znasz się na tego rodzaju sprawach. Nawet ja, któremu brakuje twoich niezwykłych talentów, zauważyłem, że Tytusa Winiusza nie pozbawiono głowy.

– Przyznaję, że choć to nietypowe, to jeszcze nie przesądza o wszystkim. Dla przykładu... – przerwano mi, ku mojej wielkiej uldze, gdyż nie miałem alternatywnej wersji wydarzeń.

– Cezarze – powiedział Paterculus. – Czy pozwolisz, że się wypowiem szczerze? – Był to wiekowy, szpakowaty, pocący się mężczyzna, a jego twarz przypominała alpejskie urwisko.

– Proszę, mów od serca.

– Nie potrzebujecie tego tu... filozofa, by domyślić się, kto zabił Tytusa Winiusza. Mordercą jest z pewnością któryś z żołnierzy służących w jego

centurii. Winiusz był przez nich wszystkich znienawidzony.

– Zapewne – natychmiast zabrałem głos, gdyż nie spodobał mi się kierunek, w jakim podążała jego wypowiedź. Pojąłem, kim będzie główny podejrzany już w chwili, kiedy mój wzrok spoczął na twarzy martwego Winiusza. – Zaprosili go w środku nocy na spacer brzegiem jeziora. Bez broni. Centurion przystał na propozycję z rubaszością, z której słynął jak Republika długa i szeroka.

– Nie mówcie głupstw – odparł Paterculus. – Zabili go w obozie lub na wale, a potem zaciągnęli tutaj.

– I nikt tego nie zauważył? – zapytałem z naciskiem.

– Nikt. Wału strzeże dzisiejszej nocy Pierwsza Centuria.

– Sekret strzeżony przez osiemdziesięciu ludzi niedługo da się zachować.

– To nie musiała być cała centuria – dodał Paterculus. – Wystarczyło jedno contubernium, które sprawiało największe kłopoty. Ten chłopiec... jak mu na imię? Burrus? Dajcie mi go na godzinę. Wyduszę z niego całą prawdę.

Sprawy z miejsca przybrały zły obrót. – Cezarze – powiedziałem. – Jeśli śmierć Pierwszej Włóczni jest dla ciebie ciosem, jakie wywrze wrażenie na całym legionie? Jeśli żołnierze Dziesiątego zamordowali własnego centuriona, skutki tego czynu będą poważniejsze niż demoralizacja. Mordercy mogą sprowokować naśladowców.

Cezar stał pogrążony w myślach i dopiero po chwili odezwał się. Mówiąc głuchym głosem, lecz zupełnie wyraźnie.

– Mówisz do rzeczy, Decjuszu. Dlatego wyznaczam cię na oficera śledczego. Jeśli tego mordu nie dopuścili się żołnierze Pierwszej Centurii Pierwszej Kohorty, to masz znaleźć prawdziwego sprawcę, i to szybko. Niniejszym zwalniam cię z pozostałych obowiązków. Ja w tym czasie zajmę się dyscypliną żołnierzy.

– Czy będę miał prawo przesłuchać każdego, kogo zechcę? Legionistę

i oficera? Niewolnika i człowieka wolnego? Obywatela i barbarzyńcę?

– Jako prokonsul Galii i Ilirii nadaję ci prawo przesłuchania każdej żywej istoty przebywającej na terenie podlegającym mojej władzy. Nie trać jednakże zdrowego rozsądku i zachowaj dyskrecję.

– Nie, Cezarze – odparłem. Szepty zgromadzonych umilkły.

– Co takiego? – spytał Cezar, nie dowierzając własnym uszom.

– Chcę przeprowadzić to śledztwo, lecz dyskrecja nie może mi krępować ruchów. Znajdę mordercę bez względu na to, jak ohydne i niskie motywy nim powodowały. Nie chcę, by ktoś oskarżył mnie o grzech zaniechania, popełniony z obawy o splamienie twego honoru. Musisz potwierdzić, tu i teraz, w obecności oficerów, że nadajesz mi pełnię władzy, że wolno mi będzie przesłuchać i aresztować każdego, na kogo padnie choćby cień podejrzenia. W przeciwnym razie wrócę do musztry z bronią.

Cezar długo milczał, mierząc mnie wzrokiem. Migotanie płomieni pochodni sprawiało, że jego twarz wyglądała jak przerażająca maska. Wtem nieoczekiwanie uśmiechnął się i lekko skinął głową. Gest ten był tak nieznaczny, że można go było wziąć za efekt gry światła i cieni.

– Dobrze. Przydzielę ci dwóch liktorów, by legitymizowali nadane ci uprawnienia. Po południu odprawię ceremoniał żałobny ku pamięci Tytusa Winiusza, po czym wyruszę do Italii po obiecane mi legiony. Podczas mojej nieobecności dowodzenie przejmie Labienus. Decjuszu, do mego powrotu masz schwytać sprawców. Jeśli nie zdołasz tego zrobić, będę musiał podjąć niezbędne kroki, aby przywrócić dyscyplinę w Dziesiątym Legionie.

– Cezarze, czy mam nakazać żołnierzom, żeby zabrali zwłoki do obozu?  
– zapytał Carbo.

– Proszę, zostawcie je tutaj do wschodu słońca – powiedziałem. – Chcę przyrzeć się im oraz najbliższej okolicy w świetle dnia.

– Dobrze – odparł Cezar. – Tak będzie nawet lepiej. Niebawem zabrzmią

trąbki na pobudkę i cały obóz stanie na nogi. Nie chcę, by wśród namiotów poczęły krążyć straszliwe plotki, gdy dookoła panują ciemności, a umysły żołnierzy wystawione są na pastwę pierwotnych lęków. Carbo, poślij po swoich ludzi i wystaw strażę przy zwłokach, ale trzymaj je na bezpieczną odległość. Idziemy stąd, panowie. Mamy do omówienia inne sprawy – zakończył, odwracając się.

– Za twoim pozwoleniem, prokonsulu – powiedziałem – zostanę tu do wschodu słońca. Wolę dopilnować, by nikt nie ruszał ciała.

– Jak sobie życzysz – odrzekł Cezar i ruszył w kierunku obozu. Carbo odszedł w poszukiwaniu swoich legionistów, a pozostali oficerowie podążyli w ślad za Cezarem. Ich wzrok mówił o tym, że nie wiedzą, co mają o mnie myśleć. Labienus pozostał dłużej przy zwłokach.

– Kim jesteś, Metellusie? Nigdy nie widziałem Rzymianina zachowującego się z tak jawną bezczelnością. Bliżej ci do bohatera, czy może jesteś szaleńcem?

– Pewna kobieta nazwała mnie niegdyś męską harpią. Ścigam złoczyńców i doprowadzam do ich oskarżenia.

– To wiele wyjaśnia. – Skinął głową. A więc jesteś szaleńcem – dodał, po czym odszedł.

Żołnierze urozmaicali sobie czas, grając w kości w świetle pochodni. – Gdzie jest ten człowiek, który znalazł ciało? – spytałem rozkazującym tonem. Jeden z graczy odwrócił głowę i krzyknął coś przez ramię. Gal wyłonił się z mroków nocy niczym jej fragment oderwany od litej ciemności, by tchnąć w nią życie.

– Opowiedz, jak go znalazłeś – powiedziałem.

– Przeprowadzaliśmy nocny zwiad i...

– Powiedz mi najpierw, kim jesteś.

– Nazywam się Ionus, służę w oddziale galijskich zwiadowców Drugiej



Kohorty – odparł z tak silnym obcym akcentem, że ledwie się go rozumiało. Wojska pomocnicze dzieliły się na kohorty, nigdy na legiony. – Dowodzi nami kapitan Carbo, waleczny niczym lew, przebiegły niczym wąż, krzepki niczym dzik...

– Tak, tak, wiem wszystko o zaletach kapitana Carbo. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Opowiedz, jak znalazłeś zwłoki.

– Każdego wieczoru, tuż po zapadnięciu ciemności, przeprowadzamy zwiad. Przeczesujemy bagnisko w poszukiwaniu Helwetów, którzy usiłują przedrzeć się za wał. Pod obozem dzielimy się na dwa oddziały i ustawiamy w dwóch liniach, ciągnących się aż do dużego wału. Kapitan Carbo dowodzi nami z prawego skrzydła. Na jego rozkaz ruszamy w kierunku jeziora. My, zwiadowcy, podążamy przodem, sto kroków przed resztą. Wybrano nas z powodu naszych umiejętności. Poruszamy się bezszelestnie i dobrze widzimy w ciemnościach. Wolskowie, moje plemię, słyną z tego.

– Zapewne niezgorsi z was złodzieje bydła?

– Najlepsi! – odparł Gal z szerokim uśmiechem. Tak jak starożytni Grecy za czasów Homera uważali piractwo za proceder godny dobrze urodzonych, a nasi przodkowie za czasów Romulusa nie widzieli nic zdrożnego w przywłaszczaniu sobie cudzych żon, Galowie traktują kradzież bydła jako wyśmienitą rozrywkę i uczciwy sposób wzbogacenia się.

– Mów dalej. Wyruszyliście na zwiad. Natknęliście się na nieprzyjaciół?

– Nie, nie napotkaliśmy tej nocy nikogo, co było raczej dziwne, bo zwykle chwytny od trzech do dwudziestu ludzi. Być może Helweci uznali tę noc za niesprzyjającą wypadowi i nie ośmielili się zapaść za wał.

– Przeczesałiście cały teren aż do jeziora?

– Tak. Kapitan Carbo nakazał nam jeszcze sprawdzić brzeg jeziora i pobliskie stawy. Czasami Helweci kryją się w trzcinach, czekając, aż odejdziemy. Poprowadziłem tych włóczyków – gestem dłoni wskazał

żołnierzy grających w kości – i doszliśmy tutaj, nad ten staw. Wtedy dostrzegłem trupa.

– Nie stoimy nad brzegiem jeziora? – spytałem zdziwiony.

– Nie, jezioro jest jakieś pięćset kroków dalej. Stoimy nad stawem, jest tu ich sporo w okolicy. Trzciny porastające jego brzegi to dobra kryjówka. Zwiadowcy zaczęli przeczesywać włóczniami trzcinowe zarośla, gdy zauważyłem kształt unoszący się na wodzie. Początkowo myślałem, że to zwłoki Helweta ranionego poprzedniej nocy, który ukrył się w zaroślach i tam dokonał żywota. Potwierdzała to ciemna tunika. Ale potem zauważyłem gołe nogi, co wskazywało na Rzymianina.

Większość Galów nosi spodnie. Nierzadko idą do boju z nagimi torsami, zarzucają tylko na ramiona lekkie płaszcze. Niektórzy walczą nago, bo ufają, że nad ich życiem czuwają bóstwa, nie wierzą bowiem, że może ich ochronić cokolwiek innego. Bardzo rzadko jednak wdziewiają same tuniki i odsłaniają nogi na wzór cywilizowanych żołnierzy.

– Kiedy go rozpoznałeś?

– Leżał w wodzie na brzuchu. Podeszedłem do niego, by odciąć mu głowę, ale wtedy dostrzegłem, że ma krótko przystrzyżone włosy, dlatego zyskałem pewność, że to Rzymianin. Przewróciłem go na plecy i od razu poznałem twarz. Pierwsza Włócznia stoi zawsze u boku Cezara, gdy ten dokonuje przeglądu wojsk, tak jak dwa dni temu.

– Mówiłeś prawdę o swoim doskonałym wzroku. Zauważyłeś coś jeszcze?

– Poleciałem włócznikom stanąć na warcie i pilnować ciała, a sam pobiegłem do kapitana Carbo, by złożyć raport. Razem poszliśmy do Cezara. Nie uwierzył nam, lecz zmienił zdanie, gdy posłał po Pierwszą Włócznię, a legioniści nie znaleźli go w obozie. Wtedy zwołał oficerów, a ja zaprowadziłem was tutaj.

Niebawem zjawili się żołnierze Carbo i przez dłuższą chwilę ustawiałem ich w kordon wokół miejsca, gdzie leżały zwłoki. Nakazałem im, by nie opuszczali posterunków i nie zbliżali się do ciała, choć szczerze wątpiłem, by zdołali zatrzeć jakiegokolwiek ślady, skoro pół Republiki przemaszerowało tędy w trakcie ostatnich godzin.

Powoli, niemal niedostrzegalnie niebo na wschodzie stawało się coraz jaśniejsze, a odległe przedmioty coraz bardziej widoczne. Po upływie jakiegoś czasu już sam widziałem, że stoję nad brzegiem stawu. Zajmował powierzchnię mniej więcej trzech akrów i do połowy zarastały go kępy trzcin. W oddali dostrzegłem lustro wody jeziora Lemannus. Zadowolony z nastania jasnego dnia, przykucnąłem nad ciałem.

Śmierć nie uszlachetniła rysów twarzy Tytusa Winiusza. Jego szeroko otwarte usta wykrzywiał szpetny grymas, co dowodziło, że centurion chciwie łykał powietrze w ostatnich chwilach życia. Za inny powód tej okropnej miny uznałem pleciony rzemień, owinięty i zaciśnięty na szyi. Zasupłany na kręgach szyjnych, werznął się głęboko.

Centurion miał na sobie ciemną tunikę z szorstkiej wełny, jaką noszą zazwyczaj niewolnicy. W jasnym świetle poranka dostrzegłem na wysokości serca rozcięcie o szerokości mniej więcej trzech palców. Chwyciłem za tunikę i zsunąłem ją do połowy. Dwa cale na lewo od mostka widniała rana kłuta. Nie zauważyłem krwi, ale przecież zwłoki leżały w wodzie ładnych parę godzin. Ponadto wiedziałem, że takie rany mogą powodować krwotok wewnętrzny. Wiedziałem to od mojego starego przyjaciela Asklepiodesa i w tamtej chwili żałowałem, że nie ma go przy mnie. Potrafił interpretować rany nie gorzej niż łowczy tropy zwierzyny.

Mogłem jedynie stwierdzić, że ranę zadano nożem o dwustronnym ostrzu. Podobne mieli u pasa wszyscy żołnierze w obu obozach. Sam taki miałem. Rana dowodziła, że napastników było co najmniej dwóch. Oczami

wyobraźni zobaczyłem scenę ataku. Pierwszy mężczyzna zarzuca pętlę na szyję Winiusza i zaciska sznur. Być może centuriona ugodzono w pierś, bo zbyt zaciekle walczył o życie. Być może rzemień miał go jedynie unieruchomić, żeby napastnik uzbrojony w nóż mógł wykonać egzekucję.

Po chwili zwróciłem uwagę na osobliwy kształt głowy. Zwalczywszy w sobie przesadną odrazę, zanurzyłem palce w mokrych włosach. Pod gęstą, kręconą czupryną, przypominającą w dotyku owcze runo, wymacałem ranę. Poczułem pod opuszkami ruchome fragmenty kości czaszki. Ktoś trzasnął Winiusza w głowę pałką lub innym tępym narzędziem. Czyżby morderców było trzech?

Niekoniecznie. Ktoś taki jak Winiusz z pewnością stawiał opór. Być może nożownik albo dusiciel najpierw zdzielili ofiarę maczugą po głowie, by zwiększyć swoje szanse. Na pierwszy rzut oka do uśmiercenia centuriona powinien wystarczyć rzemień. Skoro napastnicy nie byli tego pewni, dlaczego nie pchnęli Winiusza nożem więcej niż raz? Ludzie gotowi dźgnąć bliźniego nożem nie wzdragają się raczej przed jego ponownym użyciem.

W mojej głowie zaczęła kiełkować teoria, która wcale nie przypadła mi do gustu. Główną rolę odgrywali w niej żołnierze Pierwszej Centurii, a w szczególności jednego contubernium.

Oględziny zwłok Winiusza nie mogły już chyba ujawnić niczego więcej. Nie znaleziono przy nim broni, sakiewki ani ozdób. To niewiele znaczyło, gdyż Galowie ogołociliby trupa z wszystkich cenniejszych rzeczy. Wciąż miałem nadzieję, że sprawcami okażą się barbarzyńcy, lecz obecność głowy centuriona na swoim miejscu przekreślała tę teorię.

Przyjrzałem się ziemi w miejscu, w którym znaleziono zwłoki, lecz nie dostrzegłem żadnych nowych śladów, gdyż grunt był do cna zryty przez żołnierskie obuwie. Pomyślałem, że mężczyzna o posturze i wadze Winiusza, zahartowany w bojach legionista, z pewnością nie poddał się bez walki, jeśli

nawet trwała zaledwie parę chwil. Przypuszczałem, że natrafię na strzępki ubrania, jakieś ozdoby lub broń wytraconą mordercom, lecz nie znalazłem niczego. Znalezienie sztyletu oddaliłoby podejrzenia od legionistów i rzuciło je na barbarzyńców. Tymczasem zauważyłem strzępek zabrudzonego, białego płótna.

Wiele pytań nie dawało mi spokoju. Dlaczego Winusz przywdział ciemną tunikę niewolnika? Czemu przyszedł nad brzeg stawu? Dlaczego akurat tej nocy? Dlaczego zginął? Sporo powodów przychodziło mi na myśl.

Moje rozmyślenia przerwał zbliżający się uroczysty pochód, który nadciągnął od strony obozu. Maszerowali w nim głównie żołnierze. Wydało mi się, iż ich zbroje lśnią jakoś szczególnie jasno w promieniach porannego słońca. A gdy po chwili dostrzegłem wypolerowane nagolenniki, zorientowałem się, że są to centurioni Dziesiątego Legionu w paradnych mundurach. Za nimi podążała grupka niewolników. Był wśród nich Molon, który łkał widowiskowo, uginając się pod ciężarem niesionym na plecach.

Idący na przedzie legionista zatrzymał pochód gestem dłoni. – Jestem Spuriusz Mucjusz, centurion Drugiej Centurii Pierwszej Kohorty Dziesiątego Legionu i pełniący obowiązki Pierwszej Włóczni. Przyszliśmy zabrać ciało naszego towarzysza, by odnieść je do obozu na ceremonię pogrzebową.

– Czy prokonsul poinformował was o moich uprawnieniach?

– Tak. – Powiodłem wzrokiem po pięćdziesięciu dziewięciu surowych, posępnych twarzach i z miejsca pojąłem, co mnie czeka. Byłem kimś obcym, intruzem z politycznego nadania, przede mną stali zaś zawodowcy z Dziesiątego Legionu. Na moich oczach zwierali szeregi na wzór dawnych manipułów, kiedy oddziały principes, hastati i triarii tworzyły niemożliwy do sforsowania blok, stawiając czoło wrogowi.

– Możecie go zabrać – powiedziałem. – Wiem już wszystko, co było możliwe.

Mucjusz odwrócił się do niewolników ze słowami: – Czyńcie swą powinność. – Była to grupa żałobników; trzymał ich na służbie każdy legion. W trakcie kampanii nie nosili tradycyjnych strojów noszonych w Rzymie i upodabniali się do reszty niewolników. Kapłan, także niewolnik, dokonał ofiary lustrum, by oczyścić zwłoki. Obcokrajowcy zwykle nie dowierzają, kiedy dowiadują się, że mamy kapłanów będących niewolnikami. Nasi bogowie nie są jednakże snobami, w przeciwieństwie do swoich wyznawców.

Niewolnicy zdjęli z Winiusza zgrzebną tunikę; zawodzący i łkający Molon cisnął na ziemię toból z koca, który taszczył na plecach. Rozwiązał supeł i rozłożył koc. Okazało się, że skrywał błyszczący pancerz jego pana. Z wielką wprawą niewolnicy przyoblekli weń zwłoki.

– Molonie, idź rozpaczać gdzie indziej – zarządziłem. – Ale nie oddalaj się zanadto. Chcę z tobą porozmawiać. – Skinął głową i odszedł, rozgłośnie szlochając. To było irytujące, ale wszystkich nas obowiązywały tradycyjne obyczaje i nic się tu nie dało zrobić.

Po kilku minutach zwłoki Winiusza w paradnym stroju spoczęły na tarczy. Jego hełm zdobił poprzeczny grzebień wykonany z ufarbowanego na szkarłat końskiego włosia, a nagolenniki lśniły niczym tafla jeziora. Łuskowaty pancerz centuriona prezentował się wprost wspaniale. Małe płytki złote i srebrne kojarzyły się z łuskami baśniowego stwora. Na zbroi spoczywały phalerae przypięte skórzanymi pasami: dziewięć grubych, srebrnych dysków przyozdobionych reliefami z podobiznami bogów. Tytus Winiusz prezentował się teraz znacznie lepiej niż przed momentem. Niewolnicy nawet jakoś sprawili, że rysy zmarłego przybrały teraz wyraz powagi i spokoju.

– Jakie bóstwo przekląło nas tym razem? – sarknął pod nosem szpakowaty weteran. – Pierwsza Włócznia ginie na początku kampanii! Czyż

może być gorszy znak?

– Zamilcz, Noniuszu – odparł Mucjusz. – Zabierzmy go do obozu. – Pod tarczą skrzyżowano trzy włócznie i sześciu centurionów pochyliło się, by chwycić za drzewce. W tym momencie dostrzegłem coś osobliwego.

– Zaczekajcie – nakazałem. Sześciu legionistów spełniło polecenie, a ja wskazałem na pasek bladej skóry widniejący nad nadgarstkiem prawej dłoni Winiusza. Kiedy chwyciłem centuriona za ten nadgarstek kilka dni temu, by go powstrzymać od wymierzenia kary Burrusowi, złapałem wtedy za bransoletę. W Rzymie jedynie żołnierze nosili takie ozdoby, gdyż tak nagradzano za męstwo na polu bitwy. – Winiusz miał taką bransoletę. Teraz pozostał po niej tylko ślad na ręku nieboszczyka.

– Macie rację – stwierdził Mucjusz, pocierając podbródek z kilkudniowym zarostem. – Otrzymał ją w Afryce jeszcze jako szeregowy legionista. To było jego pierwsze odznaczenie za męstwo. Stale ją nosił. – Przekrzywił głowę i warknął: – Molon! Chodźże tu, parszywy kundlu!

Niewolnik przykuśtykał do nas, usiłując łkać i zarazem się uśmiechać przymilnie. – Tak, panie?

– Kazano ci przynieść wszystkie odznaczenia twego pana. Gdzie bransoleta?

Molon nie spodziewał się tego pytania. – Przyniosłem wszystko! Nie wiem... – zaprotestował i jęknął z bólu, gdy różga Mucjusza opadła ze świstem na jego barki.

– Jeśli położyłeś łapska na bransolecie, zedrę ci z pleców skórę, ty nikczemna pokrako!

– Nie było jej w skrzyni! – załkał Molon, padając na kolana i zasłaniając głowę uniesionymi rękoma. – Pan nigdy jej nie zdejmował! Nawet do snu!

– Wystarczy – powiedziałem tak stanowczo, jak tylko umiałem. – Mordercy musieli ją ściągnąć z trupa. Chcę, byście zebrali wszystkie rzeczy

należące do Winiusza i bezzwłocznie zanieśli je do pretorium.

– Tak się stanie – odrzekł Mucjusz. – Idziemy.

Sześciu centurionów uniosło tarcze i położyło drzewce włóczni na ramionach. Pozostali ustawili się w dwóch kolumnach i ruszyli za marami. Podążyłem w ślad za nimi.

– Panie, potrzebujecie tego? – Uniosłem głowę. Jeden z niewolników trzymał w dłoni zdjęty ze zwłok rzemień. Początkowo miałem zamiar go odprawić, bo poczułem odrazę, lecz zmieniłem zdanie. Wziąłem go i zatknąłem za pas. W ostateczności dołączy do kolekcji makabrycznych przedmiotów, jaką mam w domu.

Mój wzrok spoczął na Molonie, który szedł wraz z pozostałymi niewolnikami. Zwiesił głowę, udając smutek. Gestem dłoni wezwałem go do siebie.

– Cóż można rzec? – powiedział. – Kolejny trafił do piachu.

– Molonie, powiem to tylko raz. Masz trzymać się w pobliżu, bo zamierzam cię przesłuchać. Jeśli dowiem się, że spróbowałeś uciec, skorzystam ze swoich nowych uprawnień i poślę po ciebie całą jazdę, by przyprowadziła cię w łańcuchach. Jesteś podejrzany o zamordowanie swego pana. Czy wiesz, co to oznacza?

– Krzyż, rzecz jasna – powiedział, wzruszając ramionami. Takimi słowami możecie wystraszyć niewolnika w Rzymie, ale w tej części świata ludzie naprawdę przykładają się do tortur i wymyślają interesujące sposoby egzekucji. Każdego rzymskiego żołnierza schwytanego przez wroga żywcem czeka śmierć gorsza od krzyża. Poza tym – tu przerwał i uśmiechnął się krzywo – czy naprawdę sądzicie, że te opite octem osiłki uwierzą, że ktoś taki jak ja zdołał uśmiercić Tytusa Winiusza?

– Morderca nie działał w pojedynkę – odrzekłem. – Nie trzeba być olbrzymem, żeby sprawnie władać nożem.



– Naginacie fakty, panie – powiedział Molon, lecz już bez dawnej pewności siebie.

– Wystarczy, byś zapamiętał, że jesteś podejrzany i zachowywał się stosownie. Ilu niewolników miał Winiusz?

– Znaczy tutaj, w obozie?

– Tak.

– Tylko mnie i Fredę. Pan ma... to znaczy miał jeszcze posiadłość w Italii, ale nigdy tam nie byłem.

– Nie miał kucharza, służącego, poganiacza mułów?

– Zastępowałem ich wszystkich. Służyłem też jako tłumacz.

– A czym zajmowała się... cóż, chyba nie muszę pytać, jakie usługi świadczyła Winiuszowi Freda. – Molon uśmiechnął się oblesnie, uderzyłem go pięścią w żebra.

Wróciliśmy do obozu. Odetchnąłem z ulgą, nie musiałem stawiać się na poranną musztrę, choć po cichu przyznam, że cieszyła mnie kara nałożona przez Cezara. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy z tego, w jak kiepskiej byłem formie, a to nie wróżyło dobrze żołnierzowi udającemu się na wojnę. Ćwiczenia z bronią poprawiły moją kondycję i wytrzymałość. Postanowiłem poświęcać na nie dziennie godzinę lub dwie, dopóki nie osiągnę dawnej tężyzny.

Poleciłem Molonowi, by zgłosił się do mnie, do pretorium, wraz z całym dobytkiem Winiusza. Niewolnik przyrzekł, że to uczyni. Idąc przez obóz w kierunku własnego namiotu, spróbowałem ocenić nastrój żołnierzy. Szykowali się do defilady, lecz w ich zachowaniu nie dostrzegłem śladu wesołości. Szeptali między sobą po kątach, wydawali się wystraszeni, co było widać w ich oczach. Nazbyt często spoglądali w niebo. Takie zachowanie żołnierzy zwykle zwiastuje kłopoty, gdyż oznacza, że wyglądają znaków, co z kolei zdradza brak pewności siebie.

Legioniści przytwierdzali do hełmów grzebienie, które zakładano jedynie na uroczyste parady i przed bitwami. Zdejmowali też z tarcz naoliwione pokrowce. Z powodu wielowarstwowej konstrukcji scutum narażone są na to, że nasiąkną wilgocią. Z tego też powodu zakrywa się je pokrowcami, by ukazać ich wymalowane jaskrawymi farbami przody w trakcie defilad i bitew. Żadna ilość kolorowej farby, końskiego włosia i piór nie poprawiłaby jednakże wrażenia, jakie wywoływał Dziesiąty Legion. Rzymscy legioniści wyglądali jak pokonana armia, zanim jeszcze Galowie ściągnęli swoje siły pod wał.

Hermes czekał na mnie ze śniadaniem, zagotowaną wodą i dobrym winem. Zdarzały się chwile, gdy nie był dla mnie ciężarem, lecz wyręką.

– Czy to prawda, co słyszałem? – spytał, gdy rzuciłem się na śniadanie.

– Tak, jeśli masz na myśli śmierć Pierwszej Włóczni – odparłem, żując kęs jeszcze ciepłego chleba. – Nie wiadomo, czy został zamordowany, ale jeśli zrobili to Galowie, wymusili na nim najpierw osobliwą zmianę stroju.

– Dziwna armia i dziwna wojna – oznajmił Hermes. – Chyba powinniśmy wrócić do domu.

– Gdyby to było możliwe, miałbyś niemałe trudności, żeby za mną nadążyć. Wierz mi, bycie żołnierzem, i to niezależnie od rodzaju wojny, to zawsze kiepska sprawa. A teraz idź na musztrę i pozwól, bym zebrał myśli.

Usiadłem na składanym krześle i spróbowałem skupić się na sprawie, lecz nic nie przychodziło mi do głowy. Byłem wyczerpany. Męczące dni i niedostatek snu zrobiły swoje. Minionej nocy spałem zaledwie dwie godziny, a już zaczynał się nowy dzień. Nie spodobało mi się to wszystko, z czym miałem do czynienia.

Do tej pory byłem w pojęciu żołnierzy Dziesiątego Legionu dziwakiem. Wcale to mnie nie zaskakiwało, ponieważ w Rzymie również określano mnie nieraz tym mianem. Dziś zostałem śledczym i wiedziałem, że niebawem będę

najmniej lubianym człowiekiem w całej Galii. Moje śledztwo musiało w konsekwencji zakończyć się kilkoma egzekucjami. Sympatia, jaką darzyłem Burrusa i jego contubernium, podważała moją bezstronność. Wielu uzna zapewne, że szukałem kozła ofiarnego, by oczyścić z zarzutów własnego klienta.

Co gorsza, wszystkie poszlaki wskazywały, jak dotąd, na wspomniane contubernium. Legioniści z pewnością mieli motyw, by zabić Winiusza. Na własne oczy widziałem, jak brutalnie traktował ich centurion. Burrus i jego kompani obawiali się, że Pierwsza Włócznia próbuje ich zaszczuć, zmusić do buntu, który usprawiedliwi egzekucje. Tej nocy pełnili wartę na północnym wale, a więc mogli niepostrzeżenie zaciągnąć zwłoki nad staw. Oddział składał się z ośmiu żołnierzy, silnych, dobrze wyszkolonych, zdolnych do zabicia takiego weterana jak Tytus Winiusz.

Ta hipotetyczna wersja wydarzeń nie zawierała odpowiedzi na wszystkie pytania, lecz dostarczała wystarczającą liczbę dowodów, by niemal każdy sędzia w Rzymie wydał wyrok skazujący. Tu, w Galii, prokonsul posiadał naczelną władzę wojskową z prawem życia i śmierci w stosunku do żołnierzy. Na szczęście Cezar znał prawo, toteż doceniał znaczenie materiału dowodowego. Stąd też dał mi kilka dni na przeprowadzenie dochodzenia. Większość dowódców zarządziłaby natychmiast egzekucje. Uznałem, iż moje zachowanie rozbawiło Cezara. Pasja, z jaką oddawałem się rozwiązywaniu kryminalnych zagadek, musiała wydać mu się zabawna.

Ile czasu właściwie miałem? Wiedziałem już, że Cezar potrafił przemieszczać się wraz z armią z niewiarygodną prędkością. Przemarsz przez Alpy do Italii i powrót na czele dwóch legionów zabrałyby większości dowódców kilka tygodni, nawet gdyby żołnierze czekali w gotowości po drugiej stronie gór. Byłem jednak przekonany, że legioniści Cezara zedrą w drodze nad Lemannus niejedną parę butów.

A inni podejrzani? Galowie? Z pewnością zabiliby Rzymianina, gdyby nadarzyła się ku temu okazja, lecz w jaki sposób uśmiercili Winiusza? I czemu nie odcięli mu głowy, która jest dla nich najcenniejszym trofeum?

Molon? Chciał odejść ze służby u Winiusza, lecz morderstwo wydało mi się sposobem zbyt radykalnym. W dodatku potrzebowałyby przynajmniej jednego współnika. Nagle zdałem sobie sprawę, że Freda, wysoka, silna, młoda kobieta zdołałaby unieruchomić Winiusza za pomocą rzemienia na wystarczająco długi czas, by Molon mógł zadać decydujący cios nożem. Dwoje niewolników mogło zaciągnąć zwłoki nad staw. Karły odznaczają się znacznie większą siłą, niżby się zdawało. Ale jak zdołali wynieść zwłoki z obozu?

Nie chciałem rzucać podejrzeń na Germankę, nawet jeśli byłyby ku temu powody.

Pokręciłem przecząco głową. Te rozważania prowadziły donikąd. Przede wszystkim potrzebowałem chwili odpoczynku. Z pełnym żołądkiem i na niewielkim rauszu po wypitym winie padłem na łóżko w namiocie.

Minęło południe, gdy obudziły mnie sygnały trąbki. Hermes wrócił z ćwiczeń zziajany i spocony. Z jego pomocą przywdziałem paradny mundur. Przynajmniej tym razem nikt nie miał prawa się ze mnie naśmiewać. Jednak po wielu dniach noszenia stroju polowego teraz czułem się nieswojo. Założywszy hełm, ruszyłem w kierunku pretorium.

Cezar wchodził właśnie na podwyższenie, zwane tribunal. Dołączyłem do pozostałych oficerów stojących na niższej platformie umieszczonej na wewnętrznym wale. Powiodłem wzrokiem po oddziałach legionów ustawionych w równych szeregach – dziesięć kohort w paradnych mundurach, a ściślej – dziewięć.

Legioniści Pierwszej Kohorty mieli na sobie polowe mundury, nie zdjęli też pokrowców z tarcz. Na uboczu stali zaś żołnierze Pierwszej Centurii.

Westchnąłem, gdy ich zobaczyłem. Nie mieli przy sobie broni, gdyż ta leżała na tarczach ułożonych pod ich stopami.

Przed centurią stało w rzędzie ośmiu mężczyzn, rozebranych do tunik, z rękoma związanymi za plecami. Nie musiałem zgadywać, kim byli.

Naprzeciw tribunal ułożono pogrzebowy stos, na którym spoczywało ciało Tytusa Winiusza. Wokół stali chorążowie z insygniami zakrytymi ciemnym płótnem na znak żałoby. Z boku czekało dwóch trębaczy z ogromnymi metalowymi bucinami zarzuconymi na ramiona. Gdy Cezar zatrzymał się pośrodku podwyższenia, odtrąbili sygnał na zbiórkę.

– Żołnierze! – zaczął Cezar bez słowa wstępu. – Pierwsza Włócznia Dziesiątego Legionu nie żyje i wszystko wskazuje na to, iż został zamordowany. Do chwili złapania sprawców zarządzam następujące kary. Pierwsza Kohorta, w której Tytus Winiusz był najstarszym stopniem oficerem, zostanie pozbawiona wszelkich praw i pozostanie w tym haniebnym położeniu, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość. Legioniści zostaną pozbawieni wszelkich obowiązków i będą wykonywać jedynie prace fizyczne. Nie będzie im wolno salutować oficerom ani insygniom i nikomu nie będzie wolno oddawać im honorów. Za dopuszczenie do śmierci swego dowódcy żołnierze Pierwszej Centurii Pierwszej Kohorty zostaną oddzieleni od pozostałych żołnierzy. Rozbiją namioty poza terenem obozu i pozostaną tam, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość. – Po tych słowach zebrani na placu legioniści westchnęli jak jeden mąż. Kara była surowa, porównywalna z decymacją, a nawet od niej gorsza, gdyż wszyscy żołnierze mogli zginąć od ciosów galijskich mieczy i włóczni. Cezar jednak na tym nie skończył. – To contubernium – powiedział, wskazując na rozbrojoną ósemkę – zostało aresztowane i niebawem ci ludzie trafią do aresztu. Cięży nad nimi najpoważniejsze podejrzenie. Dziś wyruszam do Italii, by wrócić na czele posiłków. Jeśli do mego powrotu nie zostanie udowodnione, że owi

legioniści są niewinni, zostaną straceni. Są obywatelami Rzymu, toteż nie skończą na krzyżu, jednakże zbrodnia, o której popełnienie zostali oskarżeni, usprawiedliwia karę surowszą niż ścięcie głowy. Oto jaką formę przybierze ich kara. Pozostali żołnierze Pierwszej Kohorty utworzą szpaler, a każdy będzie miał w dłoni różgę. Skazani legioniści przemaszerują nago pomiędzy dwoma kolumnami, a ich kompani będą ich okładać różgami. Każdy, kto o własnych siłach dotrze do końca szpalera, wykona zwrot i wróci na jego początek. Będzie to powtarzał, póki nie umrze.

– Cezar zrobił pauzę, a po chwili zainicjował uroczystości pogrzebowe. – Odeślijmy teraz do królestwa Cieni, Tartaru, gdzie rządzi Hades, wspaniałego żołnierza, naszego towarzysza, Tytusa Winiusza – zaintonował, odwołując się dalej do pojęć tak archaicznych, że większość zebranych niewiele z tego zrozumiała. Następnie wygłosił orację na cześć centuriona. Wymienił wszystkie odznaczenia Winiusza, najważniejsze momenty z jego kariery wojskowej oraz nagrody przyznawane za męstwo. Na zakończenie wyraził ubolewanie, że centurion i jego wojskowe talenty nie wesprą legionu w nadchodzącej kampanii. Cezar miał oczywiście rację, lecz ja wcale nie zamierzałem boleć nad brakiem Winiusza. To uczucie wzbudzało we mnie jedynie zamieszanie, jakie spowodowała jego przedwczesna śmierć.

Wezwawszy po raz ostatni bogów, Cezar zszedł z podwyższenia, by cisnąć pochodnię na obłany oliwą stos i go podpalić. Niebawem drewno zajęło się ogniem, a całe wojsko stanęło na baczność, gdy buchnęły płomienie, obejmując ciało Tytusa Winiusza i jego cenną zbroję.

Po pewnym czasie, kiedy ogień począł słabnąć, odrąbiono sygnał „rozejść się” i legioniści wrócili do swoich namiotów. Dołączyłem do grupy oficerów oczekujących przed pretorium na naradę. Niepocieszeni żołnierze przemaszerowali pod naszym bokiem. Kolumnę zamykała Pierwsza Kohorta. Na twarzach legionistów rysowały się strach, wściekłość i wstyd.

– Oto jak wygląda szczerza żałoba – powiedziałem. Nie miałem najmniejszego zamiaru żartować, lecz ton mojego głosu musiał świadczyć o czymś odmiennym, gdyż jeden z mijających mnie żołnierzy odwrócił się ku mnie. Był centurionem, na głowie miał hełm z grzebieniem wymalowanym w brązowe i białe pasy.

Zatrzymał się o krok przede mną i odezwał się głośno: – Oczywiście, że są nieszczęśliwi! Służą w Pierwszej Kohorcie Dziesiątego Legionu! To najlepsi żołnierze na świecie, a teraz okryli się hańbą! Wy, politycy z Forum, nie wiecie, co to hańba, bo już dawno zapomnieliście, czym jest honor! W Dziesiątym pamiętamy! – Łzy spływające po twarzy starego wojaka wprawiły mnie w zakłopotanie. Centurion odwrócił się gwałtownie i odmaszerował, a potem przywołał dekuriona.

Po chwili dołączył do mnie Carbo. – Patrz, gdzie stąpasz, Decjuszu – udzielił mi darmowej rady. – Wiele wskazuje na to, że będziesz następnym oficerem w tym obozie, który zginie w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Jestem tego świadom. Ostatnimi czasy potrafię porozumieć się jedynie z barbarzyńcami i ludźmi okrytymi niesławą. Jak można wypędzić za mury obozu całą centurię? To skandal!

– Nie mniejszy niż zabójstwo Pierwszej Włóczni. Przykładna kara była koniecznością, Decjuszu. Przecież żołnierze mają szansę na przeżycie, inaczej niż gdyby zarządził decymację. Mógł też wydać rozkaz, by pomaszerowali do Germanii i zostali na wrogim terytorium, póki po nich nie pośle. Kto wie, może najlepszym rozwiązaniem byłaby egzekucja tych ośmiu żołnierzy? Toby nie zadowoliło pozostałych legionistów, ale w armii zapanowałyby względny spokój.

Potrząsnąłem głową. – Nie! Nie mogę zaręczyć za wszystkich, ale jestem pewien, że Burrus nie zabił swojego centuriona, choć ten z pewnością zasługiwał na śmierć. Nie pozwolę, by niewinny człowiek zapłacił głową za

cudzą zbrodnię.

– W takim razie przed tobą nie lada wyczyn. – odrzekł Carbo. – W tej sprawie chodzi o coś więcej niż życie Burrusa. Legioniści chcą odzyskać swój honor. Jeśli powstrzymasz egzekucję contubernium, będziesz musiał dać im coś w zamian.

W tym momencie rozbrzmiał sygnał na naradę oficerów. Przed namiotem Cezara dostrzegłem Molona stojącego obok paru skrzyń i bel materiału, będących całym dobytkiem Tytusa Winiusza. Na stercie rzeczy siedziała Freda, jak zawsze z pogardliwą miną.

– Panowie! Nie będę się rozwodził – powiedział Cezar. – Muszę jak najszybciej dotrzeć do Italii, a ta smutna historia zabrała mi całe przedpołudnie. Skarbniku, prosimy o sprawozdanie.

Legionowy skarbnik został wybrany z powodu doskonałej pamięci, biegłej umiejętności władania piórem i głowy do liczb.

– Tytus Winiusz nie miał żony ani dzieci, nie wspominał też nigdy o rodzinie. Nie pozostawił testamentu i zgodnie z prawem zwyczajowym jego posiadłość będzie pod zarządem prokonsula, dopóki nie upomni się o nią członek najbliższej rodziny. O wszystkim zostanie poinformowany zarządca posiadłości, który powinien to przekazać zainteresowanym członkom rodziny, jeśli są takowi. Centurion regularnie wpłacał składki na fundusz pogrzebowy i zgromadzona kwota wraz z hojną wpłatą dokonaną przez prokonsula powinna wystarczyć na zakup wystawnego nagrobka. W Massilii żyje wielu znakomitych rzeźbiarzy greckiego pochodzenia. Bezzwłocznie złożymy u nich zamówienie. Wspomniany przeze mnie zarządca odwiedzał Tytusa Winiusza dwa razy do roku. Wtedy Pierwsza Włócznia załatwiał wszystkie sprawy finansowe, najprawdopodobniej za pośrednictwem któregoś z italskich bankierów. Oprócz tego złożył w legionowym banku tysiąc sestercji. – Była to spora suma. Obrotni



centurioni dorabiali się na żołdzie, łupach i łapówkach.

– Bardzo dobrze, skarbniku. Panowie, niniejszym przejmuję opiekę nad ruchomościami zmarłego Tytusa Winiusza. Pozostaną w pretorium na czas dochodzenia prowadzonego przez Decjusza Cecyliusza Metellusa. Mówiąc o ruchomościach, mam na myśli jego dobytek, zwierzęta oraz niewolników. Koń i muły zostaną dołączone do pozostałych jucznych zwierząt. A więc jest jeszcze do rozwiązania jedynie kwestia niewolników. Należy znaleźć dla nich zajęcie, a mnie nie są potrzebni dodatkowi służący.

Zebrani oficerowie odwrócili się powoli w kierunku Fredy, która zdawała się nas nie dostrzegać.

– Właściwie – powiedział Labienus – w moim namiocie znajdzie się miejsce dla...

– W sumie, przydałaby mi się kucharka... – rzucił inny. Każdy miał miejsce i zajęcie dla jednego niewolnika. Każdy – z wyjątkiem mojego kuzyna Guzka. Być może w plotkach rozgłaszanych na jego temat tkwiło jednak ziarenko prawdy.

– Panowie, pamiętajcie, że Molon i dziewczyna są nierozłączni. – Nawet te słowa nie zniechęciły oficerów od zgłaszania kolejnych propozycji. Cezar uciszył je gestem dłoni, na jego twarzy pojawił się złośliwy grymas. – Decjuszu, zaopiekujesz się nimi. – W jednej chwili wszyscy zebrani łypnęli na mnie spode łba, także mój przyjaciel Carbo. Wyśmienicie, teraz nienawidzą mnie wszyscy prócz Galów, pomyślałem. – Panowie, czas wyruszyć w drogę. Zabiorę ze sobą jedynie mały oddział jazdy. Zamierzam wrócić z posiłkami za dziesięć dni.

– Czy to możliwe? – spytał z niedowierzaniem Labienus.

– Jeśli nie jest możliwe, to dzięki mnie będzie – odparł Cezar z pewnością w głosie, właściwą tylko jemu. Była to sztuczka, którą doskonale opanował i stosował z powodzeniem. Omal nie przekonał mnie, że

bogowie stoją po naszej stronie. – Możecie odejść. Ty zostań, Decjuszu Cecyliuszu.

Oficerowie się rozeszli, a przed namiotem zjawili się jeźdźcy, eskorta Cezara. Ucieszyłem się, nie widząc pośród nich Loverniusa i żołnierzy z mojej ali. Potrzebowałem w tamtej chwili wszystkich przyjaciół.

– Decjuszu – powiedział Cezar. – Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo zależy mi, żebyś rozwiązał tajemnicę tego morderstwa. Nawet jeśli sprowadzę posiłki, moja armia nie będzie liczna. Potrzebuję Dziesiątego Legionu! Oczywiście w gotowości bojowej, a nie osłabionego podejrzeniami, strachem, złymi omenami czy poczuciem zhańbienia.

– Cezarze, Winiusz był skończonym draniem. W obozie znajdę sześć tysięcy podejrzanych.

Machnął lekceważąco dłonią. – Awans na stopień centuriona nie wymaga ogłady. Nikt nie kocha centuriona. Jednak morderstwa centurionów zdarzają się rzadko. Musisz znaleźć winowajców, Decjuszu. Jeśli tego nie zrobisz, będę musiał skazać na śmierć Burrusa oraz pozostałych, i to niezależnie od tego, czy są naprawdę winni tej zbrodni. Wojna rozpocznie się lada moment i nie ma czasu na zabawę szczegółami. – Jeden z Galów przyprowadził konia i podsadził Cezara na siodło.

– Jeszcze słowo, Gajuszu Juliuszu – powiedziałem.

– Tak?

– Dlaczego oddałeś kobietę pod moją opiekę?

Przez chwilę milczał, rozkoszując się swoim osobliwym żartem. – Po pierwsze, należy ci się mała nagroda za mękę, jaką niebawem przejdiesz. Po drugie, każdy, któremu bym ją oddał, od razu stanie się obiektem zazdrości pozostałych, a ja cenię wszystkich moich oficerów wyżej od ciebie. Nie chciałem odciągać ich uwagi od stojącego przed nami celu. A przede wszystkim, Decjuszu, zamierzam to wykorzystać w przyszłości, bo jestem

pewien, że pewnego dnia staniesz się dla mnie bardzo użyteczny.

Doskonale rozumiałem, co miał na myśli. Byłem zaręczony z jego siostrzenicą Julią, która nie wybaczyłaby mi nigdy, gdyby dowiedziała się, że miałem, choćby przez chwilę, niewolnicę taką jak Freda.

– Gajuszu Juliuszu – odparłem gorzkim tonem. – Jesteś etruskim demonem, który przybrał człowieczą postać!

Cezar odjechał, głośno się śmiejąc.

## ROZDZIAŁ 7

Stanałem przed najtrudniejszym zadaniem w całej mojej dotychczasowej burzliwej karierze. W Rzymie wiedziałbym, od czego zacząć. Niestety, tutaj miałem się poruszać po zupełnie nieznanym terenie. Nie dość, że byłem z dala od Rzymu, to na dodatek przebywałem w legionowym obozie rozbitym w Galii, która na domiar złego sposobiała się do wojny. Wszystko to skutecznie pochłaniało moją uwagę. Wiedziałem, że nim przystąpię do pracy, muszę dojść do równowagi. Postanowiłem porozmawiać z jedyymi rozsądnymi i sensownymi ludźmi w obozie – to znaczy z moimi Galami.

Najpierw musiałem jednak zająć się, by tak rzec, sprawami domowymi. Podszedłem do tego, co było dobytkiem Tytusa Winiusza. Molon szczerzył zęby w nerwowym uśmiechu, Freda spoglądała na mnie jak na osobliwego robaka.

– Czy już wiecie, że odtąd należycie do mnie?

Molon pokiwał głową z zapalem. – Tak! Bardzo się cieszę, że jestem waszą własnością, panie!

– A ty? – spytałem Fredę.

Wzruszyła ramionami. – Wszyscy Rzymianie są jednakowi.

Nie spodobało mi się, że zrównała mnie z Tytusem Winiuszem, lecz puściłem to mimo uszu. – Ty – zwróciłem się do Molona – rozłóżysz rzeczy swojego poprzedniego pana na stole. Dziś po południu zamierzam je spisać. Ty – powiedziałem do Fredy – pójdziesz do mojego namiotu i znajdziesz dla

siebie zajęcie. Posprzątaj albo zajmij się tym, co zwykle robiłaś pod nieobecność Tytusa Winiusza. W namiocie jest mój chłopiec, Hermes. Jeśli spróbuje cię tknąć, możesz przetrzepać mu skórę.

Wstała, odwróciła się ode mnie i odeszła bez słowa. Nie potrafiłem się powstrzymać i odprowadziłem ją wzrokiem. Cóż to był za widok!

– Czy zachowywała się w ten sposób przy Tytusie Winiuszu? – spytałem Molona. – Centurion sprawiał wrażenie człowieka bez krztyny cierpliwości w stosunku do bliźnich, zwłaszcza podwładnych i niewolników.

– Ona nie jest typową niewolnicą, panie – odparł Molon. – Ma za to, proszę, wybaczyć mi moją śmiałość, pewną łatwość w dostrzeganiu słabych punktów u mężczyzn. Wam też zdążyła się już dobrze przyjrzeć.

– I doszła do wniosku, że pozwalam swoim niewolnikom na wszystko? Cóż, niebawem udowodnię Fredzie, jak bardzo się myliła. – Zsunąłem tunikę z przygarbionych ramion Molona. Plecy miał niemal czarne od sińców. – Nie jestem centurionem, nie noszę przy sobie różgi. Karzę swoich niewolników jedynie za najpoważniejsze przewinienia, wtedy jednak zapominam, czym jest litość. Ustalmy jedno. Postaraj się, żebym był z ciebie zadowolony, w przeciwnym razie sprzedam cię komuś mniej wyrozumiałemu, a więc pierwszemu lepszemu, kto zechce cię kupić. A nie ma na świecie pana bardziej wyrozumiałego ode mnie.

– O, wierzcie mi, panie, że pragnę z całego serca wiernie ci służyć! Ale – w jego przebiegłych oczach zamigotały iskierki – jesteście pewni, że zdołacie mnie sprzedać? Pewnego dnia może się zjawić w obozie krewny Tytusa Winiusza, by mnie zabrać.

– Molonie, każdy człowiek, nawet taki o rozumie ślimaka, dzieliłby cię pałką w łeb i porzucił na skraju drogi, zamiast żywić. Przydasz mi się jednakowoż jako tłumacz. Spędzę w Galii najbliższy rok. Staraj się, żebym był zadowolony, a przed odjazdem sprzedam cię jakiemuś sympatycznemu

kupcowi, który doceni w pełni twoje zalety, dzięki czemu uciekniesz od obozowego życia.

Skinął głową, zacierając dłonie. – Taki plan jest do przyjęcia.

– Dopilnuj zatem, by nic go nie pokrzyżowało. Gdyby ktoś mnie szukał, będę przy namiotach pretoriańskiej jazdy. Przygotuj wszystko, zanim wrócę.

– Bądźcie o to spokojni, panie.

Doświadczenie nauczyło mnie, że niewolnicy dobrze reagują na życzliwe traktowanie, choć jeśli uznają, że jest ono oznaką pańskiej słabości, starają się to wykorzystać. Molon wiedział, że jego sytuacja była niepewna, toteż byłem przekonany, że uczyni wszystko, by mnie zadowolić. Miałem pewne obiekcje co do Fredy.

Znalazłem moich Galów przy koniach, oporzędzali wierzchowce po patrolu. Nie byli obywatelami, toteż nie musieli być obecni na uroczystościach pogrzebowych. Powitali mnie z uśmiechem, poklepywali po plecach.

– Dobrze cię znowu widzieć, kapitanie! – powiedział Lovernius. – Dołączysz do nas?

– Niestety, los zrządził inaczej. Cezar powierzył mi śledztwo. Chodzi o morderstwo Pierwszej Włóczni. – Widząc, że mają dobry nastrój, uznałem, że moi Galowie nie podupadli na duchu, co dotknęło rzymskich legionistów. Nie służyli w Dziesiątym Legionie i nagła śmierć jednego z oficerów niewiele ich obeszała.

– Rozmawialiśmy z włócznikami – powiedział Lovernius. – Ponoć ktoś go udusił.

– Udusił, dźgnął nożem, roztrzaskał czaszkę i wrzucił do stawu – wyjaśniłem. Galowie zachmurzyli się, a jeden z jeźdźców warknął coś w swoim języku.

– Co powiedział? – spytałem zdziwiony taką reakcją.

Lovernius sprawiał wrażenie zaniepokojonego. – Proszę o wybaczenie, kapitanie, ale nie lubią, gdy truchła Rzymian lądują w galijskich stawach. Moi ludzie są ciemni i niewykształceni.

Nie spodobał mi się komentarz Loverniusa, lecz zgoła z odmiennego powodu niż sądził. – Przykro mi to słyszeć. Miałem nadzieję, że zdołam dowieść winy Helwetów, ale nie sądzę, by którykolwiek z nich ośmielił się tak zbezcześcić święte miejsce.

– Z pewnością nie – przytaknął Lovernius. – Jednak z takimi ranami centurion o własnych siłach raczej nie doczołgałby się do wody. Dlaczego zamierzaliście obarczyć winą Helwetów?

– Mord popełniony na jednym legionście wpływa negatywnie na morale całej armii, to zaś, że ofiarą był oficer, tylko pogarsza sprawę. To prawda, nikt nie lubił tego podłego osiłka, ale dla żołnierzy przyzwyczajonych do określonej hierarchii w legionie centurionowie są nietykalni; śmierć może ich spotkać jedynie na polu walki. Cała kohorta popadła w niełaskę, centuria została wygnana za mury obozu, a contubernium oczekuje na egzekucję. Na domiar złego głównym podejrzanym jest mój przyjaciel i klient rodziny.

– Niedobrze – podsumował zwięźle Lovernius. – Ale nie traćcie nadziei. Mogli to zrobić Germanowie. Nie mają szacunku dla naszych świętych stawów.

– Doprawdy? – Wizja Germanów kryjących się w puszczy nie ucieszyła mnie oczywiście, lecz możliwość obciążenia ich winą powitałem niczym dar losu. – A ich święte miejsca?

– Są to jedynie gaje w głębokiej puszczy, na drugim brzegu Renu. Dąb, jesion i jarzębina to ich święte drzewa. Czczą też miejsca, w które uderzył piorun. I nic ponadto.

– Warto się temu przyjrzeć. Indiumixie, osiodłaj mego konia. Loverniusie, chcę byś mi towarzyszył.

– Z przyjemnością – odrzekł Gal, po czym zwrócił się w rodzimym języku do swoich ludzi. Skinęli głowami, lecz z ich twarzy nie zniknęły posępne miny. Nigdy bym nie zgadł, iż jedno ciało wrzucone do stawu może aż tak bardzo popsuć im humor, ale przywykłem już do osobliwego zachowania barbarzyńców.

Dosiadłem wierzchowca i wraz z Loverniusem wyjechałem z obozu przez Porta Decumana. Odgłosy stukania młotów, którymi wbijano w ziemię haki, zaprowadziły nas do miejsca przy północno-wschodnim narożniku wałów, gdzie legioniści Pierwszej Centurii rozbijali obozowisko. Z wysokości końskiego grzbietu bez trudu dostrzegłem srebrzysty hełm optio, na którym nie zrobiłem specjalnego wrażenia. Wskazywał coś dłonią, wykrzykując rozkazy. Jego posępni podkomendni szykowali miejsce, by spędzić przerażającą noc poza terenem obozu. Twarz mu nawet nie drgnęła, gdy podjechałem bliżej i zsiadłem z konia.

– Optio – powiedziałem. – Wiem, że jesteście okropnie zajęci, więc nie zabiorę wam zbyt wiele cennego czasu. Chcę porozmawiać na osobności o Tytusie Winiuszu. Stawcie się jutro rano w pretorium.

Splunął, trafił tuż obok od mojego lewego sandała. – Stawię się, o ile będę jutro żył.

– Cóż, to mało pocieszająca perspektywa.

– Połowa oddziału będzie stać przez cały czas na warcie.

– W tej armii zmówiono się chyba przeciwko wieczornemu odpoczynkowi – skomentowałem jego słowa. Być może będę mógł wam pomóc. Wydam moim galijskim jeźdźcom rozkaz patrolowania tego odcinka wałów. Porozmawiam też z Gnejuszem Carbo, żeby oddelegował do tego zadania również swoich harcowników.

– Jesteśmy tu za karę, kapitanie – odrzekł optio. – Niepotrzebnie się wtrącacie.



Niezrozumiały opór legionisty wprowadził mnie w zakłopotanie. – Uważam, że kara, jaka was spotkała, jest niesprawiedliwa.

– Ale zarządził ją nasz dowódca, a więc nie ma o czym mówić. Odwalcie się od nas, kapitanie. Sami zadbamy o własne bezpieczeństwo. Nie potrzebujemy pomocy barbarzyńców. – Wrogie spojrzenia stojących obok legionistów upewniły mnie, że myślą tak samo jak on.

Levernius zaśmiał się głośno. – Niech i tak będzie. Głupcy powinni ginąć, jak na głupców przystało.

– Wystarczy – przerwałem mu. Nie spodziewałem się, że moja propozycja spotka się z takim gwałtownym odporem i niewdzięcznością. A poza tym nigdy nie potrafiłem zrozumieć zawodowych żołnierzy. – Do jutra, optio. – Wsiadłem na konia i odjechałem. – Nie zmieniłem zdania, chcę byś zwrócił w nocy uwagę na tę część wałów – zwróciłem się po chwili do Loverniusa. – Może oni są zgrają upartych głupców, ale nie powinni ryzykować własnym życiem, tylko dlatego że Tytus Winiusz dał się zabić.

– Jak rozkażecie, kapitanie.

Wieczorem przystąpiłem do ewidencjonowania dobytku Pierwszej Włóczni. Nie było tego wiele. Legion przemieszcza się zazwyczaj na dużych dystansach. Nawet doświadczonemu centurionowi wolno zabrać jedynie cztery do pięciu jucznych mułów. Skrzynia, w której Tytus Winiusz przechowywał paradną zbroję i odznaczenia, była pusta. Przez moment zastanawiałem się, czy stopione na stosie złoto i srebro powędrują do urny wraz ze szczątkami centuriona, by spocząć pod zgrabnym nagrobkiem zamówionym w Massilii.

W drugiej skrzyni spoczywały ubrania Winiusza, w trzeciej zaś jego polowa zbroja i oręż, który nie różnił się zbyt od wyposażenia szeregowego legionisty, choć był lepszej jakości. W kolejnej znajdowały się garnce miodu, zakonserwowane wiktuały, a także przyprawy – smakołyki,

którymi żołnierze uprzyjemniali sobie trudy kampanii.

Najmniejsza skrzynia była zadziwiająco ciężka i miała skomplikowany zamek. Nie znalazłem żadnego klucza wśród rzeczy rozłożonych na stole.

– Molonie! – krzyknąłem.

– Jestem, panie – odparł, ukazawszy się spod mego łokcia.

– Gdzie Winiusz trzymał klucz do tej skrzynki?

– Wyganiał mnie z namiotu, ilekroć zamierzał ją otworzyć, ale zauważyłem, że sięgał wtedy do małej sakiewki u pasa.

Cudownie. Stopiony klucz skrywały teraz zapewne popioły pogrzebowego stosu.

– W takim razie pobiegnij do kowala i przynieś łom. Pospiesz się. – Nie pobiegł, ale przyspieszył kroku. Niebawem wrócił z narzędziem. Skrzynia była solidna i Molon pomógł mi podważyć wieko. Wewnątrz spoczywały papirusy i drewniane tabliczki z ołowianymi pieczęciami.

– Wyglądają na dokumenty bankiera, a nie zawodowego żołnierza – skomentowałem. Podniosłem tabliczkę i otworzyłem. Był to dokument potwierdzający prawo własności do posiadłości w Italii. – Dziwne, że nie złożył go w świątyni, bliżej domu – dodałem, po czym wziąłem do ręki drugą tabliczkę. Ta również potwierdzała prawo do własności: Winiusz zakupił posiadłość w Kampanii ledwie kilka miesięcy temu. Zauważyłem, że Molon zerka mi przez ramię. Wskazałem dłonią rzeczy należące do centuriona. – Ułóż to przy dużym namiocie i znajdź coś, by nakryć. – Nie wyglądał na zadowolonego, lecz bez zwłoki odszedł, by wypełnić polecenie.

Pospiesznie przejrzałem pozostałe dokumenty. Większość to były akty własności sporych ziemskich posiadłości. Wyglądało na to, że Tytus Winiusz zamierzał kupić całą Italię. Rozpoznałem kilka nazwisk sprzedających, lecz nie przywiązałem do tego specjalnego znaczenia. Wielu bogatych Rzymian posiadało ziemie, których nigdy nie widzieli na oczy. Kupowali i sprzedawali

je przy pomocy pośredników, gdy ceny posiadłości fluktuowały wskutek wojny bądź polityki wewnętrznej.

Zerknąłem na widniejące w nich kwoty i zliczyłem je w myślach. Aż przysiadłem na krześle, tak byłem zaskoczony otrzymaną sumą. Tytus Winiusz był po prostu milionerem. Skąd wziął tyle pieniędzy? Ludzie wywodzący się z bogatych rodów nie wybierali kariery w wojsku. Wiedziałem, że Dziesiąty Legion nie brał udziału w łupieniu dużych miast, jak chociażby Tigranocerty, twierdzy Mitrydatesa, która padła jedenaście lat temu. Przez ostatnie lata stacjonował w Galii i Hiszpanii, a północną Italię odwiedzał z rzadka. Żołd, łapówki i łupy, jakie mógł zgromadzić centurion, nie złożyłyby się nawet na dziesiątą część sumy zapisanej w dokumentach.

– Czy będziecie jeszcze...?

Zatrzasnąłem gwałtownie wieko, zaskoczony głosem Molona. – Nie skradaj się za moimi plecami! – Wcale się nie skradał, ale moje zaskakujące odkrycie tak dalece mnie pochłonęło, że przestałem zwracać uwagę na otaczający mnie świat.

– Jeśli nie poczytacie mi tego za zbytnią śmiałość, panie, powiem, że macie nerwy w strzępach. Przynieść wam wina?

– Owszem. – Nagle poczułem, że zaschło mi w gardle. Jak dokumenty łączyły się z morderstwem? Byłem pewien, że istniała między nimi jakaś więź. Tytus Winiusz, który zginął w osobliwych okolicznościach, był zadziwiająco zamożny jak na zawodowego żołnierza. W charakterze i historii życia każdego człowieka wnikliwy obserwator znajdzie przynajmniej jakiś jeden fakt odbiegający od normy. Nie zamierzałem przejść do porządku dziennego nad dwoma takimi faktami, bo zakładałem, że coś je łączyło.

Molon wrócił z dzbanem i pucharem, napiłem się wina z przyjemnością. Począłem odkładać dokumenty do skrzyni i pochyliłem ją nieznacznie, by sobie ułatwić zadanie. Nadal wydawała się zbyt ciężka jak na swój rozmiar.

Postanowiłem przyjrzeć się jej bliżej, gdy zostanę sam.

– Molonie, wracam do mojego namiotu. Zanieś tam tę skrzynię.

– Wybaczcie, panie, ale czy nie zamierzacie dodać tych przedmiotów do spisu dobytku? – Gestem dłoni wskazał rozwinięty zwój spoczywający na blacie, tuż pod moim łokciem, przyciśnięty nożem i hełmem. Zupełnie o nim zapomniałem.

– Dokończę jutro. Jest zbyt ciemno, żeby pisać. Czemu zapytałeś?

– O, bez powodu, panie, bez powodu. Napijecie się jeszcze wina?

Wypiłem jeszcze trochę. Doskonale mi to zrobiło. Rzeczy nie były tym, za co je początkowo uważałem, a w niesprzyjających okolicznościach podobny obrót spraw zawsze rozstrajał mi nerwy. Zaczynałem przypominać żołnierza, który marzy o spokojnym życiu.

Ruszyliśmy w stronę namiotu. Szedłem tuż za Molonem, by upewnić się, że nie zagląda do skrzyni. Byłem pewien, że jej zawartość przysporzy mi niebawem kłopotów. Nie chciałem, by ktokolwiek dowiedział się, co odkryłem, zanim nie znajdę odpowiedzi na kilka nurtujących mnie pytań.

Hermes był nie mniej zaniepokojony jak ja. Ująłem jego podbródek kciukiem i palcem wskazującym, obróciłem głowę, by lepiej przyjrzeć się policzkowi. Pod okiem miał siną plamę.

– Widzę, że zaznajomiłeś się już z Fredą.

– Dlaczego go kupiłeś? – spytał, zerkając z zawiścią na Molona.

– Nikogo nie kupiłem. Dostałem ich od Cezara.

– W namiocie robi się tłoczno – sarknął.

– Ależ skąd. Będiesz spał z Molonem przed wejściem. Mamy wiosnę, a lato za pasem.

– Zamarznę na śmierć!

– W takim razie będzie mi ciebie brakowało – odparłem.

Poły namiotu uniosły się, u wejścia stanęła Freda. Gniewne spojrzenie Hermesa w ułamku sekundy całkowicie złagodniało, jego oczy wyrażały już tylko krańcowe uwielbienie. Jedno podkrążone oko nie nadwerżyło najwyraźniej jego uczuć.

– Zrobiłam w namiocie porządek – powiedziała Freda. – Żyliście jak w chlewiku.

– Nomada najlepiej zna się na utrzymywaniu porządku w namiocie – odrzekłem. – Molonie, zanieś skrzynię do namiotu i wsuń ją pod łóżko. – Spełnił polecenie, a ja cały czas miałem go na oku, bacząc, by nie próbował zaglądać do środka. Hermes pomógł mi zdjąć zbroję. Wzruszyłem parę razy ramionami, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie barków. Kiedy się to już udało, zawsze wtedy miałem wrażenie, że wyrastają mi skrzydła i że mogę wzlecieć.

– Hermesie, poszukaj lamp i zawieś je w namiocie.

– W środku już się jedna pali – powiedział, mając na myśli malutką, glinianą lampę, rzucającą skąpe światło.

– Potrzebuję jasnego światła, więc lampy mają być duże – odparłem. – Postaraj się takie znaleźć. – Odszedł, mamrocząc coś pod nosem, ja zaś usiadłem na krześle i popijałem wino, przygotowując się do wieczornych zajęć. Freda wciąż stała u wejścia do namiotu, w ogóle nie zwracając uwagi na moją rozmowę z Molonem.

– Skoro należysz do mnie, muszę więcej o tobie wiedzieć – zacząłem. – Opowiedz mi o sobie.

– Niewiele jest do opowiadania – odparł Molon, co znaczyło, że nie zamierza się mi specjalnie zwierzać. – Mój ojciec był greckim kupcem z Massalii, moja matka Galijką z plemienia Bojów, zamieszkałego na północy. Jako dziecko nauczyłem się obu języków. Towarzyszyłem ojcu w jego kupieckich wyprawach, podróżowaliśmy dolinami rzek aż nad Morze

Północne. – Powiedział to tak bezosobowo, jakby mówił o kimś innym, nie zdradzając wcale, jak wspomina swoje dzieciństwo – przyjemnie czy nie. – Miałem chyba szesnaście lat, gdy napadli na nas germańscy wojownicy. Greccy kupcy podróżują po ziemiach wojujących ze sobą plemion bez przeszkód, Galowie nigdy im w tym nie przeszkadzali, ale dla Germanów, którzy właśnie przekroczyli Ren, byliśmy obcymi. Najpierw dobrali się do wina, a potem zaczęli zabijać mężczyzn i gwałcić zakupione przez nas niewolnice, wybornie się przy tym bawiąc. Nazajutrz zabrali nas ze sobą do Germanii. Mój ojciec już tego nie dożył, co można by uznać za błogosławieństwo.

– Dlaczego cię oszczędzili? – zapytałem.

– Później, gdy poznałem ich język, dowiedziałem się, że uznali mnie za leśnego skrzata, jedną z tych złośliwych istot ze swoich legend zamieszkałych w korzeniach drzew i czyniących psoty. Uważali, że gdyby mnie zabili, przyniosłoby to pecha, więc uczynili ze mnie niewolnika. Początkowo kazali mi ciężko pracować, ale niebawem dowiodłem, że większy będą mieli ze mnie pożytek, gdy zostanę tłumaczem.

– Dlaczego? – spytałem. – Germańskie plemiona żyją w sąsiedztwie Galów od wieków, toteż z pewnością znają galijskie języki. Poza tym mają pod dostatkiem galijskich niewolników.

– To wszystko prawda – rzekł, kiwając potakująco głową. – Ale to plemię żyło dotąd w głębi puszczy i nie ufało pobratymcom znad rzeki, a tym bardziej Galom, zarówno wolnym, jak i niewolnikom.

– Dlaczego ciebie potraktowali inaczej?

– Byłem Grekiem, przynajmniej w połowie, a tym samym miałem wartość jako ktoś egzotyczny. Nic nie wiązało mnie z germańskimi i galijskimi plemionami, były małe szanse, że zdradzę swych panów.

– W jaki sposób trafiłeś do Winiusza?

– Mój p..., to jest, mój poprzedni pan uczestniczył w rzymskim poselstwie dwa lata temu, przysłanym w celu zawarcia układu z królem Ariowistem. Król spotkał się z posłami na wschodnim brzegu Renu, utrzymując pozory, jakoby nie przekroczył rzeki.

– Wygląda na to, że Germanom nie brak politycznego zmysłu, jak powszechnie sądzimy w Rzymie – stwierdziłem.

– Nie lubią zabawy w subtelności – odparł Molon. – Potrafią jednak zdobyć się na wiele, by rozszerzyć swoją władzę. Chętnie walczą, ale lubią także zastraszać przeciwnika i prowadzą rozmowy dopóki, dopóty nie zbiorą armii gotowej do ataku.

– Zaczynasz dowodzić swojej wartości. Czy Winiusz cię odkupił?

– Byłem jednym z podarków wręczonych rzymskim posłom. Tytus Winiusz osobiście poprosił o mnie, a posłowie przystali na jego propozycję z radością, uważając mnie za podarek znacznie mniej wart niż pozostałe.

– Błąd i przeoczenie, które można zrozumieć. Czy w ten sam sposób nabył też Fredę?

Molon zerknął na Germankę, krzywo się uśmiechając. Odwzajemniła spojrzenie. – Nie. Podarował mu ją kilka miesięcy później wódz Swebów, Nasua.

– Dlaczego? – spytałem. – I kim są Swebowie?

– To plemię ze wschodu, które ściągnęło nad Ren niedawno. Co się tyczy pierwszego pytania to trzeba wiedzieć, że wodzowie germańskich plemion uwielbiają wręczać podarunki i rywalizują między sobą o to, kto obdaruje gościa cenniejszym podarunkiem. Nasua dowodził plemieniem wraz ze swym bratem Cimberiusem. Cimberius posłał rzymskiemu prokonsulowi precudny, bogato zdobiony kielich, natomiast Nasua, aby go prześcignąć, sprezentował Winiuszowi Fredę na oczach wszystkich wodzów i dygnitarzy. Powiedział, że jest księżniczką z pewnego plemienia żyjącego w puszczy, ale

sądzę, że kłamał. To córka jakiegoś pastucha, którą się po prostu znudził.

Freda warknęła coś wściekle i uderzyła Molona w głowę tak mocno, że aż się zachwiał, postępując kilka kroków do tyłu.

– Co powiedziała? – spytałem, bo brzmiało to jak straszliwa obelga.

Uśmiechnął się, ukazując rozliczne braki w uzębieniu. – Zapewniła, że bardzo się cieszy, iż mogła stać się własnością tak przystojnego i szlachetnego Rzymianina, jak wy, panie.

– Aha, bo ci uwierzę. Odpowiedz mi teraz na inne pytanie. Czemu nigdy nie domagałeś się przywrócenia wolności? Skoro twój ojciec był obywatelem Massilii, a ciebie pojмали w niewolę rabusie z za Renu, to nie byłeś niewolnikiem.

Wzruszył ramionami. – Moja matka była jedynie konkubiną. Ojciec miał rodzinę, grecką żonę i prawowitego syna, i nigdy nie przyznał się do ojcostwa. W tej sytuacji niewiele mogłem zrobić. Poza tym wolność zdecydowanie się przecenia. Dla wielu oznacza jedynie, że wolno im umrzeć z głodu.

Hermes tymczasem wrócił z lampami i zajął się rozmieszczaniem ich w namiocie. Ja zaś, podniósłszy się z krzesła, przyglądałem się Fredzie, która mierzyła mnie wzrokiem. Nie dostrzegłem w jej oczach strachu, lecz jedynie chłodną kalkulację.

– Proszę – oznajmił Hermes, ukazując się u wejścia do namiotu. – Widno tam teraz jak w kuźni.

– Możecie z Molonem przygotować sobie posłania na zewnątrz – powiedziałem. – Fredo, chodź ze mną. – Schyliłem się u wejścia, wszedłem do środka i usiadłem na skraju łóżka. Liny zaskrzypiały pod moim ciężarem, gdy pochyliłem się, aby rozsznurować sandały. Freda podążyła za mną. – Zasłoń poły – nakazałem. Spełniła polecenie z pogardliwą miną, a jej krzywy uśmiezek zepsuł idealne piękno jej ust. W oddali rozległ się sygnał trąbki.



Dźwięk ten brzmiał w zatłoczonym legionowym obozie.

Zdjąłem sandały i położyłem się na łóżku, splatając dłonie za głową. Dzięki temu ukryłem przed Fredą ich drżenie. – Podejdź bliżej – powiedziałem. Mój namiot był nieduży. Wystarczył jeden krok, by znalazła się tuż przy mnie.

– Czego chcesz? – spytała, a ton jej głosu dowodził, że znała odpowiedź na to pytanie.

– Zdejmij ubranie – nakazałem, panując jeszcze nad głosem. Zawahała się, spoglądając na mnie wyzywająco. – Fredo – dodałem – na tym świecie są trzy rodzaje mężczyzn, przed którymi kobieta powinna rozbierać się, nie czując wstydu. Jej mąż, jej medyk i jej pan. A teraz ściągnij z siebie ten barbarzyński strój.

Jeszcze bardziej wykrzywiła kącik ust, po czym sięgnęła dłonią do lewego ramienia i odpięła fibulę spinającą jej skórzaną tunikę. Krągłe i wydatne piersi sprawiły, że strój nie opadł. Szarpnęła za skóry, pociągnęła je w dół, poniżej łuku szerokich bioder. Tunika opadła na ziemię wokół jej stóp.

Widok ciała barbarzyńskiej kobiety może przyprawić o szybsze bicie serca ludzi wrażliwych. Wysoko urodzone Rzymianki sumiennie usuwają łonowe owłosienie, a niekiedy nakazują to samo swoim niewolnicom. Nawet Galowie golą ciało, z wyjątkiem głowy i twarzy. Germanowie zaś w tej kwestii nie walczą z naturą. Owłosione łono kobiece nie jest mi niemiłe, choć muszę zaznaczyć, iż ja różnię się w swych upodobaniach od większości rodaków. Rzekłbym nawet, że działa na mnie, i teraz też tak było. Freda przypominała młode silne zwierzę, a nie oszlifowany marmurowy posąg.

– Obróć się – powiedziałem, a mój głos brzmiał głucho, bo zaschło mi w gardle.

– Wszystko, czego zażąda ode mnie mój pan – odparła, wykonując ospały

półobrót. Jej bujne złote włosy sięgały pośladków.

– Unieś włosy – rozkazałem. Zebrawszy długie włosy, przytrzymała je w obu dłoniach, ciężar ciała oparła na jednej nodze, stając w klasycznej pozie Afrodyty Kallipygos, czyli Pięknotylej. Była istnym uosobieniem młodości, siły i gracji. Była niczym wspaniałe zwierzę, doskonale w najdrobniejszym detalu.

– Dobrze, możesz się już ubrać.

Odwróciła się, puszczając włosy, które opadły na ramiona i plecy. – Co takiego? – Obruszyła się i była to pierwsza oznaka szczerych uczuć, jaką dostrzegłem w jej zachowaniu.

– Zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć. Włóż tunikę. Albo pozostań naga, jeśli wolisz spać bez ubrania.

Pochyliła się i podniosła z ziemi skóry. – Bardzo łatwo cię zadowolić.

– Tytus Winiusz nie bił cię, Fredo – powiedziałem. – Dlaczego?

– Zaspokajałam go – odparła, mocując fibulę na ramieniu.

– Nie wygaduj bzdur – rzekłem. – Ten okrutny zbir okładał różgami wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu jego ręki. Na twojej skórze nie dostrzegłem najmniejszego śladu przemocy. Dlaczego?

Przysiadła na sienniku zajmowanym dotąd przez Hermesa. – Niektórzy mężczyźni czerpią przyjemność z osobliwych praktyk. Często dotyczy to mężczyzn dzierżących władzę. Lubią, gdy ich się bije – dodała, obdarzając mnie słodkim uśmiechem. – Lubią być upokarzani przez kobiety, zwłaszcza przez niewolnice.

Na Herkulesa, pomyślałem, ci Germanie mają znacznie bardziej wyrafinowane gusta, niż sądziłem!

– A ty zapewniałaś Tytusowi Winiuszowi te, hmm... usługi?

– Ilekroć zażądał. Dlatego nigdy nie podniósł na mnie ręki, choć często mówił o mnie źle w towarzystwie innych żołnierzy. Powtarzał, że postępuje

tak dla zachowania pozorów. Zawsze błagał mnie później o przebaczenie i domagał się, bym wymierzyła mu karę.

Proszę, proszę, Tytusie Winiuszu, pomyślałem. Jakże osobliwym człowiekiem byłeś w rzeczywistości. Znałem polityków lubujących się w mniej wymyślnych dziwactwach.

– Zawsze go słuchałaś? – zapytałem.

– Oczywiście. Jestem przecież niewolnicą.

– To prawda. Idź spać, Fredo. Muszę przemyśleć sporo spraw.

Przez moment spojrzała na mnie niedowierzająco, po czym ułożyła się na sienniku i, podłożyła pod głowę ramię zgięte w łokciu. Zamknęła oczy, ale nie potrafiłem rozpoznać, czy naprawdę zasnęła. Zdmuchnąłem lampy i wyciągnąłem się na plecach.

Nie było mi łatwo. Pragnąłem przyciągnąć ją do siebie i zanurzyć twarz w jej wspaniałych włosach, lecz byłem świadom, że byłby to początek mojej zguby. Ta barbarzyńska niewolnica dobrze wiedziała, jaką ma władzę nad mężczyznami. Umocniłbym ją w tym przekonaniu, gdybym uległ pokusie.

Nie zamierzałem zostać drugim Tytusem Winiuszem.

## ROZDZIAŁ 8

Nazajutrz udałem się o poranku do kuźni. Kowal, jak większość legionowych rzemieślników, był żołnierzem, który usługami w swoim fachu dorabiał do żołdu. Dzięki temu unikał przy tym męczących ćwiczeń i musztry. Na szczęście naprawa zamka w skrzyni Winiusza i dorobienie do niego klucza nie wykraczały poza jego umiejętności. Stałem na uboczu, przyglądając się, jak pracuje, po czym wręczyłem mu za fatygę parę sestercji. Kowale nie dostawali zazwyczaj zapłaty, lecz ja dobrze wiedziałem, że nie należy ich lekceważyć. A może pewnego dnia będę musiał podkuć konia, a wtedy uwinie się z tym prędko, jeśli dobrze mnie zapamięta?

Zaniósłem skrzynię do pretorium i złożyłem w wielkim namiocie, gdzie powinna być bezpieczna bez względu na okoliczności. Następnie udałem się na poszukiwanie ludzi najbardziej zainteresowanych powodzeniem mojej misji. Znalazłem ich pod strażą, siedzących na dnie dołu wykopanego w pobliżu namiotu, w którym przechowywano legionowe insygnia. Dół o głębokości około dwunastu stóp, miał wymiar dwadzieścia na dwadzieścia. Pełniący wartę żołnierze z któregoś contubernium stali nad brzegiem dołu, ich uzbrojenie stanowiły oszczepy i pila. Na hełmie jednego ze strażników zauważyłem białą obwódkę dekuriona.

– Jestem oficerem śledczym – oznajmiłem, zwracając się do niego. – Muszę porozmawiać z więźniami.

– Mamy rozkaz, żeby wam nie przeszkadzać – odparł dekurion, po czym

odwrócił się twarzą do stojącego obok strażnika. – Silva, spuść do dołu drabinę dla kapitana.

– Macie stąd odejść. Chcę rozmawiać z więźniami bez świadków.

Pokręcił przecząco głową. – Nie ma mowy, kapitanie. Jeśli któryś z nich popełniłby samobójstwo, któryś z nas zajmie jego miejsce. Jeśli zrobią wam jakąś krzywdę, wszyscy skończymy w dole. Mówcie cicho, obiecuję, że nie będziemy was podsłuchiwać.

Zszedłem po drabinie, a Burrus doskoczył, by mnie powitać. Pozostali siedzieli na wilgotnej, grząskiej ziemi, przykuci do siebie łańcuchem pętającym im nogi, niczym niewolnikom. Mogłem wybaczyć brak entuzjazmu ludziom znajdującym się w ich położeniu.

– Patronie! – powiedział Burrus. – Co się stało? Strażom nie wolno z nami rozmawiać.

– Zaczniemy od początku. Zostałem wyznaczony do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie morderstwa popełnionego na Tytusie Winiuszu.

Odwrócił się do kompanów. – A nie mówiłem? Mój patron nas z tego wyciągnie. Zasłynął w Rzymie z polowań na zdrajców i morderców. Już jesteśmy wolni!

Ujęła mnie jego wiara w moje możliwości, choć obawiałem się, że trochę przesadna. Powiodłem wzrokiem po pozostałych legionistach, którzy dzielali mój sceptycyzm. Quadratus obdarzył mnie cierpkim uśmiechem, po czym skinął głową. Reszta zerkała na mnie nieśmiało. Byli typowymi żołnierzami, niewiele starszymi od Burrusa. Jedynie dwóch wyglądało na weteranów. Taki skład oddziału uznawano za idealny. Weterani zapewniali jednostce stateczność, rekruci zaś młodzieńczą brawurę w przeprowadzanych akcjach zaczepnych. Oddział złożony z samych weteranów zachowywałby się na polu bitewnym z przesadną ostrożnością, gdyby natomiast tworzyli ją wyłącznie rekruci, brak rozważności groziłby wystąpieniem paniki. Właśnie takie

umiejętne połączenie doświadczenia z młodością decydowało o naszych militarnych sukcesach.

– Jestem jedynym człowiekiem w całej Galii, który może wam pomóc – oznajmiłem bez ogródek. – Nie wierzę, że zamordowaliście Tytusa Winiusza, ale muszę przyznać, iż sprawiacie wrażenie winnych niczym Edyp.

– Kto taki? – spytał jeden z legionistów.

– Grek, który spółkował z własną matką – odparł weteran.

– Ach tak – dodał drugi – ci Grecy. Czego można się po nich spodziewać?

Zboczyliśmy z tematu i zanotowałem w myślach, by powstrzymać się w przyszłości od zbędnych porównań. – Posłuchajcie. Jeśli mam dowieść, że nie jesteście winni śmierci Winiusza, musicie mi zdradzić wszystko, co o nim wiecie. Powstrzymajcie się od opowieści o brutalności centuriona. Czy Winiusz robił, dajmy na to, interesy poza legionem?

– A który centurion tego nie robi? – odezwał się Quadratus. – Oczywiście, że dogadywał się z miejscowymi kupcami i dostawcami. Pierwsza Włócznia miał finansowe układy z Prefektem Obozu, a ten z nim. Tak właśnie wygląda życie w legionie.

– Szukam czegoś poważniejszego niż typowa zinstytucjonalizowana korupcja. W jaki sposób Winiusz się wzbogacił?

Weteran potarł dłonią podbródek. – Nie wiedziałem, że Winiusz był zamożnym człowiekiem. Dawaliśmy mu coś w łapę, by wymigać się od gównianych przydziałów i kar, ale to jeszcze nie uczyniłoby z niego bogacza. Myśleliśmy, że centurion przeznaczca cały żołd na zakup nowych różg. – Pozostali roześmieli się, dowodząc, iż jeszcze całkiem nie upadli na duchu.

– Dowiedziałem się czegoś o Winiuszu – powiedziałem, zniżając głos do szeptu. – Chcę, żebyście zachowali to dla siebie.

Quadratus wskazał dłonią ku stojącym nad nami strażnikom. – No

przecież nie rozgadamy tego po w całym obozie.

– W minionym roku – podjąłem przerwany wątek – Tytus Winiusz zainwestował spore pieniądze w posiadłość w Italii. Zapłacił – bądź zobowiązał się zapłacić – kwotę przekraczającą milion denarów. Ciekawi mnie, w jaki sposób zgromadził taką sumę.

– Pierwsze słyszę – odrzekł Quadratus, a jego kompani popatrzyli na siebie ze zdumieniem. – Oczywiście, centurion nie rozmawiał z nami o swoich interesach.

– Założę się, że o tym nie rozmawiał z nikim – dodałem. – Przynajmniej z nikim z tego legionu. Dlatego chciałbym się dowiedzieć, co robił poza legionem. Molon powiedział mi, że Winiusz był raz czy dwa w grupie posłów, którzy jeździli do Galów i Germanów.

– Uważajcie na słowa tego odrażającego pokraki – ostrzegł mnie jeden ze starszych legionistów. – Niewolnik zwykle kłamie, gdy wie, że ujdzie mu to na sucho. Ale tym razem akurat mówił prawdę. Winiusz jeździł wraz z niemal każdym poselstwem, jakie prokonsul wysyłał do barbarzyńców. Pierwsza Włócznia dowodził gwardią honorową, a jego opinia, zgodnie ze zwyczajem, liczyła się, zwłaszcza w sprawach natury wojskowej.

– Czy Winiusz rozmawiał z tutejszymi Galami bądź Germanami?

Roześmieli się chórem jak na komendę. – Barbarzyńcy w naszym obozie? Mało prawdopodobne, chyba że macie na myśli pretoriańskie auxilia.

Dochodzenie zaczęło przypominać okropny sen, który wracał do mnie. Oto biegnę zadziwiająco pustymi ulicami Rzymu, chcę dotrzeć do domu lub na Forum, lecz to się nie udaje, bo zawsze wbiegałem do ślepych zaułków.

– Zrozumiałem. Powiedzcie mi w takim razie, gdzie byliście w nocy, kiedy został zamordowany?

– Ja i Quadratus staliśmy razem na posterunku na północnym wale, gdzie znaleźliście nas poprzednio – odparł Burrus. – Zawsze obsadzamy ten sam

posterunek podczas wieczornej warty, a jak dobrze wiecie, ostatnio było tak każdej nocy – dodał, po czym wymienił nazwiska trzech dwójek pozostałych legionistów. Razem z Quadratusem zajmował posterunek wysunięty najdalej na wschód.

– Kiedy widzieliście go po raz ostatni? – zapytałem.

– Podczas wieczornej parady, przed luzowaniem straży – odpowiedział Burrus. – Stał na podwyższeniu, przy legatusie, tak jak niemal każdego wieczoru.

– Nie było tam Cezara?

– Prokonsul pojawia się jedynie na uroczystych paradach – odparł weteran. – Poranne i wieczorne musztry lustrował zazwyczaj trybun.

– Nie widzieliście go tamtej nocy na murze?

– Rzadko nas odwiedzał – odrzekł Quadratus. – Stopień starszego centuriona z pewnością dostał nie po to, by włóczyć się po wale jak zwykły szeregowiec.

– Słowa godne prawdziwego żołnierza – skwitowałem. – Trupa Winiusza znaleziono odzianego w zwykłą ciemną tunikę, jaką noszą zazwyczaj niewolnicy. Czy którykolwiek z was widział go wcześniej w podobnym stroju?

Spojrzeli po sobie, w ich oczach dostrzegłem zakłopotanie; uczucie, które na twarzach doświadczonych żołnierzy nie pojawia się często.

– Cóż – zaczął weteran. – Wiedzieliśmy, że Winiusz i jego Germanka lubią dziwne zabawy, ale oddawali się im w zaciszu namiotu. Centurion nigdy nie rozstawał się ze swoim mundurem.

– Gdyby założył na siebie zgrzebną tunikę – dodał Quadratus – wystawiłby się na pośmiewisko całego obozu. Tak jak wy, kiedy zjawiliście się w tym paradnym stroju. – Roześmieli się, ja zaś dozwoliłem, by bawili się moim kosztem. – Straciłby szacunek żołnierzy, a centurion nie może sobie na



to pozwolić. Zwłaszcza jeśli piastuje stanowisko Pierwszej Włóczni.

– Zginął kilkaset metrów od waszego posterunku – powiedziałem. – Słyszeliście w nocy jakieś dziwne odgłosy?

– Typowe wrzaski barbarzyńców – odparł Burrus. – Jak w nocy, kiedy pan odwiedził nas na murze. Mogliby zamordować tuzin Rzymian, a my nie usłyszeliśmy niczego. W dodatku byliśmy zmordowani i niewyspani.

– To jedyna zaleta tej sytuacji – dodał Quadratus. – W końcu się wypaliliśmy i żadnemu z nas nie przeszkadzało błoto.

Zadarłem głowę. Na błękitnym niebie gdzieniegdzie były białe obłoki. – Spróbuję przekonać Labienusa, by pozwolił rozpostrzeć nad tym dołem płótno.

– Tu wcale nie jest tak źle – odezwał się jeden z weteranów. – Z pewnością lepiej niż w Libii.

Wyszedłem stamtąd, zapewniwszy ich jeszcze raz, że pomogę im wydostać się z opresji. Najmłodszy uwierzył moim słowom. Starsi od dawna hołowali zasadzie, by zawsze spodziewać się najgorszego.

Wracając do pretorium, zobaczyłem tłum zebrany na obozowym forum. Postanowiłem sprawdzić, co się stało, i podszedłem bliżej. Zauważyłem skrawek spalonej ziemi, gdzie poprzedniego dnia był pogrzebowy kopiec Tytusa Winiusza. Dostrzegłem Labienusa siedzącego na krześle kurulnym, ustawionym na podwyższeniu. Towarzyszyło mu sześciu liktorów podpierających się na swoich fascēs. Pomiędzy gapiami zauważyłem też Carbo i podszedłem do niego.

– Legatus przyjmuje interesantów – zaspokoił moją ciekawość. – Rankiem zjawiała się w obozie grupa prowincjonalnych urzędników oraz prawników, którzy domagali się rozstrzygnięcia w kilku sprawach.

– Przybyli do wojskowego obozu rozbitego w środku strefy wojennej? – spytałem.

– Życie toczy się dalej – odparł Carbo. – Także w czasie wojny.

Oto jedna z wielu osobliwości naszego systemu rządów. Gdy posyłamy propretora bądź prokonsula, by objął władzę nad danym terytorium, obarczamy jednego człowieka podwójną rolą – zarządcy oraz wojskowego dowódcy. Z tego właśnie powodu towarzyszą im legaci. Prokonsulowie skupiają się na głównych zadaniach, a mniej ważne zostawiają pomocnikom. Zdarzają się jednak takie sytuacje, że pomocnicy muszą pełnić obie funkcje jednocześnie. Zdziwiłem się, widząc pośród dygnitarzy Galów, w tym także znanych mi już druidów.

Nadarzyła się okazja, by mieć całe pretorium dla siebie samego. Poszedłem skrótami i minąłem niski wał tuż za podwyższeniem. Duży namiot stał pusty. Obszedłem go dookoła, upewniając się, czy jestem sam, po czym wszedłem do środka.

Ciężką skrzynkę postawiłem na stole, a następnie otworzyłem zamek nowym, lśniącym kluczem. Wyjąłem wszystkie umowy i zrobiłem ich wykaz, odnotowałem też widniejące na nich sumy. Potem, odsunawszy tabliczki i zwoje na skraj blatu, chwyciłem skrzynkę, która mimo grubych skórzanych pasów i żelaznego okucia wciąż wydawała się bardzo ciężka. Ustawiłem ją przy wejściu do namiotu tak, aby promienie słońca padały na jej dno. Było idealnie gładkie. Spróbowałem przesunąć ciężkie nity przytrzymujące pasy, lecz żaden nawet nie drgnął.

Odwróciłem skrzynkę, żeby przyjrzeć się jej od spodu, i zobaczyłem cztery, dwuipółcentymetrowe nóżki, podklejone skrawkami skóry. Spróbowałem je przekręcić i wreszcie trzecia ustąpiła nieznacznie. Przeniosłem skrzynkę z powrotem na stół. Uniosłem ją, chwyciłem za ruchomą nóżkę i starałem się obrócić. Gdy wykonała czwartą część obrotu, usłyszałem kliknięcie. Dno skrzynki uniosło się. Zdołałem wetknąć w szczelinę czubek noża i bez trudu podważyłem deszczułkę. Skrzynka miała

podwójne dno. Okazało się, że skrywało złoto.

Minęła chwila, nim wrócił mi normalny oddech. Pochyliłem się nad blatem, by przyjrzeć się uważniej znalezisku. Sztabkę złota znaczyły przecinające się linie. Włożyłem w ryseń nóż i wyjąłem małą złotą cegielkę, o długości i szerokości mego wskazującego palca. Była zadziwiająco ciężka. W prostokątnej przerwie dostrzegłem kolejną sztabkę.

Schowałem złoto na miejsce, zamknąłem fałszywe dno i przekręciłem nóżkę, po czym sięgnąłem do skrzyni z zapasami i pokrzepiłem się winem Cezara, dumny, że nie rozlałem nawet kropli.

Kto wiedział o skarbie? Wszystko wskazywało na to, że Winiusz nie miał najbliższej rodziny. Czy zwierzał się swojemu zarządcy? Jeśli tak, to jak dalece? Raptem w moim umyśle zakiełkowała haniebna myśl. W skrzyni spoczywało wystarczająco dużo złota, bym zdołał pokryć moje długi i opłacić wszelkie koszty wiążące się z wyborem na stanowisko edyla. Mógłbym wyremontować ulicę lub odnowić świątynię, a nawet sfinansować igrzyska, ale i tak nie wydałbym wszystkiego. Dość łatwo można by sfałszować dokumenty i przepisać akty własności na siebie. W jednej chwili stałbym się bogatym właścicielem ziemskim, po raz pierwszy w życiu byłbym niezależny. A że posiadłości rozrzucone były po całej Italii, to nikt by się o nich nie dowiedział. Pieniędzom zainwestowanym w ziemię przyglądano się rzadko, podobnie jak wszelkim innym formom bogactwa.

– Lubisz wcześniej sięgać po wino?

Odwróciłem się gwałtownie. W wejściu do namiotu stał Labienus. – Pomaga mi w myśleniu – odparłem.

– Nalej mi także – powiedział. – Przyda mi się odrobina inspiracji – dodał, wchodząc do środka. – Potrzebuję chwili przerwy, zanim zasądzę kilka egzekucji, za które mogę zostać później pozwany w Rzymie do sądu. O bogowie, jakże nienawidzę prowincjonalnych bogaczy i publikanów. –

Spojrzał na stos dokumentów leżący na stole obok skrzyni. – Należały do Winiusza? Jak na centuriona, to strasznie dużo papierzysk.

Wręczyłem mu pucharek. – Winiusz był bogaczem.

– Ze względu na własne dobro zapomnij o tym morderstwie – doradził mi Labienus. – Wiem, że ten chłopak jest twoim klientem, ale wasz ród ma zapewne mnóstwo podobnych. Nikt nie będzie za nim tęsknił, a im szybciej wykonamy egzekucję tych ośmiu oskarżonych, tym prędzej w armii wróci należąca dyscyplina. Ta zaś jest konieczna w przededniu wojny.

– Nie zostawię tego tak, póki nie znajdę satysfakcjonującego wyjaśnienia – odparłem. – A do tego jeszcze daleko.

– Dlaczego doszukujesz się w tym morderstwie czegoś szczególnego? – spytał twardszym tonem. – Winiusz był osiłkiem i traktował swoich żołnierzy jak zwierzęta. Uwziął się na jedno contubernium, a w rezultacie popchnął tych legionistów do desperackiego czynu. To całkowicie zrozumiały, aczkolwiek niewybaczalny postępek. Niech za niego zapłacą i na tym sprawa się zakończy.

– To nie ma sensu – powiedziałem.

– Co nie ma sensu? – spytał zniecierpliwiony.

– Choćby sztylet.

– Sztylet? Dobra, solidna broń przeznaczona do uśmiercania ludzi. Sprawdza się od wieków. Wyjaśnij, co masz na myśli.

– Mamy ośmiu podejrzanych żołnierzy, z których przynajmniej trzech brało udział w morderstwie. Legioniści nawet na chwilę nie rozstają się ze swoimi gladiusami. Dlaczego dźgnęli Winiusza sztyletem, skoro mieli pod ręką miecze? Wiesz dobrze, jak wygląda rana od gladiusa. Przypomina ranę zadaną szpadlem. Ofiary mogą przeżyć pchnięcie nożem, o ile ostrze nie uszkodzi ważnych organów, ale cios mieczem oznacza pewną śmierć. Właśnie z tego powodu miecze są obowiązkowym wyposażeniem armii.

– Masz rację – przyznał – ale ludzie w skrajnych sytuacjach rzadko myślą trzeźwo. A przecież mówimy o spisku. Każdy z tych ośmiu zadał cios, by wina rozłożyła się na wszystkich.

– Przekonująco uargumentowane – skwitowałem jego wypowiedź, dając wyraz swemu prawniczemu wykształceniu. – Ale wydaje się dziwne, żeby całe contubernium postąpiło w sposób tak mało rozważny, eliminując człowieka pokroju Tytusa Winiusza. – Ta wymiana zdań odciągnęła moje myśli od skrzyni wypełnionej złotem. Mimo to czułem krople potu na czole. – A pętla? To również nie jest wojskowy oręż. Moim zdaniem legioniści zabiliby Winiusza szybko i sprawnie, gdyby naprawdę podjęli taką decyzję. Nie zapominajmy też o jego stroju.

– A tak, był zadziwiający.

– Oskarżeni twierdzą, że po raz ostatni widzieli Tytusa Winiusza w twoim towarzystwie w trakcie wieczornego przeglądu. Widziałeś go później?

– Zaraz, zaraz... Wrócił do pretorium i wdał się w rozmowę z Cezarem i Galami...

– Galami? Jakimi Galami?

– Część z nich zjawiała się dziś w obozie. Nagabywali Cezara, by rozstrzygnął ich petycje. Wiedzą, że gdy wybuchnie wojna, nie będzie czasu na zwoływanie sądów.

– Czego dotyczyły ich prośby?

– Tego co zazwyczaj – odparł, wzruszając ramionami. – Umów na prace publiczne, które z powodu osobliwego, pięcioletniego przydziału Cezara stały pod znakiem zapytania. Kilku zabójstw, które mogą sprowokować plemienne waśnie, jeśli pozwolimy prowincjonalnym Galom na powrót do dawnego sposobu życia. Nadanych ziem, będących przyczyną sporów. Właśnie tego rodzaju spraw.

Wzmianka o ziemi przykuła moją uwagę, lecz Tytus Winiusz nie interesował się galijskimi włościami. Zastanowiło mnie to. Prowincja słynęła z urodzajnej gleby, tutejsze gospodarstwa można było nabyć zdecydowanie taniej niż posiadłości w Italii. Siła robocza też była tu tańsza. Oczywiście, zagrożeniem była mająca wybuchnąć niebawem wojna, ale jeśli wpłynęło to na finansowe plany centuriona Winiusza, zdradzało zadziwiający brak zaufania do rzymskiej armii.

– Dlaczego Cezar przywołał do siebie Winiusza, gdy rozmawiał z Galami?

– Nie wiem. W pretorium przebywałem ledwie kilka minut, po czym wróciłem do obozu, by dokonać przeglądu nowo przybyłego oddziału jazdy pomocniczej. W każdym razie Cezar powiedział Galom, by wrócili za dwa dni. Nie dodał, że wtedy będzie nieobecny. Chciał zrzucić podjęcie decyzji na mnie. Pod pewnymi względami niewiele się zmienił i nadal grzeszy lenistwem.

– Nie widziałeś już później Winiusza?

– Nie. Zapewne udał się do swego namiotu i tej Germanki. – Zmierzył mnie surowym wzrokiem, przypominając o urazie, jaką żywili wobec mnie wszyscy oficerowie. – Jak ją oceniasz? Jeśli Cezar jej nie chciał, powinien oddać ją mnie. Jestem w końcu jego namiestnikiem.

– A ja mam w senacie wpływowych przyjaciół.

– Hmm. Pewnie jest ci dłużny znaczącą sumę. Ponoć pozbył się już długów, ale ja w to nie wierzę. Było ich zbyt dużo. Cóż, pora wrócić do pracy. – Odstawił pucharek na stół, obok wyładowanej złotem skrzyni. – Posłuchaj mojej rady, Metellusie. Pozwól na egzekucję. To będzie najlepsze rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych.

– Najpierw muszę mieć pewność, że oskarżeni są winni.

– Tu chodzi o twoją karierę – rzucił przez ramię i wyszedł.

Ostrożnie umieściłem wszystkie dokumenty w skrzynce i przekręciłem klucz w zamku, po czym zawiesiłem go na rzemyku, który założyłem na szyję. Usiadłem na krześle i przez moment przyglądałem się skrzynce. Chciałem ją zabrać do namiotu, ale niedobrze byłoby zwracać na siebie uwagę. Nie mogłem wziąć jej pod pachę. Przez chwilę rozważałem pomysł potajemnego zakopania skrzyni nocą za murami obozu. Porzuciłem chłopięce pomysły i uznałem, że najbezpieczniej będzie przechowywać skrzynkę w pretorium. Było dobrze strzeżone, a ponadto zarządziłem, żeby przenieść tam cały dobytek Winiusza.

Ale czy pretorium rzeczywiście było bezpiecznym miejscem? Nie dla mnie. Po raz pierwszy w życiu zostałem wystawiony na tak wielką pokusę. Dopadła mnie niezbyt przyjemna myśl, że jestem tak samo zepsuty jak wszyscy senatorowie, którymi dotąd pogardzałem. Czy to możliwe, że jedynie skorzystali z nadarzających się okazji wcześniej niż ja? I wówczas pomyślałem o Burrusie i jego contubernium. Czy postąpiłbym inaczej, gdyby od mojej decyzji nie zależało życie niewinnych ludzi? Nawet dziś nie chcę się nad tym zastanawiać.

A inni podejrzani? Istniało duże prawdopodobieństwo, że Paterculus, prefekt obozu, wiedział o oszustwach Winiusza. Czy wiedział również o skrzynce? Jeśli tak, to co mogłem w tej kwestii zrobić? Żałośnie mało. Gdyby któremukolwiek z tych wojskowych dzikusów przyszło do głowy przywłaszczyć sobie skrzynkę, właściwie nie mógłbym zaprotestować. Chyba że chciałbym skończyć w stawie.

A Cezar? O dziwo, choć znałem go od wielu lat, po raz pierwszy nie włączyłem go do kręgu podejrzanych. Po pierwsze, Cezar objął komendę nad Dziesiątym Legionem zaledwie dwa miesiące temu, a podejrzane transakcje Winiusza, zgodnie z datami umów, zaczęły się w ubiegłym roku. Winiusz mógł powiedzieć dowódcy o swoich interesach, a nawet oddać część

oszczędności, lecz szczerze wątpiłem, że tak było. Gdyby Cezar miał cokolwiek do ukrycia, z pewnością nie wyznaczyłby mnie na oficera śledczego, dobrze znając mój zapał do odkrywania tajemnic i zagadek.

Ostatecznie wyniosłem ciężką skrzynkę przed namiot i postawiłem obok pozostałych rzeczy Winiusza, które Molon nakrył płachtą, lecz postanowiłem nie zawracać sobie głowy tym, czy były tu bezpieczne, czy nie, wolałem bowiem zachować życie i zdrowie. Przyznam, że nadal walczyłem z pokusą. Chciwość, którą nieoczekiwanie poczułem, zbrukała mnie i spodliła. Niemal zazdrościłem w tamtej chwili Krassusowi i podobnym mu ludziom, którzy zbudowali swoje kariery na fundamencie chciwości i znakomicie się z tym czuli. Takie przynajmniej wrażenie sprawiał Krassus na co dzień. Kto wie, być może budził się nocami z krzykiem na ustach, ścigany w koszmarach przez furie, tak samo jak każdy człowiek o nieczystym sumieniu?

Pogrążony w niepokojących myślach, wyszedłem przez przerwę w wale okalającym pretorium i zderzyłem się z mężczyzną odzianym w białe szaty. Zacząłem przeproszać, jeszcze nim zorientowałem się, że wpadłem na najmłodszego z trójki druidów, którzy przybyli do Cezara wraz z galijskimi i germańskimi posłami. Z miejsca przeszedłem z łaciny na grekę, zakładając, że będzie rozumiał ten język.

– Proszę o wybaczenie. Zamyśliłem się głęboko.

Płynnym gestem położył dłoń na piersi i podparł się kosturem. – Wina leży po mojej stronie – odparł po grecku zrozumiale, choć z wyraźnie obcym akcentem. – Podziwiałem legionowe insygnia i nie patrzyłem pod nogi. – Skinął głową w kierunku orła i pozostałych sztandarów, strzeżonych przez legionistów odzianych w lwie skóry. Nieopodal siedzieli w dole ludzie, których miałem ocalić od pewnej śmierci.

– Nazywam się Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy – przedstawiłem się, wyciągając dłoń. Ujął ją niezdarnie jak ktoś nienawykły do takich



gestów. Miał dłonie delikatne niczym patrycjuszka. Wszystko wskazywało na to, że druidzi wiedli bardzo przyjemne i wygodne życie.

– Cecyliusz Metellus? Czy nie jesteś przypadkiem z jednego z wielkich rzymskich rodów?

– Zapisaliśmy się na kartach historii – potwierdziłem chełpliwie.

– Zwą mnie Badraig, należę do bardów.

– Przybyliście z petycją? – zapytałem.

– Tak. Sądziliśmy, że zastaniemy w obozie Cezara – w jego głosie była irytacja. Labienus trafnie odczytał wybieg Cezara.

– Gajusz Juliusz potrafi zaskakiwać – odparłem współczująco.

– Myślałem, że wyżej nas ceni. Kilkakrotnie rozmawiał z nami na osobności w trakcie negocjacji, a my opowiedzieliśmy mu o naszej religii, zwyczajach i praktykach. – Najwidoczniej nie zdawali sobie sprawy, że Cezar zbierał cenne informacje, aby wykorzystać je w przyszłości przeciwko nim.

– Nie gniewajcie się. Podczas nieobecności prokonsula cała władza spoczywa w rękach legata. Każda podjęta przez niego decyzja uzyska poparcie senatu. Jeśli nie uznacie mnie za wścibskiego, zapytam, czego dotyczyła wasza petycja?

– Tutejsze plemiona spierają się o przygraniczne ziemie, rozwiązywanie podobnych sporów wymaga naszej obecności.

– Niewiele wiem o waszych zwyczajach, ale sądziłem, że druidzi nie posiadają żadnych włości. – Dołączył do mnie, gdy ruszyłem w kierunku mojego namiotu. Z przyjemnością przystałem na tak ciekawe i niecodzienne towarzystwo, rozmowa odciągnęła bowiem moje myśli od kłopotliwej skrzynki.

– Włości nie posiadamy, aczkolwiek opiekujemy się świętymi miejscami. Zgodnie ze starym zwyczajem musimy jednakże uczestniczyć w dyskusjach

dotyczących przygranicznych sporów. Nim Rzymianie przybyli na ziemię, które określacie teraz jako prowincję, podejmowaliśmy wszystkie istotne decyzje. – Wychwyciłem w jego głosie nutę rozżalenia.

– Cóż, w takim razie zdjęliśmy wam z barków niemały ciężar. I tak oto dotarliśmy na miejsce. Mój namiot. Co powiecie na lekką przekąskę?

– Czuję się ogromnie zaszczycony – odparł, wykonując dworny gest dłonią. W przeciwieństwie do większości Galów ich druidzi potrafili się zachować w towarzystwie.

– Molonie! Przynieś krzesło dla gościa.

Molon wyszedł przed namiot i ze zdziwienia otworzył szeroko usta. – Natychmiast, panie – powiedział i pokuśtykał w kierunku sąsiedniego namiotu, by pożyczyć coś do siedzenia. Wrócił po chwili i razem z Fredą podali obiad. Niewolnica spoglądała na druida z taką samą obojętną pogardą, jaką obdarzała wszystkich mężczyzn. Tak jak objaśnił mi Levernus, Germanowie nie szanowali druidów ani ich świętych miejsc.

– Kończy się wino – oznajmiła.

– Nie możemy do tego dopuścić, prawda? – Sięgnąłem do sakwy i wręczyłem jej kilka monet. Jeśli zdołam wrócić do Rzymu ze skrzynką Winiusza, nie będę się musiał więcej martwić o wydatki, pomyślałem. Odsunąłem od siebie grzeszną myśl, wiedząc, że jeszcze powróci. – Pobiegnij na obozowe forum – nakazałem Fredzie. – Z pewnością znajdziesz na placu kupca handlującego winem. Petenci i gapie to ludzie spragnieni.

Bez słowa obróciła się na pięcie i odeszła. Badraig ani spojrzał na nią. Ci druidzi są jak nie z tego świata, zdumiałem się w myślach.

Molon przyrządził nieźle królika, lecz Badraig zadowolił się owocami i chlebem. Odmówił też wina, pił tylko wodę. Zostanie więcej dla mnie, pomyślałem.

– Interesująca laska – powiedziałem. Druid oparł ją o stół, a ja

podziwiałem wyryte w drewnie wzory. – Czy jest symbolem kapłańskiego stanu, jak lituus augurów?

– Tak, ma ją każdy druid. Używamy ich do wytyczania świętych granic i święcenia wody. Ale służą nam również po prostu jako kostury. Nie są święte, jeśli o to pytaliście. Proszę, możecie ją obejrzeć.

Wziąłem do ręki laskę i okazało się, że jest cięższa niż sądziłem. Na całej długości widniały wyszukane wzory, przecinające się pod wieloma kątami. Najbardziej zaciekało mnie jednakże jej zwieńczenie. Naturalne zgrubienie drewna wykorzystano, by wyrzeźbić głowę bóstwa o trzech twarzach, spoglądających w różne strony. Bóstwo obdarzone zostało wyłupiastymi oczami, co było typowe dla galijskiej sztuki. Często zastanawiałem się, dlaczego Galowie, którzy są wspaniałymi rzemieślnikami, przedstawiają ludzkie podobizny w ten groteskowy dziecięcy sposób.

– Czy to jeden, czy może trzech bogów? – zapytałem.

– Widzicie trzech bogów i zarazem jednego – odparł enigmatycznie.

– Trzech czy jednego? Jak brzmi prawdziwa odpowiedź?

– Większość naszych bogów ma potrójną naturę – wyjaśnił. – A wszystkimi rządzi wielka trójca: Esus – Pan Bogów, Taranis – bóg piorunów i Teutates – Pan Świętych Wód, bóg ludzi.

– Mamy tu zatem trzech bogów – oznajmiłem.

– Pod pewnym względem. Tym niemniej są jednym.

Miałem nadzieję, że rozmowa nie zamieni się w mętłą, mistyczną paplaninę, w czym lubują się obcokrajowcy. Musiał się jednakże bardziej postarać, jeśli zamierzał przebić egipskiego kapłana w nudziarstwie.

– Każdemu oddaje się cześć osobno, o innej porze roku. Każdemu poświęcone są odmienne obrzędy. Każdemu składa się inne ofiary. Ale trójca to jeden bóg o wielu aspektach, dominujących w danej porze roku.

– Wasz rok dzieli się na trzy pory?

– Oczywiście jesień, zimę i lato. Jesień zaczyna się świętem Lugnasa, zima świętem Samhain, a lato świętem Beltene, kiedy rozpalamy ogromne ogniska. – Najwidoczniej Galowie byli ludem lubiącym wykonywać wszystko trzykrotnie.

Ułamałem udko pieczonego królika i zanurzyłem je w misce z sosem garum. Badraig wzdrygnął się mimowolnie. Jak większość Galów odnosił się do garum z odrazą. Postanowiłem zapomnieć na moment o dobrych manierach i takcie.

– Czy to prawda, że składacie podczas tych świąt ofiary z ludzi?

– O, tak – odparł druid, jakbym pytał o rzecz oczywistą i najzwyczajszą w świecie. – Jakaż inna ofiara godna jest bogów? Taranisowi składamy na przykład ofiary z jeńców pochwyconych w bitwach. Umieszcza się ich w wiklinowych posągach bogów, które podpalamy po uroczystej ceremonii.

Żałując, że zadałem to pytanie, potarłem kciukiem i palcem wskazującym grzbiet nosa. – Tak, słyszałem coś o tym.

– Co się zaś tyczy ofiar składanych Esusowi... – mówił dalej Badraig, zainteresowany tematem.

Pojawienie się Fredy, która wróciła z forum przerwało jego wypowiedź. Niewolnica przyniosła na ramieniu duży dzban z winem. Wskazała druida kciukiem. – Szukają go – oznajmiła lakonicznie.

– Okaż więcej szacunku – zganiłem ją. – To kapłan, a ponadto mój gość.

Spojrzała na Badraiga spode łba. – Wygląda jak każdy Gal. – Po tych słowach odwróciła się i zniknęła w namiocie. Powiodłem za nią wzrokiem, zastanawiając się raz jeszcze, dlaczego Winiusz nigdy jej nie uderzył. Jej zachowanie sprawiło, że miałem ochotę to zrobić. Obróciłem się twarzą do druida.

– Po tysiącokroć przepraszam. Schwytaliśmy tę dzikuskę stosunkowo niedawno i nie zdążyliśmy nauczyć jej właściwych manier.

Badraig machnął dłonią i uśmiechnął się szeroko. – To prawdziwa Germanka. Nigdy się nie zmieni. Postąpicie słusznie, zwracając jej wolność lub sprzedając kupcowi zmierzającemu na południe. Z takich niewolnic więcej kłopotów niż pożytku.

– Zastanowię się nad tym.

Wstał z krzesła i podniósł laskę. – Muszę już iść. Zapewne jestem potrzebny, by wyrecytować któryś z prawniczych precedensów, które kazano mi zapamiętać. Dziękuję wam bardzo za gościnność.

– Odwdzięczyliście się, zapewniając mi wyśmienite towarzystwo.

– Okazaliście niezwykle zainteresowanie naszą religią. A może zechcecie wziąć udział w którymś z naszych świąt?

Jego propozycja wprowadziła mnie w zdumienie. – Pozwalacie obcym uczestniczyć w waszych rytuałach?

– Nie wszystkie są uroczystymi ceremoniami. Poślę po was, jeśli będziemy coś świętować w pobliżu. Obiecuję, że obejdzie się bez ofiar z ludzi.

– Dziękuję za zaproszenie, ale zbliża się wojna, ja zaś mam pewne obowiązki.

Uśmiechnął się ponownie. – To niczego nie przesądza. W trakcie wojny więcej czasu spędza się na czekaniu niż na walce. Życzę wam miłego dnia, Decjuszu Cecyliuszu Metellusie Młodszy.

– Wzajemnie, druidzie Badraigu – odparłem, zawstydzony moją niewiedzą, która nie pozwoliła mi wymienić wszystkich tytułów gościa. To nie do przyjęcia, żeby barbarzyńca miał lepsze maniere ode mnie. Nie przestając się uśmiechać, Badraig obrócił się na pięcie i odszedł w stronę obozowego forum.

## ROZDZIAŁ 9

Resztę dnia spędziłem na rozmowach z oficerami i legionistami, wypytyjąc o zachowanie Tytusa Winiusza i miejsca, w których widziano go w nocy, gdy popełniono morderstwo. Dziwne, że nikt nie przypominał sobie, by spotkał go w obozie po wizycie Galów w namiocie Cezara. Z konieczności musiałem wyjść poza mury obozu.

Pozbawione wałów obozowisko nieszczęsnej Pierwszej Centurii prezentowało się schludnie i przypominało legionowy obóz w miniaturze. Legioniści wyglądali na zmęczonych po nocy spędzonej na warcie, lecz byli żywi i zdrowi. Rozbili namioty, ustawiając je w typowy dla centurii sposób, czyli w podkowę. Wartownicy stali o rzut oszczepem od namiotów, podpierając się na tarczach. Wypowiedziałem hasło, choć już mnie widzieli i wiedzieli, kim jestem. Przepuścili mnie, rzucając nieprzyjazne spojrzenia.

Optio Aulus Vehilius rozmawiał ze swoimi dekurionami przy ognisku, nad którym niewolnik gotował poscę. Poczulem gryzący odór octu z odległości pięćdziesięciu kroków. Obserwował z pogardliwym wyrazem twarzy, jak zsiadam z końskiego grzbietu.

- Jak minęła noc? – zapytałem uprzejmie.
- Jak widać żyjemy – odrzekł.
- Tak, przyjmijcie moje gratulacje. Muszę zadać wam kilka pytań dotyczących ostatnich godzin życia Tytusa Winiusza.
- Wciąż próbujecie ratować waszego szanownego klienta i jego

kompanów? – spytał dekurion. – Siedzą bezpieczni w obozie, w przeciwieństwie do nas. Dlaczego są lepiej traktowani?

– Grozi im straszliwa śmierć – odparłem.

– Jeśli Galowie zaatakują obóz – wtrącił drugi legionista – najpierw my tutaj zginiemy.

– Posłuchajcie mnie dobrze, niewdzięczne wiejskie przybłądy – rzekłem żartobliwym tonem. – Nikt nie zginie, póki mam w tej kwestii coś do powiedzenia. Wierzę, że Winiusza nie zabili żołnierze z oskarżonego contubernium. Wierzę, że wasza centuria nie jest winna. Jestem niemal pewien, że Tytus Winiusz sam przyczynił się do swojej śmierci, a co więcej, zasłużył na nią. Ale wpierw muszę tego dowieść. Otrzymałem od Cezara specjalne uprawnienia i mam prawo przesłuchać każdego, kto przebywa w granicach jego imperium. Jeśli macie jakiegokolwiek obiekcje, zgłóście je prokonsulowi po jego powrocie. Nie spodziewajcie się jednak, że was wysłucha.

Moje słowa otrzeźwiły legionistów i oto miałem przed sobą gromadkę przerażonych ludzi. Rzymscy żołnierze są najlepsi na świecie, odwagą dorównują lwom, a ich siła bierze się z przynależności do grupy, jaką jest legion. Żołnierz oddzielony od macierzystej jednostki traci moc. Byłem dla nich jedynie dogodnym obiektem, na którym mogli wyładować gniew. W pokrętny sposób, co całkowicie zrozumiałe, winili Burrusa i jego kompanów za to, że ci nie zginęli na miejscu, poświęcając się dla dobra pozostałych.

Zrzędlivy optio zdobył się na nikły uśmiech. – W porządku, kapitanie, damy wam spokój. Co chcecie wiedzieć?

– Zdaniem świadków, Winiusza widziano tamtej nocy po raz ostatni w namiocie Cezara, który rozmawiał z kilkoma tubylcami na temat przygranicznych sporów. Rozmowa ta odbyła się tuż po wieczornym

przeładowanie. Czy później któryś z was widział centuriona?

– Wiecie, że pełniliśmy wtedy wartę na północnym murze – odparł Vehilius. – Po przeładowaniu pomaszerowaliśmy od razu na posterunki.

– Cała centuria?

– Tak, z powodu podwojenia wart luzujemy całe centurie, a ja odpowiadam za Pierwszą.

– Czy w nocy Winiusz przeprowadzał inspekcje posterunków?

– Rzadko to robił – odrzekł optio, potwierdzając to, co usłyszałem wcześniej. – Pojawiał się zwykle pod koniec warty, żeby przyłapać na gorącym uczynku śpiących legionistów.

– Choć wiedział, że ma na to małe szanse – wtrącił dekurion. – Hałasujący za murami barbarzyńcy nie dawali nam zmrzyć oka.

To, co usłyszałem od legionistów wzbudziło mój niepokój, choć nie rozumiałem dlaczego. Pomyślałem, że może z powodu niespójnego zachowania centuriona.

– Winiusz miał na sobie osobliwy strój – dodałem. – Czy widzieliście go kiedykolwiek w zgrzebnej ciemnej tunice?

– Centurioni Dziesiątego Legionu noszą białe tuniki, jak już zapewne zauważyliście – powiedział optio.

– Na służbie. Czy Winiusz chodził nocami na zwiady? Robiłem tak w Hiszpanii i wtedy zawsze przywdziewałem ciemne ubranie, ale rzecz jasna, najpierw zdejmowałem zbroję.

– W takim razie służyliście w auxiliach – orzekł trafnie Vehilius. – Każdy legion wykorzystuje do tego jazdę i lekką piechotę. Uważam, że człowiek, który latami dźwiga na grzbiecie ciężką zbroję, nie nadaje się na zwiadowcę. Tytus Winiusz nie był wyjątkiem.

Kolejny ślepy zaulek, pomyślałem. Nie chciałem pytać o zgromadzoną w dość krótkim czasie fortunę Winiusza. Legioniści stacjonowali co prawda



za wałami, ale wieść i tak rozeszła się po obozie lotem błyskawicy.

– Jeśli chcecie się dowiedzieć, co robił tamtej nocy centurion – odezwał się dekurion – wypytajcie jego niewolnika, tego pokurcza Molona. To kłamca, zresztą jak to każdy niewolnik, ale jeśli go oćwiczycie różgami albo przypalicie mu stopy rozgrzanym żelazem, wszystko wyśpiewa.

Rada legionisty odzwierciedlała powszechne przekonanie Rzymian, że wszyscy niewolnicy to nałogowi kłamcy. Nawet nasze sądy nie biorą pod uwagę zeznań niewolników, o ile ci nie zostali uprzednio poddani torturom. Zakłada się bowiem, że jedynie na torturach niewolnik mówi prawdę. Nigdy nie rozumiałem takich wniosków opartych na przesądzie. Z mojego doświadczenia, każdy – bez względu na to, czy jest wolny, czy ma pana – nie mówi prawdy, jeśli uzna, że korzystniej dla niego będzie skłamać.

– Możecie też spytać Germankę – dorzucił inny legionista. – Ale jej nie chciałbym poznać bliźnami. – Wszyscy uśmiechnęli się oblesnie.

– Strata czasu – odparł dekurion, który zaproponował tortury. – Napluje wam tylko w twarz, gdy podejdziecie bliżej z rozgrzanym żelazem. Tacy są właśnie Germanie.

– Skąd tyle o nich wiecie? – zapytałem.

– Ludzie mówią – odparł, jakby udzielał oczywistej odpowiedzi. Żołnierze bardzo wierzą w plotki. Nie sądzę, by dotyczyło to jedynie rzymskich legionistów. Z pewnością było podobnie już podczas wojny trojańskiej. Auspicje ustanowiono właśnie z myślą o ograniczeniu wpływu plotek. Przed wojskowymi operacjami wypatruje się najpierw znaków badających wolę bogów. Jeśli są dobre, śpimy spokojnie. A gdy są złe, to i tak ruszamy do walki, ale w razie porażki możemy obwinić dowódcę za zignorowanie nieprzychylnych znaków. To działa.

– Czy w ostatnich miesiącach Winiusz zachowywał się inaczej niż zwykle? Czy jakoś się zmienił? – spytałem. Żołnierze marszczyli czoła,

namyślając się nad sensem moich słów.

– Kilka tygodni temu powiedział coś dziwnego – odezwał się w końcu optio. – Kiedy rozmawialiśmy, zauważyłem, że za rok, o ile się nie przeniesie do innego legionu, zostanie Prefektem Obozu, po odejściu Paterculusa na emeryturę. Wiecie, co mi odpowiedział?

– Co takiego? – spytałem, wchodząc w rolę.

– Wzruszył ramionami i rzekł: „Nie interesuje mnie to”.

– Naprawdę tak powiedział? – westchnął z niedowierzaniem dekurion.

– Bez sensu – dodał inny legionista. – Jasne, stanowisko Pierwszej Włóczni to niezła posadka, ale to Prefekt Obozu ma szansę coś sobie odłożyć i zadbać o emeryturę. Jaki ma sens dwadzieścia pięć lat służby, skoro zamierzasz zignorować najbardziej intratny awans?

– Uznałem wtedy, że centurion myślał zapewne o przeniesieniu do innego legionu – mówił dalej optio. – Krassus dobrze płaci centurionom za wyszkolenie legionów, które zamierza poprowadzić przeciw Partom. Kiedy się nad tym zastanawiam, doszedłem do wniosku, że nie mógł się przenieść. Cezar szykuje się do długiej wojny z Galami. Jest tylko jeden sposób wydostania się z tego legionu. Nogami do przodu.

– Czy ludzie Krassusa kręcą się w pobliżu? – spytałem. – Przecież nie uzyskał dotąd zgody senatu na wojnę z Partią.

– Pewnie zamierza ją kupić – dodał Vehilius. – Mówi się, że Krassus może kupić wszystko, także legiony.

Legionista miał rację. Krassusa nie interesowało byle co, ale teraz powinien formować legiony dla Cezara, a nie na własny użytek. Sprawa ta wymagała głębszego zastanowienia.

Rozmyślałem na ten temat w drodze do obozu. Krassus przez lata zazdrościł Pompejuszowi chwały wojownika, która w Rzymie wyrażała się politycznymi wpływami. O ile Pompejusz odnosił kolejne zwycięstwa,

podporządkowując kolejnych wrogów, o tyle Krassus mógł poszczycić się jednym jedynym sukcesem – stłumieniem powstania Spartakusa. Działo się to dwanaście lat temu – niemal wieczność w realiach rzymskiej polityki. Co prawda Spartakus był wrogiem groźniejszym niż pozostali, jednak zwycięstwo odniesione nad armią niewolników nie przysparza chwały. Co więcej, Pompejusz postąpił tak, jak to już nieraz robił – wmieszał się w ostatniej chwili, pokonał niedobitki powstańców i całą zasługę przypisał sobie.

Nie dziwiłem się zachowaniu Krassusa, który gorączkował się na myśl o wojnie z Partami. Byli jedynym silnym wrogiem, z jakim graniczyliśmy. Partowie to względnie cywilizowany lud, potężny militarnie i zamożny dzięki dochodom z jedwabnego szlaku.

Krassus starzał się i był tego świadom. Ostatnio naprzykrzał się każdemu, kto tylko chciał słuchać jego wynurzeń o zbliżającej się wojnie, choć Partowie nie zrobili niczego takiego, co mogłoby wywołać nasz gniew i chęć zbrojnego odwetu. Było oczywiste, że wojna w Galii pochłonie większość energii i zasobów Rzymu. Nie miało znaczenia to, że plotki o wyprawie na Partię rozsiewa stetryczały Krassus, niespełniony polityk, ponieważ zgromadzona przez niego fortuna sprawiła, że był człowiekiem wpływowym, natomiast stan jego umysłu niewiele tu zmieniał.

Galia była jednak tak odległa od Rzymu, że nie sądziłem, iż macki Krassusa sięgały tak daleko. Niemniej Winiusz zgromadził bogactwo, którego nie potrafiłem wytłumaczyć łapówkami i żołdem centuriona.

Było dla mnie oczywiste, że nie zebrałem wszystkich dowodów. Co prawda, w trakcie śledztwa rzadko do tego dochodziło, bo śledczemu wystarczały zasadnicze dowody, by sformułować wnioski. Na moją niekorzyść działało to, że przebywaliśmy na wrogim terytorium, a otaczający mnie żołnierze byli tylko odrobinę bardziej przyjaźni niż nieprzyjaciele.

Zastąpiłem Paterculusa w jego namiocie, który stał w pretorium obok namiotu Cezara. Prefekt Obozu przeglądał wraz z urzędnikiem dokumenty. Gdy wszedłem, powitał mnie z kamienną twarzą i spytał: – Co mogę dla was zrobić, senatorze? – Tylko człowiek jego pokroju potrafił wypowiedzieć honorowy tytuł tak, żeby zabrzmiał jak obraźliwy epitet.

– Jeśli łaska, potrzebuję od was informacji na temat zachowania Tytusa Winiusza tej nocy, kiedy zginął – odparłem, nadając memu głosowi ton arystokratycznej pogardy, co doskonale umiałem. Czas najwyższy pokazać temu źle wychowanemu draniowi jego miejsce, pomyślałem.

– Ostatni raz widziałem go na wieczornym przeglądzie. Wystarczy? – odparł. A więc niewiele zyskałem.

– Raczej nie. Czyżbyście nie uczestniczyli w spotkaniu, które odbyło się w namiocie Cezara? Tym, na którym dyskutowano na temat granicznych sporów między Galami?

– A dlaczego miałbym uczestniczyć? Miałem przecież swoje obowiązki: przegląd wart, wyznaczenie oficerów przy bramach oraz tego rodzaju sprawy. Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tego obozu, co chyba jest wam wiadome? Myślicie, że mogę zbijać baki jak zwykły trybun?

Zmilczałem jego bezczelne słowa. – Wnoszę zatem, że również nadzór nad rozlokowaniem oraz działaniami cywilów w obozie, a nie tylko nadzór nad bramami mieścił się również w zakresie waszych obowiązków.

– Tak. Mówicie jak prawdziwy prawnik.

– Bo właśnie takie mam kwalifikacje, podobnie jak nasz dowódca, prokonsul – nie omieszkałem dodać. – O której godzinie obcy opuszczają obóz?

– Po sygnale otrąbiającym zachód słońca, o ile nie mają przepustek, które upoważniają do pozostania w obozie. Przepustki wydaję ja, prokonsul i legat, ale i tak wszystkie trafiają najpierw do mnie.

– Czy w nocy, o której mowa, wydano takie przepustki?

– Tak, grupie Galów, którzy przybyli, żeby omówić przygraniczne spory. Cezar uznał, że rozmowy przeciągną się do późnych godzin, i nakazał wydać gościom przepustki.

– Czy wydano im imienne przepustki?

– Nie, oczywiście, że nie. Przepustka dotyczyła całej grupy, liczącej czterdziestu, może pięćdziesięciu ludzi.

– Aż tylu? Nikt nie wspominał o tak dużej liczbie Galów uczestniczących w spotkaniu.

– To tutejsi wpływowi ludzie, właściciele ziemscy. Przybyli do obozu z osobistymi strażami, stajennymi, niewolnikami. Większość ich sług czekała na forum lub przy zwierzętach.

– Komu wręczono przepustkę?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. – A jakie ma to dla was znaczenie?

– Duże, zważywszy na omawianą kwestię – odparłem, starając się przybrać poważną minę, aby zamaskować zdumienie wywołane reakcją Paterculusa.

– Któremuś z grona druidów. Galowie uważają słowo pisane za rodzaj magii. Boją się, że gdyby wzięli papirus, dotknęłyby ich klątwa. Druidzi chronią ich przed złymi urokami.

– Wiecie, który druid odpowiadał za przepustkę?

– Najmłodszy przyniósł ją do mnie do potwierdzenia, ale przy bramie mógł ją okazać którykolwiek z nich.

– Czy cywile opuszczający obóz mogą skorzystać z dowolnej bramy?

Potrząsnął przecząco głową. – Tylko z Porta Praetoria.

– Który oficer dowodził tamtej nocy wartą przy Porta Praetoria?

Prefekt Obozu odwrócił się do urzędnika. – Przynieś listę.

Ponieważ urzędnik nosił zbroję, domyśliłem się, że jest to jeden z tych żołnierzy, którzy dorabiali sobie dodatkowymi zajęciami. Okazało się, że nie musiał szukać listy: – To była dziewiąta noc po pełni księżyca i wartę pełnił trybun Dziewiątej Kohorty – powiedział.

– Publiusz Aureliusz Cotta – uściślił Paterculus. – Jeszcze jeden smarkaty żółtodziób przysłany tu na moją zgubę.

– Czy pełnił wartę przez całą noc?

Paterculus spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym śmiertelnie go obraził. – Oficer schodzi z posterunku dopiero wtedy, gdy zostanie zluzowany. Jeśliby opuścił posterunek przedtem, to na wszystkich bogów, osobiście skrócę go o głowę na oczach całej armii, i to bez względu na to, jak stare i szanowane nosi nazwisko! – Najwidoczniej dotknąłem drażliwej sprawy.

– Zrozumiałem, prefekcie. Możecie wrócić do swoich obowiązków. – Odwróciłem się, żeby wyjść z namiotu, i wtedy wydało mi się, że dosłyszałem za plecami dźwięk przypominający parsknięcie.

Szukając Aureliusza Cotty, zacząłem zastanawiać się nad pewnymi niuansami regulującymi życie w armii. Żołnierze przechodzą do porządku dziennego nad brutalnością przełożonych, lecz wpadają we wściekłość, gdy dochodzi do najmniejszego naruszenia regulaminu. W pojęciu przeprowadzającego inspekcję centuriona smużka rdzy dostrzeżona na ostrzu miecza lub niedokładnie zawiązany rzemyk sandałów będą równie niewybaczalne, jak porażka w bitwie. Żadna z tych karygodnych rzeczy nie powinna się zdarzyć.

Ten sam centurion, widząc, że jego żołnierze łupią wioskę, mordują jej mieszkańców, gwałcą kobiety i niszczą wszystko co się da, powie, że „chłopcy musieli się wyszumieć”. Zasadnicza różnica między mentalnością cywila i żołnierza sprowadza się całkowicie do odmiennej oceny

rzeczywistości – tego, co jest ważne, a co nie.

Obok stajni dostrzegłem grupkę trybunów grających w kości. Jako oficerowie wybierani przez zgromadzenie centurionów mieli prawo zabrać na kampanię własne konie, toteż uważali stajnie niemalże za własne. Pochłaniało ich zajęcie typowe dla trybunów, którzy nie mogli się skarżyć na przeciążenie obowiązkami. Podobnie zresztą było z szeregowymi żołnierzami. Jestem przekonany, że gdybyśmy nakazali wyrzucić legionistom wszystkie kości, odciążylibyśmy znacznie juczne muły.

Podszedłem do kuzyna Guzka i szturchnąłem go czubkiem sandała. – Co z tą setką, którą jesteś mi winien? – Zawsze witałem go tymi słowami.

– A czy myślisz, że grałbym w kości na drobne, gdybym był bogaty? – wystękał. – Człowiek, któremu dostała się ta germańska sztuka, nie ma prawa narzekać.

– Umówmy się tak – zaproponowałem. – Dasz mi setkę i dostaniesz Molona.

– Oddam ci konia i osobistego niewolnika za Germankę.

– Twój zmysł do interesów przyniesie jeszcze chlubę naszej rodzinie. Szukam Aureliusza Cotty. Widział go ktoś?

Jeden z trybunów uniósł głowę, odrywając wzrok od kubka z kośćmi. – Chwilę temu był przy zbrojowni.

– Dzięki. – Odwróciłem się, by odejść. Guzek podniósł się z ziemi i stanął obok mnie.

– Posłuchaj, Decjuszu – powiedział z wahaniem w głosie. – Wiem, że Cezar wyznaczył cię na śledczego, ale to jedynie formalny tytuł, nie uważasz? To tak jak gdy pretor mianuje sędziego do prowadzenia błahej sprawy, ponieważ wymagają tego przepisy.

– Guzku, wiem, że na swój męczący i pokrętny sposób próbujesz mi coś wytłumaczyć. Dlaczego nie powiesz tego wprost?

– Decjuszu, wzbudzasz tutaj tylko niechęć. Przesłuchujesz oficerów i centurionów, jakby byli prostakami i przestępcami. Moim zdaniem postąpisz rozważniej, jeśli wycofasz się z tej hecy i pozwolisz, by oskarżeni ponieśli karę.

– A co ci do tego? – spytałem z naciskiem w głosie, patrząc mu prosto w oczy.

– Ja też jestem Cecyliusz Metellus. Wszystko, co robisz, odbija się jakoś na mnie!

– Nie widzę, byś poniósł wielką krzywdę – odparłem. – Nie powinno cię to w ogóle interesować, nie jesteś przecież w żaden sposób powiązany ze sprawą. Czy ktoś namówił cię do rozmowy ze mną na ten temat? Ktoś związany z wydarzeniami, jakie rozegrały się w nocy, kiedy popełniono zabójstwo?

– Nikt! – zapewnił natychmiast, lecz jego wzrok począł nagle badać kształt moich uszu, jakby dostrzegł coś interesującego w ich wyglądzie. – Słyszałem wiele rozżalonych głosów ludzi wyprowadzonych z równowagi twoim zachowaniem.

Zrobiłem krok ku niemu i spojrzałem mu prosto w oczy. Gdy spuścił głowę, powiedziałem: – Guzku, pożałujesz, jeśli dowiem się, że nie mówisz mi wszystkiego. Jeśli syn mojego klienta umrze pod różgami, bo ty postanowiłeś zatrzymać dla siebie ważne informacje, będziesz błagał, by dołączyć do niego.

Zaśmiał się nerwowo. – Nie popadaj w przesadę, Decjuszu! Jesteśmy przecież rodziną. Nie przyszłoby mi do głowy, by ci przeszkadzać w wykonywaniu obowiązków. Jeśli chłopak jest klientem Cecyliuszów, zasługuje na naszą pomoc. Proszę cię tylko, byś uważał, gdzie stąpasz. Sposób, w jaki przesłuchujesz ludzi, budzi w żołnierzach gniew. Oni mają gdzieś pochodzenie, sprawowane urzędy i wykształcenie. Szanują jedynie



dobrych żołnierzy, a ty się do nich nie zaliczasz. Zapamiętaj moje słowa – dodał na zakończenie, po czym odwrócił się i odszedł.

Miał dużo racji. Obóz nie był najlepszym miejscem do manifestowania mojej arogancji, ale trudno wyzbyć się nawyków wpajanych od pokoleń. Wiedziałem, że nie powiedział mi całej prawdy. Ale czy ktokolwiek to zrobił?

Znalazłem Cottę w zbrojowni, dokąd się udał, żeby naostrzyć miecz. Świadczyło to niewątpliwie o rozstrojonych nerwach. Zbrojmistrz dobrze zarabiał na ostrzeniu mieczy trybunów, choć ci niewiele mieli okazji, by zrobić właściwy użytek z broni. Młodzieńcy, którzy w kampanii brali udział po raz pierwszy, powtarzali do znudzenia dwie czynności: za dnia zajmowali się swoją bronią, nocami spisywali testamenty.

– Chciałbym z wami zamienić słówko na osobności, Publiusz Aureliusz, jeśli można – powiedziałem.

– Oczywiście – odparł, nie odrywając wzroku od rąk zbrojmistrza, który ostrzył miecz, zataczając niewielkie kręgi na dużej osełce zamontowanej w drewnianym pudle wypełnionym oliwą. Jego ruchy były powolne i dokładne. Ostrza rzymskich mieczy nie tyle ostrzono, ile raczej szlifowano, dlatego z łatwością przecinały skórę, zadając straszliwe rany.

– Myślę, że możesz na moment zostawić zbrojmistrza – dodałem. – Na pewno dobrze się sprawi.

– A, tak... Macie oczywiście rację – odparł, lecz odszedł od osełki niechętnie. – W czym mogę wam pomóc?

– Dowiedziałem się od Paterculusa, że w nocy, kiedy zabito Tytusa Winiusza, pełniliście wartę przy Porta Praetoria.

– Pełniłem. – Jego wzrok powędrował w kierunku ostrzonego miecza.

– Publiusz, skupcie się. Galowie są teraz daleko, Cezar wróci z posiłkami, zanim wróg przypuści atak na obóz.

Zrobił zawstydzoną minę. – Wybaczcie.

– Czy po odtrąbieniu sygnału na zachód słońca ktoś wszedł przez Porta Praetoria?

– Mniej więcej dwie godziny po sygnale do bramy zbliżyła się grupa miejscowych z przepustką wystawioną przez prokonsula i zatwierdzoną przez Prefekta Obozu. Wpuściłem ich za mury.

– Opiszcie tę grupę.

Zamyślił się przez moment. – Cóż, to byli ważni ludzie. Można się było tego domyślić po złotych ozdobach i dobrych koniach. Było ich siedmiu czy ośmiu, towarzyszyło im trzech druidów, którzy kręcili się od pewnego czasu w pobliżu obozu. Jeden ze starszych druidów wręczył mi przepustkę. – W takim razie nie odpowiadał za nią Badraig, odnotowałem w pamięci.

– Opiszcie pozostałych.

– Przyprawdzili ze sobą tuzin wojowników. Wyglądali jak typowi Galowie. Mieli długie miecze, wąskie tarcze i nie nosili zbroi, jeśli nie liczyć dwóch w hełmach. Pochodzili z prowincji, to rzucało się w oczy. Nie wymalowali się farbą i nie nastroszyli włosów jak to robi większość tych dzikusów.

– Czy był ktoś jeszcze? – zapytałem.

Zmarszczył brwi, zdziwiony. – Nikogo. Nikogo prócz niewolników.

– Opiszcie ich.

Spojrzał na mnie, jakby rozmawiał z szaleńcem. – Wyglądali jak niewolnicy. Mieli na sobie ciemne ubrania. Część niosła pakunki na plecach, pozostali prowadzili juczne zwierzęta. Nie zwróciłem na nich specjalnej uwagi. – Nie zdziwiły mnie te słowa. Bo któż zwraca uwagę na niewolników?

– A czy ktokolwiek wszedł przez Porta Praetoria po przybyciu owej grupy?

– Nie w trakcie mojej warty.

Poklepałem go po ramieniu. – Dziękuję, Publiusz. Bardzo mi pomogłeś. Możesz teraz wrócić do swojego miecza.

– Cóż... oczywiście. Cieszę się, że mogłem wam pomóc. – Z pewnością uznał mnie za szaleńca, ale nie obchodziła mnie jego opinia. Kolejny element układanki trafił na właściwe miejsce. Opuściłem zbrojownię w lepszym nastroju.

Kto zwraca uwagę na niewolników? Żyjemy otoczeni tłumem niewolników, a traktujemy ich jak powietrze. Mężczyźni rozmawiają o nich w ich obecności, jakby byli głusi. Szlachetne panie, które nie pokazują się na ulicach bez chust i welonów, w swoich willach paradują nago, jakby ich niewolnicy nie byli mężczyznami z krwi i kości.

Wysoko urodzeni obywatele ubierają się w kosztowne, białe szaty. Nisko urodzeni noszą kolorowe ubrania. Niewolnicy wkładają zgrzebne ciemne tuniki.

Dowiedziałem się, w jaki sposób Winiusz opuścił obóz niezauważony przez strażę. Wmieszał się w grupę niewolników. Ubrany w ciemną tunikę, z pakunkiem na plecach, zasłaniając twarz, przeszedł po prostu przez bramę.

Co wydarzyło się później na wrzosowisku? Nie to, czego spodziewał się Tytus Winiusz, tego byłem pewien. Gra prowadzona przez centuriona od roku, miała gwałtowne zakończenie.

Musiałem porozmawiać z druidami.

Było już jednak późno, a ja poczułem głód. W dodatku nie wiedziałem, gdzie szukać druidów. Galowie z pewnością byli już w połowie drogi do Massilii.

Wróciwszy do namiotu, opadłem na krzesło ustawione przed wejściem i uderzyłem pięścią w stół. – Hermes! Molon! Gdzie kolacja?

Hermes wyjrzał z namiotu. – Czy nie zjedliście kolacji z resztą oficerów?

– Labienus nie dorównuje hojnością Cezarowi. Poza tym stałem się niejako trędowaty.

– Podobnie jak w domu, tak? Cóż, zaraz coś przygotuję.

– Gdzie jest Molon? Chcę go o coś zapytać.

– Znajdziecie go za namiotem – odparł z kpiącym uśmiechem. – Powodzenia.

– Co znowu? – Wstałem i obszedłem namiot. Molon spał na ziemi, pochrapując. Cuchnął winem. Kopnąłem go w żebra, a on wymamrotał coś pod nosem i cmoknął, po czym wydał z siebie inne odrażające dźwięki. Wróciłem przed namiot i usiadłem na krześle.

– Wiedziałaś, że zagląda do składziku z winem? – zapytałem Hermesa.

– Oczywiście. Powiedziałem mu, żeby tego nie robił, a on odparł, że bym nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

– I nie broniłeś mojego wina? Gdzie twoje poczucie obowiązku?

– A dlaczego miałbym bronić wina? Stać was na kupno kolejnego dzbana.

– Przypomnij mi jutro rano, bym go wybatożył. Ciebie też to może spotkać. Gdzie jest Freda? Czy ona również mnie dziś zawiodła?

– Tu jestem – powiedziała, unosząc poły namiotu. Trzymała w dłoniach kosz pełen chleba i garnuszki wypełnione oliwą i miodem.

– Przynajmniej ty nie dobrałaś się do mojego składziku wina.

– Nie pijam wina – odparła, stawiając przede mną na stole kosz z chlebem. Ton jej głosu pokazywał, że uważa swoją abstynencję za cnotę.

– Czy Germanowie wolą piwo? – spytałem. Spróbowałem tego trunku w Egipcie i wydał mi się ohydny.

– Piją je czasami, ale prawdziwi wojownicy nie odurzają się do utraty zmysłów.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczułem się urażony słowami Fredy. – Rzymianie, pijani czy trzeźwi, i tak są lepsi od wszystkich. – Aby tego dowieść, upiłem łyk wina, które nalał mi Hermes.

– Nigdy nie walczyliście z prawdziwymi mężczyznami – odparła. – Biliście się z Grekami, Hiszpanami i Galami. Bezużytecznymi śmieciami. Zmieniecie zdanie, gdy staniecie naprzeciw Germanów.

– Jak na niewolnicę, zrobiłaś się nagle bardzo wojownicza – wytknąłem. – Skąd to przywiązanie do ludzi, którzy podarowali cię Rzymianinowi w prezencie? – Uniosłem puchar, żeby Hermes go znów napełnił.

– To nie było moje plemię – wyjaśniła, jakby to robiło wielką różnicę.

– Lepiej zjedzcie coś, nim wypijecie za dużo – wyszeptał Hermes, nalewając wino.

– Co to ma znaczyć? Mamy Saturnalia? To jedyny czas, gdy niewolnikom wolno pouczać swoich panów, a jeśli dobrze pamiętam, dzielą nas od nich długie miesiące! – Nie byłem tego pewien. Jako pontifex maximus Cezar zamieszał w kalendarzu i daty świąt zupełnie się pozmieniały. – Zamknijcie się oboje i dajcie mi zjeść w ciszy i spokoju. – Zamilkli, zadowoleni z siebie. Byli jedynymi ludźmi w obozie, którzy rozmawiali ze mną bez oporów. I mieli rację, wypiłem za dużo.

Gdy rozległ się sygnał trąbki, wstałem z krzesła, a Hermes pomógł mi zdjąć zbroję. Wchodząc do namiotu, rzuciłem przez ramię:

– Fredo, chodź tu. Chcę z tobą porozmawiać.

Tym razem uśmiechała się, gdy weszła do namiotu.

– Jesteś pewien, że starczy ci sił?

Usiadłem na łóżku i ściągnąłem sandały.

– Powiedziałem, że chcę porozmawiać. Nic więcej.

– Oczywiście – odparła z przekorą w głosie.

– Szukam informacji – powiedziałem, próbując udowodnić, że jestem wzorem opanowania i cielesnej czystości. Opadłem plecami na łóżko, uderzając się w głowę.

– Informacji. Rozumiem.

– Tak, informacji. Zapytam najpierw, z jakiego pochodzisz plemienia?

– Nazywają się Batawowie. Mieszkamy daleko na północy, nad brzegami zimnego morza. Wam wydałoby się lodowate. Rzymianie są strasznie przewrażliwieni na punkcie chłodu.

– Uwzięłaś się, by mnie dziś sprowokować. W jaki sposób stałaś się własnością Tytusa Winiusza? Słyszałem już wersję Molona, ale chciałbym też usłyszeć twoją.

Nieproszona usiadła obok mnie na łóżku. Nie zareagowałem na tę bezczelność. Jej skóra i włosy pachniały niewiarygodnie kusząco.

– Moje plemię stoczyło wielką bitwę ze Swebami, a mnie wzięto do niewoli. Cimberius, jeden z dwóch królów Swebów, wziął mnie jako łup. Wybierał jako pierwszy, byłam najcenniejsza. – Z pewnością miała o sobie wielkie mniemanie. Niby przypadkiem, położyła mi dłoń na kolanie.

– Według Molona to jego brat, Nasua, oddał cię Winiuszowi. – Poczułem ciepło rozchodzące się po moim ciele od miejsca, na którym spoczęła dłoń Fredy.

– Nasua wygrał mnie od brata.

– W jakiej grze? – Wydało mi się, że delikatnie poruszyła palcami.

– W zapasach.

– Germańscy królowie uprawiają zapasy? To zachowanie niegodne nawet barbarzyńców.

– Mój lud ceni męskość – odparła, pocierając moje kolano dłonią. – Bracia wiedzieli, że nie będą o mnie rywalizować, dlatego oddali mnie obcemu.

- Ale dlaczego Winiuszowi? Dlaczego nie oddali cię prokonsulowi?
- Bo wiedzą, kto tak naprawdę dzierży władzę w legionach.
- Aha. – Tyle warte są sława i tytuły, pomyślałem.

Wstała i powoli zdejmując skórzaną tunikę, powiedziała: – Nie wezwałeś mnie do namiotu jedynie na rozmowę, prawda? Rzymian nie obchodzą poglądy ich niewolników. – Wtedy ujrzałem jej wspaniałe jędrne piersi. Wysoko sklepione, nie przypominały miękkich, obwisłych worków, jakie miała większość kobiet, które wykarmiły dzieci. Potem ukazał się płaski, umięśniony brzuch, który mógł odbić cios pięścią. Kiedy tunika opadła, mój zachwyty wzbudziły krągłe, idealnie uformowane biodra. Stała naga, była niczym posąg Wenus, lecz cieleśnie przystępna, ciepła i pachnąca.

Pochyliła się nade mną i szarpnęła za tunikę ze słowami: – Czy wszyscy Rzymianie są tak leniwi jak ty? – Próbowałem sam ściągnąć z siebie ubranie, lecz palce miałem zeszywniałe i niezdarne. Pomogła mi i po chwili dosiadła mnie niczym amazonka, wydając gardłowe odgłosy.

– A teraz – powiedziała – przekonajmy się, z jakiej gliny ulepieni są Rzymianie.

## ROZDZIAŁ 10

**K**toś obudził mnie w środku nocy. Powoli stawało się to przykrym i irytującym zwyczajem. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Freda, gotowa na kolejną rundę. Ta kobieta niczym legionowy instruktor poddała mnie bezlitosnej musztrze.

– Kapitanie kochany! Obudź się, najmilszy! – Rozpoznałem głos Indiumixa.

– Co znowu? – stęknąłem, potrząsając głową. – Czyżby wtargnęli barbarzyńcy? – U wejścia do namiotu pojawił się inny Gal, trzymający zapaloną pochodnię.

– Wzywa was legatus, kapitanie. Sam Labienus po was posłał. Czeka z kapitanem Carbo przy naszych kwaterach.

Usiadłem i zasznurowałem sandały. – O co chodzi?

– Nie wiem. Przyszedł do nas goniec od Prefekta Obozu z rozkazem, żeby osiodłać konie i szykować się do jazdy. Przekazał też, by po was posłać.

Rozejrzałem się, lecz Fredy nie było w namiocie. Hermes wszedł do środka chwiejnym krokiem i w migotliwym świetle pochodni pomógł mi nałożyć zbroję.

– Gdzie są Freda i Molon? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia. A na cóż wam oni? – spytał, zapinając mi pas.

– Nie potrzebuję ich teraz, ale nie powinni włączyć się po obozie



w środku nocy. – Moje myśli powędrowały jednak ku innym sprawom. Czy obóz był zagrożony? Jeśli posłał po mnie Labienus, musiało się wydarzyć coś złego. Hermes podał mi hełm. Już w drodze do kwater jazdy założyłem metalowy garnek na głowę i zawiązałem pod brodą rzemyki napoliczników.

Cały obóz spał, a ściślej – czwarta część legionistów stała jak zawsze na warcie. Tu i ówdzie migotały płomienie rozpalonych ognisk, nad namiotami unosił się zapach dymu. Chmury zasłoniły gwiazdy, ale uznałem, że minęła już północ. Gał szedł przede mną i oświetlał drogę pochodnią, toteż ani razu się nie potknąłem o namiotową linę.

Labienus, Paterculus i Spuriusz Mutius, pełniący obowiązki Pierwszej Włóczni, czekali przy ognisku w towarzystwie Carbo i Loverniusa. Ich twarze wyrażały jednocześnie gniew, strach, irytację i zdziwienie. Przywykłem do takich min, gdyż były tak powszechne jak wyposażenie legionisty – scutum i gladius.

– Co się stało? – spytałem radosnym tonem, choć wcale nie miałem dobrego humoru.

– Ludzie Carbo coś znaleźli – odparł Labienus. – Uznałem, że powinieneś to zobaczyć.

– Przekłęci barbarzyńcy – warknął Mutius. – Dlaczego nie mogą zachowywać się jak cywilizowani ludzie?

Odpowiedź na to pytanie była dla mnie jasna, lecz żołnierzom trzeba niekiedy tłumaczyć rzeczy oczywiste. – Bo nie są cywilizowanymi ludźmi – powiedziałem. – Co tym razem przeskrobali?

– Pokażę ci – odrzekł Carbo. – Im mniej będziemy o tym mówili na terenie obozu, tym lepiej. Nasi prowincjonalni sojusznicy dość już się wystraszyli.

– Metellusie – dodał Labienus. – Chcę dostać twój raport na porannej naradzie. Nie rozmawiaj o tym z nikim, dopóki nie zreferujesz mi

wszystkiego.

– Nie pójdziecie tym razem z nami? – zapytałem.

– Prefektowi nie wolno opuszczać obozu, a Cezar zabronił mi wychodzić za wał do swego powrotu.

– Za wał? – powtórzyłem i poczułem skurcz w żołądku.

– Wyjaśnię wam wszystko, gdy dosiądziemy koni – rzekł niecierpliwie Carbo. – Dalej, ruszmy się, chcę wrócić do obozu przed wschodem słońca.

W trakcie rozmowy żołnierze mojej ali zebrali się na placu. Wszyscy trzymali pochodnie, a przy siodłach zapasowe włócznie. Indiumix przyprowadził mojego konia i pomógł mi wsiąść.

– Dzisiejszej nocy powinno być bezpiecznie – powiedział Labienus. – Ale jeśli dostaniesz się do niewoli, trzymaj język za zębami i umrzyj tak, jak na Rzymianina przystało.

Pokrzepiony tymi słowami, wyjechałem na czele oddziału przez Porta Decumana. W ciemnościach dostrzegłem płomienie ognisk osamotnionej Pierwszej Centurii. Prawie zazdrościłem ukaranym legionistom. Od barbarzyńców odgradzał ich wał.

– Przebóg, co się tu dzieje, Gnejuszu? – zażądałem wyjaśnień.

– Coś tak dziwnego, że natychmiast pomyślałem o tobie – odparł Carbo. – Dziś zakończyliśmy zwiad wcześniej. Nie znaleźliśmy żadnego Helweta, ale strażę wystawioną na wale zauważyły jakichś ludzi na wzgórzach na północnym zachodzie. Porastają je gęste lasy, ale wśród drzew legioniści dostrzegli migoczące ognie, jakby biegano po wzniesieniach z pochodniami. A potem zauważyli jeden, większy płomień. Słyszeli też bicie w bębny i śpiewy.

Uznałem, że barbarzyńcy zbierali siły pod osłoną drzew, by o poranku przypuścić atak na wał. Wzgórza rozciągały się nieopodal, a Galowie lubili walczyć w biegu. Jeśli by wyszli z lasu o brzasku, mogliby pod osłoną gęstej

mgły dotrzeć pod sam wał.

– Jak dotąd, wszystko jasne – rzekłem.

– Posłałem gońca do legata z informacją, że zamierzam przeprowadzić zwiad za wałem, aby upewnić się, czy na wzgórzach zbierają się wojska Galów. – Powiedział to opanowanym głosem, jakby mówił o pracach ziemnych. I właśnie dlatego cały świat płaci trybuty Rzymowi, a nie na odwrót.

– Co znalazłeś? – spytałem. – Nie sądzę, byś chciał mi pokazać mrowie wymalowanych farbą dzikusów, rozgrzewających się przed walką tańcem.

– Nic tak oczywistego – odpowiedział. – Sam zobaczysz.

Dojechaliśmy do wąskiej przerwy w wale. Mógł tamtędy przejechać tylko jeden jeździec. Po obu stronach umocnień leżały zagradzające drogę ciężkie kłody, nabite zaostrozonymi palami. Żołnierze pełniący wartę odciągnęli przeszkody na bok, byśmy mogli przejechać. Po drugiej stronie czekał na nas mniejszy oddział zwiadowców Carbo, którzy mogli kojarzyć się bardziej z łowczymi psami niż z ludzkimi istotami. Rozpoznałem pośród nich Ionusa, człowieka, który znalazł zwłoki Winiusza.

– Ruszajmy – rozkazał Carbo. Zwiadowcy zerwali się do biegu. Na nierównym terenie ich ruchy przypominały raczej skoki niż susy biegacza. Pochyleni, z rozłożonymi ramionami dla lepszego zachowania równowagi, sprawiali wrażenie, jakby podążali za tropem. Wyprzedzili nas z łatwością, choć konie jechały kłusem.

Gdy oddaliliśmy się od wału, poczułem osobliwy chłód, jakiego doświadczają legioniści oddzieleni od swoich legionów. Żołnierz nigdy nie jest pewien jutra, lecz sześć tysięcy tarcz i taka sama liczba stojących za nimi żołnierzy zapewniają poczucie bezpieczeństwa. Nawet prymitywne umocnienia w postaci ziemnego wału zwieńczonego drewnianą palisadą dają podobną pewność, jaką gwarantują mury miasta, jeśli przebywa się na

terytorium wroga.

Po krótkiej jeździe przez łąkę dotarliśmy do podnóża wzgórz porośniętych drzewami. Helweci, którzy wcale nie dbali o rolnictwo, nie karczowali lasów, aby wykorzystać pod uprawy łagodnie nachylone stoki. Zamieszkiwali doliny i równiny, gdzie ziemia była żyzna i z łatwością poddawała się drewnianym pługom. Wysięk potrzebny do oczyszczenia stoków i zasadzenia na nich winorośli, przerastał Galów, którzy uważali, iż męcząca praca to domena niewolników. Chociaż większość galijskich chłopów niezbyt różniła się od niewolników, ale oni także nie przepadali za ciężką pracą.

Kolejny oddział zwiadowców czekał na nas u podnóża pierwszego wzniesienia. – Widzieliście wroga? – spytał Carbo.

– Ani śladu – odparł dekurion.

– Odtąd idziemy pieszo – zarządził Carbo, schodząc z konia. – Weźcie pochodnie od jeźdźców – nakazał zwiadowcom. – Loverniusie, pójdziesz z nami. Pozostali zostaną tutaj. Bądźcie gotowi na wszystko, ale nie ruszajcie się stąd do naszego powrotu.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytałem nerwowo. Nie chciałem rozstawać się z koniem. Zmuszony do ucieczki jako pieszy, w ciężkiej zbroi i sandałach, nie miałem najmniejszych szans ujść hordzie nagich Galów, a właściwie to nawet dwóm czy trzem, a pewnie i jednemu. Miałem za sobą wyczerpującą noc.

– Las jest tu zbyt gęsty dla koni – odrzekł flegmatycznie Carbo. – Dalej.

Weszliśmy na stok, zwiadowcy podążali przodem. Zacząłem się zastanawiać, co myślą teraz obserwujący nas z ukrycia Helweci. Żagwie naszego małego pochodu było widać z daleka.

Wspinaliśmy się w ciszy, przerywanej jedynie ledwie dosłyszalnym szcękaniem zbroi, trących o pochwy mieczy i sykiem płonących pochodni.

Zagradzały nam drogę potężne, pradawne drzewa, płomienie oświetlały ponurym blaskiem ich powykręcane korzenie. Żerujące w nocy zwierzęta umykały spod naszych stóp. Ten marsz i jego sceneria przyprawiały mnie o dreszcz strachu.

My, Rzymianie, nie przepadamy za dzikimi miejscami. Lubimy otwarte przestrzenie uporządkowane ludzką ręką. Pustynie nas odpychają, góry są dla nas jedynie przeszkodami, krzywimy się na widok lasów i rojących się tam dzikich zwierząt i złośliwych duchów. Tylko poeci udają, że miłują naturę, a ich bukoliczne utwory o zalesionych dolinach zamieszkałych przez nimfy i urodziwych pasterzy to takie same fantazje jak freski na ścianach. Prawdziwa puszcza jest niebezpieczna, brudna i nie wybacza błędów.

Niebawem dostrzegłem przed nami łunę. – Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział Carbo. Choć miał żelazną kondycję, oddychał ciężko i z trudem. Wspinał się na to wzgórze po raz drugi tej nocy.

Niespodziewanie znaleźliśmy się na skraju polany. Zwiadowcy stanęli, a w ślad za nimi Carbo, Lovernius i na końcu ja. Za drzewami dostrzegłem skrawek ziemi przypominający kształtem okrąg, o średnicy mniej więcej trzydziestu kroków. Duże, nierówne skały sterczały z trawy. Miały osobliwe kształty, lecz nie wątpiłem ani przez chwilę, że były dziełem natury, gdyż nie zauważyłem żadnych śladów dłuta. Polanę okalały masywne dęby, ich ulistnione gałęzie tworzyły nad głazami istny sufit.

Wszystkie te szczegóły mogłem dostrzec dzięki łunie bijącej od zgliszczy dopalającego się sporego ogniska. Nad popiołami i żarem unosił się do nieba słup dymu. Nigdy nie widziałem podobnie tajemniczego miejsca i nagle pojąłem, że widzę to, co Grecy nazywali temenos – święty okrąg poświęcony bogom.

Carbo wszedł na polanę i ruszył ku zgliszczom. Wziąłem głęboki wdech i podążyłem za nim. Lovernius i zwiadowcy zostali, czekając wśród drzew,

aż Carbo wezwał ich niecierpliwym ruchem dłoni.

– Podejdźcie i zabierzcie ze sobą pochodnie. To, co się tutaj stało, już się nie odstanie.

Podszedłem do popiołów, obawiając się tego, co za moment miałem zobaczyć. Ku mej uldze, dostrzegłem spalone gałęzie, a nie wiklinę. Nie zauważyłem zwęglonych kości, a tego bałem się najbardziej. Powiodłem wzrokiem po polanie, lecz nie było tam nic prócz potężnych drzew.

– Nie widzę tu niczego interesującego – powiedziałem, tyleż zadowolony, ile rozczarowany.

– To dlatego, że patrzysz nie tam, gdzie powinienes – odrzekł Carbo. Odchylił głowę i spojrzał w górę.

Poczułem ciarki na skórze głowy pod hełmem i zimno na plecach. Zadarłem głowę i początkowo widziałem jedynie płataninę gałęzi, lecz za moment, kiedy mój wzrok przyzwyczał się do tego tła, dostrzegłem trzy postacie zwisające z trzech grubych konarów. Obracały się, jakby poruszały nimi delikatny podmuch wiatru, który nie docierał do stojących na ziemi. Rozpoznałem długie, białe szaty i zawieszane na szyi złote napierśniki. Ich twarze wykrzywiał śmiertelny grymas, ale nie miałem wątpliwości, kim byli. Dwóch starszych i jeden młodszy.

– Druidzi! – krzyknąłem znacznie głośniej, niż zamierzałem.

Przesądny Lovernius chwycił dłonią amulet zawieszony na szyi i począł mamrotać pod nosem modlitwę, a może słowa zaklęcia. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Zwiadowcy zachowywali się podobnie. Złapałem Gała mocno za ramię.

– Loverniusie – powiedziałem twardo. – Jesteś cywilizowanym człowiekiem, a nie przesądnym dzikusiem. Odebrałeś rzymskie wychowanie. Weź się w garść! – Minęło parę chwil, nim się uspokoił. – Co to wszystko znaczy? – spytałem. – Kto składa ofiary z druidów? Myślałem, że to oni je

składają! – Nie miałem wątpliwości, że na polanie doszło do rytualnego mordu. Zwyczajne egzekucje nie odbywają się w głuszy i w tajemniczych okolicznościach. Gaj, głazy, ognisko – wszystko to sugerowało barbarzyńskie praktyki.

– Nie wiem! – odparł Lovernius drżącym głosem. – Po raz pierwszy widzę coś takiego. Nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim. Czasami, bardzo rzadko, składa się w ofierze druidów, ale czyni się tak tylko wtedy, kiedy na plemię spadnie jakieś straszliwe nieszczęście, na przykład głód czy zaraza. Ofiara wybierana jest przez wszystkich i obrzędowi towarzyszy podniosła uroczystość. Ginie tylko jedna osoba, a ciało zanurzane jest w świętym bagnisku.

– Masz jakieś wytłumaczenie, Decjuszu? – zapytał Carbo.

– Żadnego. Nie zdradzę tego Labienusowi, ale brak mi słów, nie wiem, co powiedzieć, tak jak Brutt nie wie, jak zachować się przy stole. Równie dobrze możesz poprosić Egipcjanina, by okazał męstwo na polu bitwy.

– Masz rację. Nie powinieneś mówić tego Labienusowi – zgodził się ze mną. – Uśmiechnij się tylko tak pyszałkowato jak zwykleś, i udaj, że wiesz więcej od pozostałych. – Carbo znał mnie aż za dobrze.

– Prędzej czy później wymyślę, co tu się stało – odparłem. – Ale pamiętaj, że mamy do czynienia z barbarzyńcami.

– Właśnie z tego powodu mój wybór padł na ciebie.

– Co zrobimy? – zapytałem. – Nie powinniśmy ich tak zostawić. – Nie to, że się bałem, iż duchy zmarłych wyrządzą nam krzywdę, jeśli nie spoczną w ziemi, lecz nie zamierzałem niepotrzebnie ryzykować.

– Nie. Powinniśmy oddalić się stąd jak najszybciej – odezwał się Carbo. Niebawem wzejdzie słońce. Jeśli nie jest to robota Helwetów, wyślą tu zwiadowców. W nocy wzgórze rozświetlone było jak miasto podczas Saturnaliów. Druidzi byli Galami, niech więc lepiej zajmą się nimi krajanie.

Było to sensowne rozumowanie i zrobiliśmy tak, jak radził Carbo. Nie zbiegliśmy co prawda ze wzgórza, ale zeszliśmy szybkim krokiem. Znaleźliśmy wierzchowce tam, gdzie je zostawiliśmy, i od razu ich dosiedliśmy, po czym ruszyliśmy stępą w stronę wału, nie przyspieszając, gdyż Carbo nie chciał zostawiać z tyłu zwiadowców. Choć uznałem takie zachowanie za godne pochwały, jednak nie w naszej sytuacji.

– Czy zastaliście kogoś na polanie? – spytałem, zrównując się z Carbo. Co chwila oglądałem się przez ramię, lękając się podążającej naszym śladem armii Galów.

– Żywej duszy. Zabójcy szybko się ulotnili. Ognisko płonęło w najlepsze, więc bez trudu rozpoznałem druidów.

– Wielka szkoda, że nie zobaczyłem polany po wschodzie słońca – powiedziałem. – Zgodzę się na powtórny wycieczkę, jeśli Labienus odda mi pod komendę cały legion. Jeśli legionieści otoczą wzgórze, będę mógł się skupić na pracy.

– Nie liczyłbym na to – odparł Carbo. – Czy sądzisz, że coś byś znalazł?

Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem, ale zabójca zawsze zostawia po sobie jakieś ślady. Może znalazłbym coś, co zdradziłoby jego tożsamość albo powód śmierci druidów.

– Czy barbarzyńcy w swoich działaniach kierują się motywami? – spytał.

– Zawsze – odrzekłem. – Być może nie są one dla nas w pełni zrozumiałe, ale każde działanie ma przyczynę. – Galowie, druidzi i Tytus Winiusz – tych trzech coś łączyło ze złotem ukrytym w skrzyni. Coś, co doprowadziło do tych zadziwiających morderstw.

Wjechaliśmy do obozu, gdy na wschodzie niebo zaczęło szarzeć. Za wałami, co było o tej porze czymś zwykłym, panował ruch. Odgłosy krzątania, brzęk zbroi i rozmowy żołnierzy pokrzepiły mnie i pozwoliły zapomnieć na moment o niepokojących wydarzeniach.



– Widzieliście minionej nocy barbarzyńców? – zawołałem do wartownika pilnującego bramy.

– Ani jednego – odparł. – To nie był dobry znak. – Nawet najmniejsza zmiana w rutynowych czynnościach miała dla żołnierzy prorocze znaczenie.

– Wiem, że nie ma sensu, byś nakazał swoim ludziom siedzieć cicho – zwrócił się do mnie Carbo, zsiadając z konia. – Moi z pewnością nie posłuchają tego rozkazu.

– Wszyscy służymy wiernie Rzymowi! – wtrącił podniesionym głosem Lovernius.

– Oczywiście, ale sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, jest niepewna, i nie potrzebujemy szepczących między sobą Galów, by ją dodatkowo pogorszyć. Większość żołnierzy auxyliów to ludzie prości, w przeciwieństwie do ciebie. Na Dioskurów, nasi żołnierze też są przesądni niczym wiejskie kumoszki. – Trąbki odegrały sygnał na odprawę oficerów. – Czas złożyć raport legatowi. – Odwrócił się i odszedł w kierunku pretorium. Podałem wodze Indiumixowi i ruszyłem w ślad za Carbo, lecz Lovernius zatrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. Spojrzałem w twarz Galowi.

– Decjuszu Cecyliuszu, dołączcie do nas na porannym patrolu po powrocie z pretorium.

Zamierzałem zapytać go o powód, lecz po wyrazie twarzy domyśliłem się, że targają nim sprzeczne emocje. Chciał porozmawiać ze mną na osobności, lecz w tym momencie nie chciał się wdawać w rozmowę. Potrzebowałem sugestii, które by rzuciły nowe światło na wydarzenia ostatnich godzin, jakichś wskazówek, nowych elementów układanki. Odwróciłem się do Indiumixa.

– Przygotuj mojego konia. – Skinął bez słowa głową.

Gdy dotarliśmy na naradę, Carbo streścił Labienusowi przebieg wydarzeń. Pozostali oficerowie przysłuchiwali się raportowi

z niedowierzaniem. Od razu dostrzegłem, że nie mieli doświadczenia w tego rodzaju sprawach.

– Jakie wnioski, Decjuszu Cecyliuszu? – spytał Labienus.

Powściągnąłem pokusę i nie poprosiłem o eskortę złożoną z sześciu tysięcy legionistów, żeby móc wrócić na wzgórze bez lęku. – Niewiele – powiedziałem na głos. – Mam jedynie pewność, że śmierć druidów i zabójstwo Tytusa Winiusza są ze sobą powiązane.

– Chwytasz się wszystkiego, by uratować swojego klienta – rzucił Paterculus. – Dowódcu, przez dwadzieścia pięć lat mojej służby, nie widziałem tak wielu osobliwych zdarzeń rozgrywających się niemal jednocześnie. Ale czy mają one jakieś znaczenie dla nas w kontekście nadciągającej wojny? Galowie mogą powywieszać wszystkich druidów stąd do brzegów Morza Północnego. To ich sprawy i nic nam do tego. Skupmy się na rzeczach mających sens, które mogą wpłynąć na naszą sytuację. – W namiocie rozległ się szmer aprobaty – oficerowie podzielali jego zdanie.

– Powiedziałbym to samo, gdybyśmy tkwili w tej głuszy sami, bez naszych galijskich sojuszników – odparł legatus. – Są wierni Rzymowi i nienawidzą Helwetów, ale w religijnym zaślepieniu dorównują Egipcjanom. Od wielu dni zachowywali się nerwowo, a śmierć druidów może spowodować masowe dezercje. Nie chcę teraz myśleć o egzekucjach, ale jeśli uznam je za konieczne, nie zawaham się wydać stosownego rozkazu. Dopilnujcie, by każdy żołnierz był tego świadom. Oficerze nocnej warty, wasz raport?

Gdy narada dobiegła końca, Labienus zatrzymał mnie w namiocie. – Czego się dowiedziałeś? – zapytał.

– Zebrałem wiele różnych informacji, z których będę mógł wyciągnąć wnioski – odparłem wymijająco. – Spodziewam się też, że do południa będę miał kolejne od zaufanego człowieka. – Uznałem, że takie słowa zadowolą

legata.

– Lepiej, by tak się stało. Męczy mnie ta historia i z niecierpliwością wyglądam jej końca, podobnie jak powrotu Cezara.

Z pretorium udałem się do namiotu na śniadanie. Nie zastałem Hermesa, który udał się na poranne ćwiczenia. Molona i Fredy również nie było w namiocie. Ilekroć niewolnicy byli potrzebni, zawsze w zadziwiający sposób zapadali się pod ziemię. Pomstując pod nosem, znalazłem chleb i ser i popiłem ten posiłek wodą.

Kiedy zbliżałem się do kwater jazdy, byłem w marnym nastroju. Odniosłem wrażenie, że nie bez przyczyny brak snu i fatalna dieta stanowią element żołnierskiego życia. Galowie powinni mieć się na baczności. Wystarczyło kilka dni spędzonych w obozie, bym zapragnął zabijać wrogów gołymi rękoma. Legioniści zaś żyli w takich warunkach niekiedy całymi latami.

Moi jeźdźcy siedzieli już w siodłach gotowi do odjazdu. Galowie zazwyczaj chełpliwi i weseli, szeptali coś między sobą, marszcząc czoła. Wieść o śmierci druidów rozeszła się lotem błyskawicy. Mogłem sobie wyobrazić, jaki nastrój mieli żołnierze auxyliów.

Wyjechaliśmy przez Porta Principalis Sinistra i ruszyliśmy w kierunku wschodzącego słońca. Dopiero gdy oddaliliśmy się od obozu i wałów, Lovernius zatrzymał oddział w pobliżu drzew.

– Dziś nie napotkamy Helwetów – powiedział, zsiadając z konia. – Możemy rozsiąść się wygodnie.

– Wspaniały pomysł – odparłem. Gdy ześlizgnąłem się z siodła, poczułem nagły przypływ zmęczenia po nieprzespanej nocy. Jeden z Galów przywiązał konie do pni drzew. Usiedliśmy w ich cieniu. Lovernius pomyślał o wszystkim i zabrał ze sobą bukłak z winem, który niebawem zaczął krążyć między Galami.

Kiedy bukłak dotarł do mnie, oparłem się plecami o pień drzewa, przechyliłem głowę do tyłu i wlałem strumień jasnego trunku do gardła. Jak na tutejsze wino smakowało wybornie, o ile mój gust nie spospoliciał w warunkach obozowego życia. Nie zamierzałem pospieszać Loverniusa, bo wiedziałem, że powie to, co zamierzał, kiedy będzie gotowy. Liczba osób, które mogłem zadręczać bezkarnie, malała w zastraszającym tempie.

– Nie chcę, byście pomyśleli – powiedział w końcu Lovernius – że my, Galowie wierni Rzymowi, jesteśmy przyjaciółmi Helwetów.

– Nie przeszłoby mi to przez myśl – zapewniłem go. Rzymianie mają w zwyczaju wrzucać wszystkich Galów do jednego worka, lecz owi barbarzyńcy nie znają pojęcia narodu ani ojczyzny. Członek jednego plemienia jest kimś obcym dla członka drugiego plemienia, tak samo jak Syryjczyk jest obcy Rzymianinowi.

– Nie pozwalamy druidom, żeby nami rządili – dodał ze znaczącym przyciskiem. – W przeciwieństwie do Helwetów i innych plemion, jednak traktujemy ich z szacunkiem.

– To zrozumiałe. – Upiłem jeszcze łyk wina i ponownie stwierdziłem, że nie było najgorsze. Następnie podałem bukłak Loverniusowi, bo uznałem, że przyda mu się zachęta. Był o krok od powiedzenia tego, co zaprzętało jego myśli. Gal wlał sobie trochę wina do gardła, podał bukłak dalej.

– Tytus Winiusz został zamordowany po trzykroć – wydusił z siebie z wyraźnym trudem.

W końcu wskazówka, na którą czekałem, pomyślałem, a na głos spytałem:

– Co to znaczy?

– Powiedzieliście mi, że Winiusz został uduszony, dźgnięty nożem i uderzony toporem w głowę.

– Raczej pałą, ale przypominam sobie, że o tym rozmawialiśmy. –

Przypomniałem sobie również niepokojące zachowanie Galów na wieść o zbezczeszczeniu świętego stawu.

– Cóż, tak postępują druidzi. W trakcie pewnych świąt ofiary zabijane są po trzykroć. Dusi się je lub wiesza. W obu wypadkach sznur pozostaje na szyi. Potem dźga się ofiarę lub podcina jej gardło. Na koniec zaś uderza się w głowę i wrzuca do stawu lub bagna. Czasami wystarcza uduszenie i dźgnięcie, bo za trzecią śmierć uważane jest utonięcie.

Przypomniałem sobie boga o trzech głowach, wyrzeźbionego na lasce Badraiga, i galijski zwyczaj robienia wszystkiego trzykrotnie. – Czy sądzisz, że to druidzi zabili Winiusza, by złożyć go w ofierze? – spytałem.

– To musieli być oni! Któż inny mógłby to zrobić? I dlaczego?

– To ostatnie pytanie jest najważniejsze – odparłem, a w mojej głowie poczęły kłębić się różne myśli. – Wiem, że Winiusz robił nielegalne interesy. Zgromadził niemałą fortunę, która nie mogła pochodzić z żołdu i łapówek. Czy te interesy mogły dotyczyć druidów? Jeśli ich zdradził, a to bardzo możliwe, mogli się na nim zemścić.

– Ofiara złożona bez święta? – wtrącił Lovernius ze zdziwieniem w głosie. – To niezwykle rzadkie.

– W czasach wojny – odparłem – często upraszczamy religijne rytuały. Może druidzi zrobili tak samo. Czy mam rację, zakładając, że nie wolno im używać broni?

– Jedynie przy składaniu ofiar. Na co dzień nie wolno im nawet dotykać broni, bo broń jest nieczysta.

– Otóż to – powiedziałem, rozkładając ramiona. – Nie wolno im nosić mieczy ani włóczni, więc posłużyli się tym, co mieli pod ręką. – Ta teoria nie zawierała odpowiedzi na wszystkie pytania, ale wydawała się dość przekonująca.

– Cóż, to możliwe – odparł Lovernius niepewnie.

– Ale to nie wszystko, prawda? – zapytałem.

– Nie. Są jeszcze wydarzenia minionej nocy.

– Które również noszą znamiona rytualnego mordu – dodałem. – Ale zapewniłeś mnie, że druidzi nie są składani w ofierze. Przynajmniej nie w ten sposób.

– Racja – odrzekł, unosząc do ust bukłak.

– W takim razie powiedz mi, Loverniusie, kto składa ofiary, wieszając je na drzewach?

– Germanowie! – odparł z nagłą zajadłością. – W świętych gajach wieszają ofiary na gałęziach dębów. W trakcie wielkich uroczystości organizowanych raz na dwanaście lat składają po dwanaście ofiar z ludzi, zwierząt, nawet z ptaków i ryb. Mnóstwo ciał zwisa ze świętych dębów rosnących nad brzegiem Morza Północnego.

– Odór musi być nie do zniesienia – wtrąciłem. – Widziałeś te dęby na własne oczy?

– Nie, oczywiście, że nie. Widzieli je jedynie Galowie składani w ofierze. Ale słyszałem o nich. Wszyscy o nich słyszeli.

– Rozumiem. – Cóż, kolejne plotki, pomyślałem. Gotów byłem jednak im zaufać, w przeciwieństwie do paplaniny rzymskich żołnierzy stacjonujących na nieznanym im ziemiach. – Czy wiesz, co zwiastują te dziwne zdarzenia? – dociekałem.

Potrząsnął przecząco głową. – Nie, prócz tego, że nie powinno do nich dojść. Czy tę wojnę prowadzą ludzie, czy bogowie?

– Często mylimy jednych z drugimi – odparłem. – Ale mam wrażenie, że ktoś posłużył się religią, by zamaskować zło wyrządzone przez człowieka.

– Co macie na myśli? – zapytał z żarem w głosie.

Jakich użyć słów, by wytłumaczyć Galom, nawet tym na wpół cywilizowanym, jak pracuje mój umysł? Wszak miałem z tym problem,

tocząc dyskusje z rodakami znającymi zasady greckiej logiki. Mimo to podjąłem taką próbę. Galowie przysłuchiwali się z uwagą i w skupieniu. Pragnęli poznać prawdę tak samo jak ja.

– Loverniusie, ludzie tłumaczą swoje czyny w kwiecistych słowach, przypisując swojemu zachowaniu rozliczne szlachetne motywy. Powtarzają, że powoduje nimi patriotyzm lub niezachwiana wiara w bogów, albo dobro ludu bądź lojalność w stosunku do władcy. Trzeba jednak wiedzieć, że większość z nich kłamie. Bardzo często ich motywy okazują się znacznie bardziej przyziemne. Pożądamy władzy, bogactwa albo kobiety należącej do innego.

– To potrafię zrozumieć – powiedział – ale tu mamy do czynienia z religią.

Uniosłem dłoń, prostując wskazujący palec. Wypite wino wyostrzało mój umysł i elokwencję. – Loverniusie, kiedy ludzie popełniają niegodne czyny i uzasadniają to w górnolotnych słowach, ja szukam czegoś prostego, co łączy i spaja wszystkie elementy. Kilka dni temu dowiedziałem się, że Tytus Winiusz zgromadził dużą sumę w złocie, lecz nieznanne jest mi pochodzenie tego bogactwa. Zapomnij na chwilę o bogach, druidach i upiornych ofiarach. Kluczem do zagadki jest złoto. Jeśli dowiem się, skąd pochodziło i na co było przeznaczone, skuję wszystkich ludzi zamieszanych w te morderstwa grubym łańcuchem. Łańcuchem odlanym ze złota. – Poczulem chełpliwą dumę z własnych słów i natychmiast skarciłem się w duchu, że nie należy pić wina o tak wczesnej porze.

Miłujący kwiecistą retorykę Galowie nie uznali mojej przemowy za głupią i pustą. Lovernius sprawiał wrażenie rozluźnionego i zadowolonego z faktu, że zrzucił ciężar z serca. Był lojalnym sługą Rzymu, lecz przesądny lęk nie pozwolił mu otwarcie powiedzieć o potrójnym rytualnym mordzie. Trupy trzech druidów powieszonych w gaju spowodowały jednak, że

przemówił. Teraz spoglądał na mnie ufnym wzrokiem, jakby był pewien, że szybko rozwiążę zagadkę. Miałem nadzieję, że jego wiara nie była całkowicie bezpodstawna.



## ROZDZIAŁ 11

**D**o obozu wróciliśmy w południe, kiedy trąbki odegrały sygnał na posiłek. Legioniści tłoczyli się przy stołach. To, że nawet tak spartańskie jedzenie wywołuje radość naszych żołnierzy, wiele o nich mówi. Rzuciłem wodze Galom i udałem się do namiotu. Hermes podał obiad – postawił na stole miskę owoców zanurzonych w miodzie i pieczoną kaczkę. Nie zamierzałem wypytywać, jak dokonał tego małego cudu.

– Rób tak dalej, to wyzwolę cię dopiero wtedy, kiedy przestaniesz być użyteczny – oznajmiłem, siadając za stołem i rzuciłem się na jedzenie. Hermes napełnił mój pucharek rozwodnionym winem. – Gdzie są Molon i Freda?

– Nie widziałem ich przez cały dzień – odparł. – Pomyślałem, że pewnie wyznaczyliście im jakieś zadanie.

Słowa Hermesa zepsuły mi smak pieczonej kaczki. Niewolnicy nie powinni oddalać się od swego pana bez pozwolenia, co dotyczyło również tak ekscentrycznej pary jak Molon i Freda. Oboje zachowywali się jak wolni ludzie, należało więc szybko uświadomić im, że to błąd.

– Kiedy widziałeś ich po raz ostatni?

– Molon spał się w nocy za namiotem. Nie widziałem obojga, gdy przyszli Galowie. Rankiem też nie, choć nie powiem, że bym ich szukał. Muszą się kręcić gdzieś w pobliżu, bo za mury obozu raczej by się nie odważyli wyjść.

– To byłoby dość nierozsądne – przytaknąłem, niezadowolony z tego co usłyszałem od Hermesa. Kolejne zmartwienie, a tych miałem aż nadto.

Po obiedzie wraz z Hermesem wyruszyłem na poszukiwania niewolników. Potrzebowałem snu, ale wiedziałem, że nie zmrzyłbym oka w namiocie, bo myśli wprost się kłębiły w mojej głowie. Przemierzając obóz, opowiedziałem Hermesowi o ostatnich wydarzeniach. Był kiepskim rozmówcą, ale od dawna wiedziałem, że mówienie pozwala nadać myślom kształt, co porządkuje rzeczywistość.

– Jeśli to Germanowie powiesili druidów, to znaczy, że przebywają w pobliżu, prawda? – zapytał.

– Twoje rozumowanie jest porażająco logiczne – odparłem.

– Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli, że jest ich więcej. Więcej niż tych dwóch, których widzieliśmy przedtem w nocy?

– Niekoniecznie – skwitowałem to, co powiedział, choć w istocie myślałem podobnie. Chłopak był wcale niegłupi. – Z jednej strony mamy dwóch krzepkich germańskich wojowników, z drugiej zaś trzech galijskich druidów, w tym dwaj to starcy, którzy nie umieją posługiwać się bronią. Eintzius i Eramanzius pokonaliby kapłanów z łatwością.

– Ale – odezwał się Hermes z powątpiewaniem w głosie – rozpalenie dużego ogniska i zawieszenie na drzewach trzech trupów to niekoniecznie odpowiednia robota dla takich dwóch osiłków.

– Cóż, obaj twierdzili, że pochodzą z królewskiego rodu. Z pewnością towarzyszą im inni wojownicy. Nie ma powodu do obaw, to tylko kilkudziesięciu Germanów.

– Byle nie cała armia – westchnął ciężko Hermes. Podobnie jak on myśleli rzymscy legionieści – z lękiem mówili o liczebnej przewadze barbarzyńców i naszych odsłoniętych pozycjach. I miał ku temu powody.

Przeszukaliśmy forum i inne miejsca, gdzie mogli przebywać niewolnicy,

lecz nie znaleźliśmy ani Molona, ani Fredy. Na próżno obeszlśmy też centurię. W obozie, w którym przebywało sześć tysięcy legionistów, Freda niewątpliwie rzucała się w oczy. Myślę, że nawet słoń nie przyciągałby tak ich uwagi.

– Może poszli do obozu auxiliów? – odezwał się Hermes. – Za dnia niewolnicy i obcy mogą łatwo przejść przez każdą bramę.

– Nie wiem, czego mieliby tam szukać, ale nie zaszkodzi sprawdzić – powiedziałem bez entuzjazmu.

Niebawem doszliśmy do bramy, przez którą wyjechałem rankiem. Okazało się, że wartownicy objęli posterunek przed chwilą i że nie widzieli Molona i Fredy.

Drugi obóz dzielił od pierwszego dystans dwóch strzałów z łuku. Nieprzyjaciel, który przedostał się w pobliże wałów, mógł więc zostać ostrzelany z dwóch stron, nie mając gdzie się ukryć. Umocnienia obozu auxiliów były dość proste, gdyż w razie zagrożenia sojusznicy chronili się w obozie legionistów. Znaczną część sojuszniczych oddziałów tworzyła jazda, toteż drugi obóz był większy od pierwszego. Codziennym obowiązkiem żołnierzy było dostarczenie zielonej paszy dla zwierząt.

Carbo szkolił swoich włóczników przed obozem, podczas gdy jego zwiadowcy udawali, że mają zajęcie, by wyłgać się od ćwiczeń.

– To nie wygląda najgorzej jak na barbarzyńców – skomentowałem.

– Galowie nie lubią musztry – odparł. – Ale to się zmieni – wystarczy, że zobaczą, z jaką łatwością oddział zdyscyplinowanych żołnierzy pokonuje bandę wrzeszczących dzikusów.

– O ile przeżyją – zauważyłem.

Wzruszył ramionami. – Jakoś trzeba sobie radzić z liczebną przewagą wroga. Jeden legion z powodzeniem zmierzy się z dwa razy większą armią barbarzyńców. Trzy legiony mogą pokonać wroga dziesięciokrotnie

liczebniejszego. Dziesięć legionów może zwyciężyć każdego nieprzyjaciela. Kłopot polega na tym, żeby ściągnąć potrzebną liczbę legionów tam gdzie trzeba.

– I to jest rzeczywiście duży kłopot. A tak przy okazji, Gnejuszu, czy nie widziałeś dziś przypadkiem mojej Germanki?

Uniósł brwi. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że ją zgubiłeś?

– Nie widziałem jej od, no właściwie od późnych godzin wieczornych. Później byłem tak zajęty, że nie miałem czasu jej poszukać. Molon też gdzieś zniknął.

– Mała strata. Ale dziewczyna... taka nie trafia się żołnierzowi często. Nie, nie widziałem jej. – Wypytał o to swoich żołnierzy, ale ci robili dziwne miny i wykonywali sprośne gesty. Najwidoczniej Fredę znano w tym obozie równie dobrze jak w obozie legionistów. – Moi ludzie też jej nie widzieli – powiedział po chwili Carbo. – Wierz mi, zwróciliby na nią uwagę. Spróbuj w obozie.

– Zamierzałem to zrobić. Poznałem kilka interesujących faktów – dodałem i streściłem Carbo to, czego dowiedziałem się od Loverniusa. – Byłbym wdzięczny, gdybyś zatrzymał tę wiedzę dla siebie.

– A więc sądzisz, że zamieszani są w to Germanowie? Myślisz, że dziewczyna uciekła za wał, by dołączyć do swoich?

– Nie widzę powodu, żeby miała to zrobić – odparłem. – Była u nich niewolnicą. Dlaczego chciałaby do tego wrócić? Żaden niewolnik na świecie nie ma łatwiejszego życia niż pomoc domowa w willi Rzymianina. Po co zamieniać to na brudną wioskę, gdzie zżerana przez wszy małżonka jakiegoś wodza będzie ją traktować gorzej niż sukę?

– Ja też nie widzę w tym sensu, ale czy to wiadomo, jakimi ścieżkami podąża umysł barbarzyńcy? Może tak bardzo zatęskniła za znajomym otoczeniem, że miała w nosie złe traktowanie?

– A co z Molonem? Ten pokurcz zna smak podeszew wszystkich butów, bo osobiście je wylizał. Za żadne skarby nie zamieniłby wygodnego miejsca u Rzymian na germańską osadę na drugim brzegu Renu. Skoro planował ucieczkę, to dlaczego nie uciekł od Winiusza? Brutal traktował go niczym pal służący do ćwiczeń.

– Trafna uwaga. Mam nadzieję, że szybko odnajdziesz tę kobietę, Decjuszu. Jeśli gdzieś ci się zapodziała niewolnica, do której wzdychała cała Galia, będziesz jeszcze większym pośmiewiskiem niż teraz.

– Prawda. Bogowie mnie nie kochają, Carbo. Nie będę zawracał ci dłużej głowy, wracaj do musztry. Hermesie, wracamy. – Kiedy znaleźliśmy się w obozie, bacznie rozglądaliśmy się na boki. – Widzę, że chcesz mi coś powiedzieć, Hermesie – zwróciłem się do chłopaka, gdy szliśmy obozową ulicą. Minęliśmy grupkę żołnierzy rozmawiających w trzech różnych językach.

– Wy i wasz przyjaciel uważacie, że rozumiecie niewolników i wiecie o nich wszystko, a przecież nigdy nimi nie byliście – powiedział ponurym głosem.

– W takim razie skonsultuję się z ekspertem. Hermesie, jakie są twoje przemyślenia na ten temat?

– Być może nie uciekli ani do Germanów, ani do Galów. Być może obrali inny kierunek.

– Do Massilii? Po co?

Zmierzył mnie gniewnym wzrokiem. – Po co? Czy naprawdę nie przyszło wam na myśl, że każdy legionowy niewolnik wie, iż lada moment zaatakują nas Galowie, by zetrzeć w pył? A ci, którzy przeżyją, zostaną złożeni w ofierze.

– Widzisz to zbyt czarno – powiedziałem z naganą w głosie. – Rzymskie armie przegrywają z barbarzyńcami niezmiernie rzadko. W najgorszym razie

wycofamy się brzegiem rzeki i skryjemy za murami Massilii, gdzie zaczekamy na przybycie posiłków.

– O, wielkie dzięki za pokrzepiające słowa! Nie mam zbytniego doświadczenia, jeśli chodzi o armię, ale się założę, że gdy żołnierze uciekają, nie zwracają sobie głowy ratowaniem mułów i niewolników.

– Rozumiem, do czego zmierzasz, i przyznaję, że się zaniepokoiłem – odparłem.

– Zapewniam was, że wielu niewolników planuje teraz ucieczkę.

– Nie należysz chyba do ich tchórzliwej bandy? – spytałem.

– Moja lojalność względem was jest niewzruszona – odrzekł z wielką powagą i przekonaniem, właściwym jedynie urodzonym kłamcom.

– Rozumiem. W tym, co powiedziałeś jest pewien sens. Jak myślisz, w jaki sposób zaplanowaliby ucieczkę Molon i Freda?

– Massilia to duże miasto. Molon z łatwością może uchodzić za jej mieszkańca. Poza tym to przecież port. Zapłacą i popłyną w dowolne miejsce. Molon mógł już rankiem skraść pieniądze potrzebne na podróż.

– Jeśli to właśnie planują, wpadną w niezłe tarapaty – odparłem. – W mieście aż roi się od handlarzy niewolników. Całą zgrają podążają zawsze za rzymskim wojskiem. Po zwycięskiej bitwie odkupują od legionistów niewolników za bezcen. Te hieny rozpoznają zbiega w bezgwiezdną noc.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał. – Ale oni też mogli na to nie wpaść.

– Nie doceniasz Molona.

Prawdę mówiąc, nie chciałem uwierzyć w ucieczkę moich niewolników. Nie żał mi było straty Molona, który z pewnością wykorzystałby każdą szansę, by poprawić swój los. Nie zamierzałem się w tej sprawie oszukiwać. Ale Freda... Zdawało mi się, że minionej nocy doszliśmy oboje do pewnego porozumienia i że na swój zwierzęcy, prymitywny sposób obdarzyła mnie uczuciem.

Czy wszystko to była jedynie wyrachowana gra? Molon udał, że się upił, a Freda pozbawiła mnie sił, żebym nie zbudził się za wcześnie. Potem wymknęli się potajemnie z obozu. Trudno mi było w to uwierzyć, jednak wiedziałem, że moje emocje zaburzają trzeźwość osądu. Rygorystyczna, podporządkowana logice część mojego umysłu podpowiadała, że jest to jedyne sensowne wytłumaczenie zniknięcia niewolników. Mimo to wątpliwości, którymi się podzieliłem z Hermesem, nie dawały mi spokoju. Jak Molon i Freda zamierzali polepszyć swój los ucieczką?

Nasze poszukiwania okazały się daremne, tak jak przypuszczałem od początku. Próbowałem wprawdzie udawać beztroskę, jednak odkąd przybyłem do Galii, nie miałem bardziej podłego nastroju. Zniknięcie niewolników było wręcz klęską w paśmie katastrof i niepowodzeń. Jeśli Fortuna się do mnie nie uśmiechnie, skończę tak jak Burrus i jego kompani, uznałem w myślach.

– Zawiadomicie władze o ucieczce? – spytał Hermes, kiedy doszliśmy do namiotu.

– Nie. Dość już mam upokorzeń. Ty też trzymaj język za zębami. Uganianie się za dwójką niewolników w przededniu wojny nie przyniosłoby mi chluby.

– Skoro tak twierdzicie – odparł z powątpiewaniem w głosie.

– Nie myśl sobie tylko, że nie wydam cię strażom, jeśli spróbujesz ucieczki.

– Nie ufacie mi! – stwierdził z oburzeniem.

– Bo za dobrze cię znam. – Uniosłem poły namiotu i wszedłem do środka. Nagle poczułem obezwładniające zmęczenie. – Zdrzemnę się trochę. Możesz mnie obudzić jedynie wtedy, gdy stanie się coś ważnego. Albo gdy wróci tamtych dwoje.

Zdjąłem zbroję i sandały, po czym ułożyłem się na łóżku, które

opuściłem w nocy, by udać się na wzgórze. Choć byłem bardzo zmęczony, mój umysł pracował nieustraszenie, roztrzaskując znaczenie ostatnich niepokojących wydarzeń. Podejrzywałem Molona i Fredę o zamordowanie Tytusa Winiusza. Jeśli uważali, że mogą tego dowieść, uznali ucieczkę za jedyne rozwiązanie. Po co w takim razie ta zabawa w druidyczne rytuały? I w jaki sposób ucieczka niewolników łączyła się ze śmiercią trzech druidów powieszonych w gaju? A w ogóle to czy taki związek istniał?

Była to najbardziej irytująca sprawa w mojej dotychczasowej niezbyt spokojnej karierze. Gdzie podzieli się politycy mordujący konkurentów? A co z sensownymi i w pełni zrozumiałymi motywami? Dlaczego wmieszali się w to wszystko kapłani, barbarzyńcy i żołnierze? Po co ofiary składane z ludzi?

Rzucałem się niespokojnie na łóżku i choć byłem potwornie zmęczony, sen nie przychodził. Wiedziałem, że muszę znaleźć zajęcie, jeśli wreszcie mam odpocząć. Wiedziałem, że gdy dochodzenie utknęło w martwym punkcie, miałem tylko jedno wyjście. Musiałem popełnić jakieś karygodne głupstwo.

Wstałem i podszedłem do stolika. Mój wzrok padł na woskową tabliczkę. Otworzyłem obłożone deszczułkami boki, chwyciłem za rylec i napisałem wiadomość, a następnie zwołałem Hermesa.

– Zanieś to Levernusowi. Powiedz, żeby posłał gońca do kapitana Carbo i przekazał mu tę wiadomość. – Hermes lekko się skrzywił, gdy zauważył w mojej twarzy desperację.

– Co zamierzacie?

– Bardzo możliwe, że zginę dzisiaj nocy. Po powrocie spróbuj się zdrzemnąć. Pójdiesz ze mną.

Położyłem się na łóżku. Podjęcie decyzji uspokoiło mnie tak bardzo, że zasnąłem po chwili niczym niemowlę.



Kiedy ponownie otworzyłem oczy, było już ciemno. Czuję się wypoczęty i rześki, a chcę dodać, że niezmiernie rzadko doświadczałem takiego stanu tuż po przebudzeniu. I wtedy przypomniałem sobie, co postanowiłem zrobić. Zrozumiałem, że do działania motywował mnie strach. Hermes pochrapywał cicho na sienniku. Szturchnąłem go, budząc ze snu. Wyszedł z namiotu z naczyniem na wodę.

W ciemnościach namacałem krótki miecz, po czym owinąłem jego pochwę paskami materiału, by nie zadźwięczała, uderzając o zbroję. Do pasa przypiąłem też sztylet, po czym wzięłem cywilne sandały. Podkute ćwiekami podeszwy żołnierskich caligae hałasowały, a nawet krzesąły widoczne z oddali iskry w zetknięciu metalu z kamieniem. Zrzuciłem na ramiona płaszcz i nasunąłem na głowę kaptur. Zapowiadała się chłodna noc, a o tej porze roku mógł też spaść deszcz.

Gdy Hermes wrócił z wodą, nakazałem, by również wziął płaszcz i owinął pochwę miecza. – Wybieramy się dziś na mały rekonesans – powiedziałem. Wypełnił moje polecenia z entuzjazmem cechującym jedynie młodych i lekkomyślnych ludzi na wieść o niebezpieczeństwie. Myłem twarz, kiedy do namiotu wszedł Carbo w towarzystwie Ionusa, który miał nas poprowadzić.

– A oto i on. Jakie szaleństwo wymyśliłeś tym razem, Decjuszu?

– Wracam do gaju, Gnejuszu. Zamierzam rozejrzeć się tam w świetle dnia.

– Wiedziałem, że usłyszę coś równie głupiego. Dlaczego nie weźmiesz swoich jeźdźców?

– A po co? Większy oddział, w dodatku na koniach, rzuca się w oczy. Nie żartowałem, gdy powiedziałem, że bezpiecznie czułbym się na wzgórzach jedynie z całym legionem. Przemkniemy niepostrzeżenie albo zginiemy. W drogę, Hermesie.

Ruszyliśmy w kierunku Porta Decumana. Hermes kroczył dumnie, zaciskając raz po raz dłoń na rękojeści miecza. Po kilku lekcjach z instruktorem uważał się za doskonałego szermierza. Przy bramie poinformowałem oficera pełniącego wartę, że udaję się za mury na zwiady. Szczęka opadła mu z wrażenia, ale nie mógł zatrzymać mnie w obozie.

Wychodząc przez bramę, spojrzałem w górę, by zorientować się w rozmieszczeniu posterunków. Przez chwilę zastanawiałem się, czy para uciekających niewolników zdołałaby wdrapać się na wał i przeskoczyć przez palisadę, i uznałem, że było to po prostu możliwe. Warty stały daleko od siebie, noc była mroczna, a żołnierze wypatrywali niebezpieczeństwa za wałami i nie oglądali się za siebie. Wystarczyło późną nocą, gdy legionistom zamykały się ze zmęczenia oczy, cicho się poruszać, żeby bez trudu wydostać się z obozu. Molon i Freda uciekli, co do tego nie miałem złudzeń. Ale dlaczego to zrobili?

– Kiedy wrócisz? – zapytał Carbo.

– Będziemy na wzgórzu przez cały dzień. Ruszymy w drogę powrotną wraz z zapadnięciem ciemności. Nie poruszam się tak szybko jak twoi zwiadowcy, ale powinniśmy zameldować się w obozie pojutrze, przed wschodem słońca.

– Jeżeli się nie stawicie na czas, pošlę o świcie oddział jazdy, by przeczesał wzgórze.

– Jeśli nie wrócę do tego czasu, to zapewne nie wrócę w ogóle, ale nie będę cię powstrzymywał.

– W takim razie udanych łowów. – Poklepał dłonią moje ramię, jak zwykli to czynić żołnierze. Zapewne uważał mnie za odważnego człowieka, a nie za skończonego głupca, który idzie na pewną śmierć.

Ruszyliśmy w kierunku wału. Panowała cisza, nie było słyhać obelg Galów ciskanych na wartowników. Srebrny księżyc i miriady gwiazd

jaśniejących na niebie nadawały naszej wyprawie aurę przyjemnej wycieczki. Księżycowa poświata zarysowywała kontury białych szczytów pobliskich gór. Ukryte w trawie owady wydawały świergotliwe dźwięki, podmuchy wiatru szeleściły szuwarami porastającymi brzegi stawów.

Kiedy dotarliśmy do wału, powtórzyłem swoją historyjkę dowódcy warty. Nie zdziwił się, lecz sumiennie odnotował moje nazwisko i liczebność grupy. Przeszliśmy na drugą stronę. Po kilku krokach skinąłem dłonią i przystanąłem.

– Masz przy sobie farbę? – spytałem Ionusa. Odpiął od pasa mały gliniany pojemnik i mi go podał. Zanurzyłem palce w cuchnącej paście i rozsmarowałem ją na twarzy, a następnie na rękach i nogach. Rzuciłem pojemnik Hermesowi.

– Zrób to samo. Przeżyjemy tylko, jeśli nikt nas nie zauważy. Ionusie, z czego zrobiono tę maź?

– Z sadzy i niedźwiedziego sadła.

– Dobrze. Barwnik z urzetu i orzechów zostawia plamy, których tygodniami nie da się zmyć. Hermesie, gdy oddalimy się od wału na odległość strzału z łuku, będziemy zdani wyłącznie na siebie. Każdy, kogo napotkamy, to będzie wróg pragnący naszej śmierci. Trzymaj się blisko mnie, ale zachowaj rozsądny odstęp, by się ze mną nie zderzyć. Dzięki temu będziemy mogli zrobić użytek z broni. Jeśli zorientujesz się, że zostajesz w tyle, odezwij się półgłosem. Zrozumiałeś? – Skinął głową. Dostrzegłem na jego twarzy pierwsze oznaki strachu. W końcu dotarło do niego, że tu wcale nie chodzi o przygodę.

– Ionusie, narzuć sensowne tempo marszu, ale miej na uwadze, że nie jesteśmy złodziejami bydła, i w przeciwieństwie do ciebie nie widzimy tak dobrze w ciemnościach. W drogę.

Gal ruszył przodem i gdy zrobił dziesięć kroków, podążyłem za nim.

Przemierzaliśmy otwartą łąkę w tempie ni to marszu, ni to biegu, rozstawiając szeroko nogi, by zachować równowagę na nierównym podłożu, które uginało się pod stopami. Byłem wdzięczny Cezarowi za nałożoną karę – dzięki ćwiczeniom z bronią miałem lepszą kondycję fizyczną, toteż nie czułem zmęczenia, jedynie przyjemne napięcie mięśni.

Mniej więcej po godzinie zatrzymaliśmy się przy płytkim strumieniu i na kolanach poczęliśmy chłeptać wodę niczym spragnione psy.

– Jak daleko jeszcze? – zapytałem.

– Drugie tyle, ile przeszliśmy – odparł Ionus.

– Bałem się, że to powie – wtrącił Hermes. Oddychał ciężko, lecz wyglądał na mniej zmęczonego ode mnie. To już nie był ten delikatny chłopiec, który towarzyszył mi, gdy opuszczałem Rzym.

– To dla twojego dobra – zapewniłem. – Mój ojciec zwykł powtarzać, że cierpienie jest najlepszą rzeczą, jaka może spotkać człowieka. Młodzi ludzie nie wiedzą, co to cierpienie, i właśnie dlatego nasze pokolenie jest tak zepsute.

– Jeśli nie macie nic przeciwko – odparł Hermes – powiem waszemu ojcu, żeby zachował całe cierpienie tego świata dla siebie, skoro tak bardzo je ceni.

Ionus przysłuchiwał się nam uważnie, a na jego twarzy rysowało się coraz większe zdumienie. Całe jego życie wyglądało właśnie tak. Trudy i znoje miały dla niego inne znaczenie. Nie nosił butów i ubrany był jedynie w spodnie i narzucony na ramiona płaszcz, lecz mimo to nie narzekał ani na chłód, ani na zmęczenie.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej. Powietrze ochłodziło się, lecz nie odczuliśmy tej zmiany, rozgrzani truchtem. Wyteżałem słuch, aby jako pierwszy usłyszeć zbliżających się Galów bądź kaszel ukrytych w zasadzce wojowników, ale nikt nas nie niepokoił, jakby zaczarowana peleryna

skrywała nas wszystkich przed wrogami. Być może Galowie poszli po rozum do głowy i uznali, że noc lepiej spędzić w łóżku niż na włóczeniu się w ciemnościach.

Gdy dotarliśmy do podnóża wzniesienia, zarządziłem przerwę. – Czeka nas niełatwa wspinaczka i nie chcę dotrzeć na szczyt zasapany – powiedziałem. – Na wzgórzu możemy natknąć się na nieprzyjaciół.

Usiadłem na trawie z Hermesem i począłem wciągać do płuc powietrze, żeby uspokoić oddech. Ionus przykucnął obok, kładąc dłoń na rękojeści krótkiego miecza o główki w kształcie liścia. Z nałożoną na twarz farbą i nastroszonymi włosami przypominał bardziej leśnego ducha niż człowieka.

Chłodne, wieczorne powietrze owionęło nasze spocone ciała. Opatuliłem się płaszczem, a Hermes poszedł w moje ślady. – Dlaczego ludzie żyją w takim miejscu? – spytał. Nie potrafił zrozumieć, że można żyć z dala od Italii, a zwłaszcza Rzymu. Przyznam, że byłem podobnego zdania.

– Z pewnością latem bywa tu cieplej.

Powiodłem wzrokiem po skąpanej w księżycowej poświacie łące i wskazałem dłonią na południowy wschód, gdzie na tle rozgwieżdżonego nieba odcinały się srebrne szczyty Alp.

– Jeden z tych szczytów to jest ponoć najwyższa góra na świecie.

– Myślałem, że Olimp jest najwyższy – powiedział Hermes.

– Olimp jest najwyższą górą w Grecji. Ale gdyby Grecy osiedlili się na tych terenach, umieściliby swych bogów właśnie na tym szczycie. Ionusie, jak nazywacie tę górę?

Gal wzruszył ramionami. – Nie jestem stąd. Mój lud mieszka na nizinach. Jeśli to rzeczywiście najwyższa góra, to być może mieszka na jej szczycie Taranis. To on tworzy pioruny.

– Widocznie tak nazywają Jowisza – sapnął Hermes, owijając się szczelniej płaszczem.

– Możliwe – odparłem, choć miałem wątpliwości. Galijscy bogowie różnili się istotnie od swoich italskich i olimpijskich pobratymców. – Czy Taranis włada też piorunami? Czy towarzyszą mu orły?

– Włada piorunami, ale nie ma orłów – odpowiedział Ionus. – Do niego należy koło, od którego rozpala się święty ogień. Zawsze czyni to w święto Beltene.

Przypomniałem sobie małe koła zdobiące hełmy Galów. Koła jednak nigdy nie skojarzyłem z rozpalaniem ogniska.

– W takim razie nie jest Jowiszem – stwierdził Hermes z pewnością w głosie godną pontifexa. – Ogniem opiekuje się Westa.

– Gdzież podzieliby się bogowie, gdyby nie mieli nas, śmiertelników, którzy przydzielają im obowiązki? – powiedziałem, wstając. – Wystarczy tych filozoficznych pogaduszek. Czeka nas praca. Hermesie, odtąd będziemy się poruszali wolniej, zachowując mniejsze odległości. Jeśli będziesz miał coś do powiedzenia, szarpnij mnie za ramię i szepcz do ucha. Wejdziemy do lasu, wróg może czaić się za każdym drzewem. Nie musimy się spieszyć, słońce wszędzie dopiero za godzinę. Najważniejsze, byśmy poruszali się w ciszy. Ionusie, prowadź.

Rozpoczęliśmy wspinaczkę. Drzewa rosły blisko siebie, zagradzając nam drogę, a krople rosy gromadzącej się na liściach kapały nam na głowy. Ionus podążał przodem, poruszając się bezszelestnie niczym duch. Szedł zygzakiem, przeskakując między pniami jak węszący za zwierzyną pies. Z niemałą dumą stwierdziłem, że również poruszam się cicho, choć naturalnie daleko mi było do Gala. Za to idący za mną Hermes hałasował za trzech. Może go trochę krzywdzę, ale na swoją obronę dodam, że z trudem trzymałem nerwy na wodzy, a każdy szelest liści brzmiał w moich uszach jak sygnał trąbki.

Nie zabraliśmy ze sobą pochodni. Brakowało nam także pewności siebie,

jaką daje towarzystwo większej liczby kompanów. Wspinaliśmy się powoli, wyęzając wszystkie zmysły, by rozpoznać zagrożenie. Wiedziałem, że niebawem dotrzemy na polanę, ale bez światła pochodni i ogniska z trudem rozróżniałem w ciemnościach kształty.

Ionus przykucnął na skraju linii drzew, rozglądając się dookoła. Wbiłem wzrok w jedno miejsce i niebawem stało się jasne, że nie pójdziemy dalej bez słońca. Wycofaliśmy się, schodząc ze stoku. Skinąłem dłonią i wszyscy pochyłiliśmy się za drzewami. Wełniany kaptur na mojej głowie tłumił dźwięki lasu, słyszałem jedynie krople rosy skapujące na materiał. Hermes sprawiał wrażenie niepocieszonego. Interesująca przygoda zamieniła się nie wiedzieć kiedy w nudne wyczekiwanie świtu.

Stopniowo zacząłem rozróżniać niewidoczne dotąd kształty. Po chwili usłyszałem ptasi trel. Świtało. Powoli, niemal niedostrzegalnie nastąpiła jasność, ja zaś zauważyłem oddalone o sto metrów drzewa i zasnute ołowianą szarością niebo. Moi towarzysze spali, zbudziłem ich, szarpiąc za ramiona. Hermes ziewnął i przeciągnął się, mamrocząc coś pod nosem. Zakryłem mu usta dłonią i stanowczo potrząsnąłem przecząco głową.

Pochyliłem się nad Ionusem i wyszeptałem: – Przyjrzyj się z bliska polanie. – Skinął głową i wbiegł między drzewa. Wrócił po upływie kilku minut.

– Nie ma nikogo.

Wstałem. – Idziemy, Hermesie. Teraz możemy rozmawiać bez przeszkód, ale nie podnoś głosu i miej się na baczności. Ionus będzie nas osłaniał, gdy wyjdziemy z za drzew.

Weszliśmy na polanę. Po ognisku pozostał jedynie kopczyk popiołów. Uniosłem głowę i odetchnąłem z ulgą. Tak jak się spodziewałem, zwłoki druidów odcięto z gałęzi. Zabrano też sznury, na których wisały. Nie czułbym się dobrze, gdyby spoglądali na mnie z wysokości martwymi

oczami, rozpraszając uwagę.

– Czego szukamy? – spytał Hermes.

– Wszystkiego, co zwróci uwagę – odparłem, nie znając odpowiedzi na pytanie chłopca. W pierwszym świetle poranka zaczęliśmy przeczesywać polanę. Podłoże ugięło się pod naszymi stopami. Chodziliśmy po mchu i gnijących liściach dębu. Dostrzegłem liczne ślady stóp. Nie zdziwiły mnie; w ciągu dwóch dni i nocy przez polanę musiało przemaszerować wielu ludzi.

– Znalazłem coś! – zakrzyknął Hermes.

– Ciszej, ciszej – upomniałem go. – Co tam masz? – Wyciągnął dłoń, na której leżał mały, zakrzywiony przedmiot brązowego koloru. Przypominał czubek przepiłowanego w środku jeleniego poroża. To mógł być fragment naszyjnika bądź zapinki.

Ionus zerknął ponad moim ramieniem. – Germańska robota – odezwał się po chwili. – Spinają tym tuniki. Tutaj – poklepał dłonią obojczyk.

– Lovernius wpadł na właściwy trop – powiedziałem z zadowoleniem. – Szukajmy dalej, może znajdziemy coś jeszcze.

Ionus odszedł ku popiołom i niebawem przywołał nas do siebie. Z pogorzelniska wystawał kikut osmolonego drewna, na którym wyrzeźbiono twarze trzech bóstw spoglądających w trzy strony świata.

– Prócz morderstwa mamy do czynienia ze świętokradztwem – powiedziałem. – Ktoś wrzucił do ognia laskę druida. – Nie miałem wątpliwości, że należała do Bodraiga lub któregoś z jego towarzyszy.

Dalsze poszukiwania okazały się bardziej owocne niż zakładałem, choć żadne znalezisko nie zbliżyło mnie do rozwiązania zagadki. Znaleźliśmy strzępki kolorowej wełny, zapewne z ubrania Galów, którzy przyszli na polanę, by zabrać zwłoki druidów. Znaleźliśmy strzępki skór, które mogły pochodzić z tunik Germanów. Hermes znalazł nawet dwa krzemienne groty strzał, lecz mogły być na polanie od dawna.



Ionus bardzo mnie rozczarował. Wszystko wskazywało na to, że wśród Galów łowami parała się jedynie arystokracja, natomiast prości żołnierze pokroju Ionusa nie potrafili szukać śladów i tropów. Ich umiejętności nie wykraczały poza te, które mogą się przydać złodziejom bydła i harcowników. Z kolei Hermes jak i ja, obaj zamieszkali w mieście, zademonstrowaliśmy w tej dziedzinie jeszcze mniejsze uzdolnienia.

W południe wstrzymaliśmy nasze nieporadne poszukiwania, by zaspokoić głód. Na wyprawę zabrałem chleb i suszone figi. Hermes wyciągnął z zakamarków tuniki ser, Ionus zaś wyjął z sakwy soloną rybę i parę cebul, kupionych na obozowym forum od miejscowych rolników.

– Dowiedzieliśmy się czegoś? – spytał Hermes, przeżuwając.

– Niewiele – odparłem. – Ale dzień się jeszcze nie skończył. Nie przeszukaliśmy trawy pod drzewami. A poza tym któryś z nas powinien się na nie wdrapać.

– Wdrapać? – powiedział Hermes. – Po co?

– Bo zrobił to zabójca, mocując na gałęziach sznury – odpowiedziałem. W rzeczywistości nie byłem tego pewien. Z wisielcami miałem do czynienia po raz pierwszy.

Chleb był tak suchy, że z trudem przełknąłem ostatnie kęsy. Zapytałem Ionusa, czy w pobliżu jest źródło pitnej wody.

Wskazał dłonią wschodni kraniec polany. – Tam bije małe źródółko. – Podnieśliśmy się z trawy i otrzepali tuniki z okruchów. Ruszyliśmy w ślad za Galem. Po kilku minutach doprowadził nas do małego naturalnego wąwozu w zboczu wzgórza. Strumień opadał z wysokości na ostre skały. Odeszliśmy kilka kroków od małego wodospadu i uklękliśmy przy brzegu, by zanurzyć twarze w orzeźwiającej wodzie. Smakowała wybornie i była nieporównanie lepsza niż woda czerpana ze studni.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak łatwo daliśmy się podejść. Być

może wodzenie wzrokiem po ziemi uśpiło naszą czujność, a hałas spadającej wody zagłuszył inne dźwięki. Ale było też prostsze wyjaśnienie – Rzymianie nie powinni ruszać się z Rzymu. Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym miał wybór.

Unieśliśmy głowy, by wciągnąć w płuca powietrze, a wtedy Ionus odwrócił się gwałtownie i szepnął: – Nie jesteśmy sami.

Hermes i ja gramoliliśmy się niezdarnie z kłęczek, Gal podniósł się sprawnie, niemal bez wysiłku, omiatając wzrokiem okolicę. W końcu dostrzegłem cienie; zbliżały się i przemykały wśród drzew. Przypominały bardziej bestie niż ludzi i dopiero po chwili zorientowałem się, że nieznajomi przywdziali zwierzęce skóry.

Ionus dał susa w pobliskie zarośla i wijąc się niczym wąż, zniknął w nich bezszelestnie.

– Chciałbym tak umieć – powiedziałem.

– Porzucił nas! – zakrzyknął Hermes głosem, w którym pobrzmiwała panika.

– A ty postąpiłbyś inaczej? – spytałem.

Jeden z osiłków warknął na pozostałych. Kilku wyszło spomiędzy drzew, pozostali unieśli włócznie i zaczęli dźgać nimi krzaki, szukając Ionusa. Tuzin uzbrojonych barbarzyńców zmierzał w naszym kierunku. Usłyszałem metaliczny chrzęst i kątem oka dostrzegłem, że Hermes dobył z pochwy miecz. Uderzyłem kantem dłoni w jego nadgarstek. Stęknął, upuszczając broń.

– Dlaczego to zrobiliście? – spytał podniesionym głosem. – Przyszli nas zabić! Musimy się bronić!

– Uspokój się, głupcze – odparłem. – Walka nie wybawi nas z opresji.

– Ani gadanie! Znacie może jakieś magiczne zaklęcie, które przeniesie nas w bezpieczne miejsce?

– Nie – odrzekłem, przybierając najdumniejszą pozę, na jaką było mnie stać. – Panowie – odezwałem się do nadchodzących mężczyzn – jesteście w błędzie, jeśli uważacie nas za wrogów. Stoi przed wami rzymski senator Decjusz Cecyliusz Metellus, a Rzym pragnie utrzymać przyjacielskie stosunki z walecznymi plemionami Germanów. – Wymalowany ciemną farbą z pewnością wyglądałem niedorzecznie, lecz gdy naszym słowom brakuje treści, trzeba zdać się na styl.

Jeden z barbarzyńców powiedział coś w swoim języku, który przypominał powarkiwanie wilka, a pozostali głośno się roześmiali.

– Zrobiliście dobre wrażenie – skomentował Hermes drżącym głosem i potknął się, padając na kolana, gdy barbarzyńca uderzył go w głowę drzewcem włóczni. Mnie spotkało po chwili to samo – zachwiałem się, czyjeś mocne dłonie złapały mnie od tyłu i zerwały pas, pozbawiając broni.

– Tak, wygląda na to, że nie zginiemy od razu – powiedziałem. – Dobre i to. – Barbarzyńca związał mi ręce za plecami, jego kompan uniósł z klęczek Hermesa i także skrępował mu dłonie.

Nieznajomi wojownicy przewyższali Galów posturą i wydawali się od nich zdecydowanie dziksi. Galowie malowali ciało kolorowymi farbami i bielili włosy wapnem, by wzbudzić lęk u wrogów. Barbarzyńcy emanowali aurę grozy, i to nawet gdy stali w bezruchu. Ich włosy i brody były jasnej barwy, oczy zaś mieli błękitne.

Narzucone na ramiona ciężkie zwierzęce skóry sprawiały, że wydawali się potężniejsi niż w rzeczywistości. Nie dorównywali jednakże muskulaturą rzymskim gladiatorom. Przypominali chyba raczej wilki lub wyścigowe konie o sprężystych mięśniach, opinających długie kości. Mimo wąskich talii i szerokich ramion poruszali się zwinnie, a nawet z pewnym wdziękiem.

– O, w końcu się doczekaliśmy – rzekł Hermes. Z guza, jaki wyrósł nagle na jego głowie, sączyła się strużka krwi. – Dlaczego nie spróbowaliśmy

ucieczki, gdy mieliśmy szansę?

– Bo nigdy jej nie mieliśmy – odparłem. – Popatrz na te bestie. Myślisz, że dotarłbyś do obozu, gdyby ruszyli za tobą w pościg?

Uniósł głowę i powiódł wzrokiem po budzących grozę barbarzyńcach: – Nie – przyznał.

– W takim razie trzymaj język za zębami, a być może uda się nam ocalić skórę. Rzym nie toczy wojny z Germanami. Nie spodobał im się jedynie sposób, w jaki Cezar potraktował Helwetów. Być może zażądają za nas okupu.

– A czy ktokolwiek zapłaci za was okup? – spytał.

– Nie, ale na takie właśnie ewentualności tworzony jest specjalny fundusz – zapewniłem Hermesa, modląc się w duchu, żeby moje słowa okazały się prawdą. Wiedziałem, że takim funduszem dysponują legiony stacjonujące na wschodzie, gdyż okup to dla tamtejszych władców ważne źródło dochodów. – Stojący naprzeciwko barbarzyńca warknął i pchnął mnie mocno drzewcem włóczni między zębra. – Chyba kazał mi siedzieć cicho – stęknąłem. Hermes pokiwał głową. Szybko się uczył.

Drugi barbarzyńca oplótł wokół mojej szyi sznur, kolejny postąpił tak samo z Hermesem. Przemknęło mi przez myśl, że Germanowie wieszają swoje ofiary.

## ROZDZIAŁ 12

Wyznam szczerze, że gdyby zaprowadzili nas na polanę, padłbym trupem z prerażenia. Na szczęście ruszyliśmy w kierunku północno-zachodnim, obeszliśmy wzgórze. Prowadzony jak zwierzę na smyczy, miałem czas i sposobność, by przyjrzeć się ludziom, którzy wzięli nas do niewoli. Prócz skórzanych tunik nosili również skórzane spodnie z nogawkami kończącymi się poniżej kolan.

Większość była uzbrojona w noże o topornych rękojeściach wykonanych z drewna, poroża bądź kości. Kilku miało przewieszane przez plecy łuki. Wszyscy dzierżyli długie włócznie, a nieliczni także krótkie oszczepy. Zdziwił mnie brak metalu. Galijscy wojownicy mocowali na drzewcach włócznie metalowe groty, wzmacniali metalowymi guzami tarcze, do pasów zaś przypinali metalowe miecze. Najzamożniejsi podstawowe uzbrojenie uzupełniali hełmami z brązu lub żelaza, a wodzowie wdziewali kolczugi. Nie zauważyłem tego u Germanów. Prócz noży jedynymi metalowymi przedmiotami, jakie posiadali, były miedziane bransolety i pasy nabite ćwiekami. Tylko ich dowódca miał włócznie zakończoną metalowym grotem; pozostali przymocowali do drzewców fragmenty kości lub drewna zahartowanego w ogniu. Ich długie, wąskie tarcze były zrobione z drewnianych desek, owiniętych na krawędziach paskami wyprawionej skóry.

Wprawdzie byli prymitywni, jednak to wcale nie znaczy, że mniej

niebezpieczni. Wystarczył zamach i szybkie pchnięcie, by przebić nieprzyjaciela na wylot grotem włóczni. Wszyscy otaczający nas Germanowie wyglądali na wystarczająco mocarnych, by tego dokonać. Rzymski żołnierz ugiął się pod ciężarem żelaza, lecz barbarzyńcy potrafili zrównoważyć tę przewagę brutalną siłą i nieustępliwością.

Niebawem dołączyła do nas kolejna grupa wojowników. Na ich twarzach dostrzegłem ponure miny, a po warknięciach, jakie z siebie wydawali, które są ich mową, domyśliłem się, że przekazywali sobie niezbyt radosne wieści.

– Nie widzę krwi – wyszeptał Hermes. – Może Ionus zdołał uciec? – W tej samej chwili barbarzyńca uderzył go otwartą dłonią w policzek. Z ust Hermesa, które od razu spuchły, pociekła krew.

Obeszliśmy wzgórze i wąską przełęczą zeszliśmy w ciemną dolinę wciśniętą między gęsto zalesione zbocza. Próbowałem zapamiętać kierunek marszu, lecz szybko straciłem orientację. Byłem jednak pewien, że zdołałbym odnaleźć drogę powrotną do obozu, choć nie wiedziałem dokładnie, w jakim miejscu się znajdowałem.

Co jakiś czas idący na przedzie wojownik gwizdał cicho, wydając dźwięki przypominające ptasie trele. Odpowiadał mu wówczas podobny sygnał. Za drugim czy trzecim razem uniosłem głowę i dostrzegłem wśród gałęzi drzewa ludzką sylwetkę, nieruchomą niczym konar.

Późnym popołudniem weszliśmy na dużą polanę położoną wśród wzgórz. Na jej obrzeżu stały toporne chaty wzniesione z pni młodych drzewek, wygiętych w łuk, przykrytych korą i chrustem. Jedna z chat była trzy, a może cztery razy większa od pozostałych, lecz tylko to ją wyróżniało. Domyśliłem się, że wioska powstała całkiem niedawno, w powietrzu unosił się bowiem zapach świeżo ściętego drewna. Nie dostrzegłem w ogóle kobiet. Schwyciła nas grupa wojowników, a nie migrujące plemię.

Na żerdziach tkwiły upolowane jelenie i inna dzika zwierzyna, czekając

na wypatroszenie. Przez krótką chwilę rozważałem, czy barbarzyńcy byli myśliwymi, którzy natknęli się na nas przypadkiem, czy też byli strażnikami. Za bardziej prawdopodobną uznałem drugą wersję.

Na środku polany zauważyłem wysoki rzeźbiony obelisk, przypominający ludzką postać. Oczy posągu stanowiły odpowiednio uformowane grudki cyny, natomiast w jego szeroko otwartych ustach tkwiły zęby rozmaitych dzikich zwierząt. Z drewnianych ramion spływał na plecy płaszcz z wilczej skóry. W jednej dłoni figura trzymała pętlę, a w drugiej topór czy może młot. Nie zdołałem dostrzec wszystkich szczegółów, no i wcale nie byłem w odpowiednim nastroju, żeby kontemplować sztukę barbarzyńców.

Dowódca oddziału coś krzyknął i po chwili na polanę wbiegli barbarzyńcy, dźwigając dwa ciężkie pale i drewniany młot. Wbili pale kilka kroków przed posągiem bóstwa. Kiedy skończyli, z zaciekawieniem powiodłem wzrokiem po obozowisku. Gdyby zaczęli ostrzyć pale, zamierzałem napluć w twarz największemu, najgroźniej wyglądającemu Germaninowi w nadziei, że znieważony uśmierci mnie jednym ciosem. Śmierć na palu wydała mi się gorsza nawet od ukrzyżowania.

Ku mej wielkiej uldze barbarzyńcy wyłobili w palach głębokie rowki, kilkanaście centymetrów od spłaszczonych uderzeniami młota czubków. Silne ramiona zmusiły mnie i Hermesa do klęknienia, Germanowie przywiązali sznury krępujące nasze dłonie do pali, owijając je w zagłębieniach. Upewniwszy się, że nie uciekniemy, oddalili się, zapewne by coś zjeść lub wypić – może miód lub inne ich jakieś świństwo.

– Cudownie – stęknął Hermes. Rozejrzał się dookoła i gdy uznał, że w tym momencie jest bezpieczny, dodał pewniejszym głosem: – Złożą nas w ofierze. Może nawet zjedzą. Trzeba było uciekać. Przynajmniej zginęlibyśmy szybciej.

– Niekoniecznie – odparłem. – Mogliby połamać nam nogi i potem zawlec tutaj. Wybraliśmy najlepsze rozwiązanie.

– Jeśli Ionus wrócił do obozu – powiedział z nadzieją w głosie Hermes – to przyślą nam chyba na ratunek patrol?

– Bez wątpienia – odrzekłem, choć wiedziałem, iż nikt nie kiwnie nawet palcem. Życie jednego nadliczbowego oficera i jego niewolnika nie było warte tyle, by narażać oddział na nieznane niebezpieczeństwo.

Przez pozostałą część wieczoru próbowałem oszacować liczbę Germanów, lecz niezbyt mi się to udało. Barbarzyńcy wchodzili i wychodzili z obozowiska parami bądź samotnie, a podobieństwo ich strojów utrudniało zorientowanie się co do ich zadań. Nie potrafiłem rozpoznać, czy byli grupą szykującą się do łupieżczego wypadu, czy może byli częścią większej armii. Pośród rosnących wojowników dostrzegłem kilku gołowąsów, o ile Germanowie w ogóle golili zarost, a także siwobrodych starców, którzy ze względu na swój wiek nie powinni brać udziału w wojennej kampanii, choć sprawiali wrażenie równie krzepkich, jak tamci młodszy.

Zauważyłem kilku mężczyzn z mieczami, którzy nosili srebrne ozdoby, ale nie wiedziałem, czy byli to dowódcy, czy też barbarzyńscy książęta. Nie zaobserwowałem, żeby oddawano honory lub okazywano przesadny szacunek, toteż począłem się zastanawiać, czy aby nie chodzi tu o społeczeństwo przypominające te z legend o czasach, kiedy wszyscy ludzie byli równi. Cóż, koncepcja równości zyskuje powab, kiedy jest się w rękach brudnych, śmierdzących i krwiożerczych dzikusów.

Nad wieczorem do obozowiska poczęły ściągać grupy łowców oraz zwiadowcy. Widziałem grupy młodych wojowników znikających między drzewami. Domyśliłem się, że wysłano ich z myślą o zluzowaniu straży ukrytych w konarach drzew, które widziałem po południu.

Niebawem rozpalono ogniska. Sprawione tusze upolowanych zwierząt



wnet piekły się na rożnach. Zapach unoszący się znad polany sprawił, że zaburczało mi w brzuchu i pociekła mi ślina.

– Myślałem, że nas nakarmią – mruknął pod nosem niepokieszony Hermes, przyglądając się wojownikom rwącym wilczymi zębiskami kawały pieczystego.

– Przyznam, brakuje im odrobiny ogłady – odparłem. – Ale wolę, żeby jedli teraz mięswo, a nie nas. – Germanowie przypominali postaci z eposów Homera, które żywiły się wyłącznie mięsem. Wojownicy zza Renu pochłaniali nieprawdopodobne ilości upieczonej dziczyzny, i to bez chleba czy owoców. Ogryzione kości wrzucali do ogniska, po czym wycierali tłuste dłonie w trawę. Kiedy zaś po chwili kilku zawarczało jednocześnie, uznałem to za coś w rodzaju śpiewu.

Germanowie nie zwracali na nas uwagi i byłem im za to wdzięczny. Szybka śmierć wydawała mi się w tym momencie czymś zupełnie niemożliwym. Im dłużej pozostawałem niezauważony, tym lepiej. Wyczerpany nieprzespaną nocą i wydarzeniami dnia, począłem zapadać w sen, lecz nagła cisza wybudziła mnie z odrętwienia. Śpiewacy zamilkli.

– Ktoś wychodzi z dużej chaty – jęknął Hermes. – Co teraz?

U wejścia do chaty dostrzegłem jakieś postaci. Jedna z nich ruszyła w naszym kierunku. Jej chód wydał mi się znajomy i za moment rozpoznałem długie, zgrabne nogi, krągłe ciało, odziane w skóry i niebywale piękną twarz.

– Fredo! Cóż za niespodziewane spotkanie! Doszło tu chyba do jakiegoś nieporozumienia, prawda? Może poluzujesz nasze więzy i rozsiądziemy się wygodnie, by... – I właśnie wtedy Freda kopnęła mnie w szczękę, na szczęście w ostatnim momencie zdołałem cofnąć język, bo z pewnością bym go odgryzł. Wojownicy wybuchli gromkim śmiechem, ubawieni świetnym żartem.

– Dobrze, że chodzi boso – wtrącił Hermes. W głosie młodego łajdaka wychwyciłem nutkę zadowolenia. Jak dotąd, tylko on zbierał ciągi.

Zdołałem się dźwignąć z ziemi i usiadłem nieco otumaniony, potrząsając głową. Kiedy otworzyłem oczy, ogniska strzelały płomieniami w niebo. Freda stała nade mną, na jej twarzy nie dostrzegłem znajomej posepnej miny – przeciwnie, uśmiechała się szeroko, zadowolona, że ma nade mną władzę.

Jej strój był również trochę inny. Nadal nosiła skórzaną tunikę, lecz ta była znacznie skromniejsza. Zastąpiła też lisy sobolami. Na ramiona zarzuciła etolę z gronostajów, ich czarne ogony opadały aż na plecy. Na szyi miała ciężki złoty naszyjnik galijskiej roboty, na jej nadgarstkach i ramionach połyskiwały złote bransolety.

– Widzę, że ci się lepiej powodzi – powiedziałem. – Gratuluję.

Zakryła usta palcami i zaśmiała się jak podłotek. W następnej chwili coś krzyknęła, a wtedy wojownik podał jej zwój grubego rzemienia. Tak mnie wybatożyła, że omal straciłem przytomność.

– To nie było chyba potrzebne, Fredo – jęknąłem, siadając pod obeliskiem. – Okazywałem ci przecież życzliwość i łaskawość.

– Traktowałeś mnie jak niewolnicę, Rzymianinie – odezwała się w końcu po chwili milczenia.

– Bo byłaś niewolnicą – stwierdziłem, szykując się do przyjęcia kolejnych razów. Na szczęście chyba się jej już znudziła zabawa ze mną.

– Nigdy nie byłam niewolnicą, żaden mężczyzna nie był moim panem – odrzekła hardo.

– Jeśli to prawda – powiedziałem – to nie tylko ty mnie okłamałaś.

Za plecami Fredy mignął mi ktoś i jednocześnie jej zgrabna bosa noga uniosła się w powietrze. Zamknąłem oczy, wyczekując kolejnego kopniaka, lecz Freda oparła stopę na moim obojczyku i łagodnym, niemal pieszczotliwym ruchem wparła mnie w ziemię.

– Padnij na twarz, Rzymianinie. – Przekręciłem się na bok, a potem na brzuch, jednocześnie obracając ku niej twarz. Freda postawiła na niej stopę, i bynajmniej nie był to symboliczny gest. Ciężarem całego ciała naparła mi na obojczyk. Ból był tak potworny, że ledwo mogłem oddychać. Zamajaczyły mi jednak przed oczami ogromne stopy w skórzanych butach błyskających złotem.

Niski, chrapliwy głos, o niemal zwierzęcym brzmieniu, wypowiedział kilka słów i Freda zabrała nogę. Inny głos, brzmiący znajomo, powtórzył w ślad za nim w naszym języku: – Twój hołd został przyjęty. Możesz teraz usiąść.

Począłem się niezdarnie gramolić na ziemi, a że ręce miałem wciąż związane za plecami, był to widok żałosny. Świadom tego, że straciłem resztki godności, wysiliłem się, by przybrać minę, która miała oznaczać rzymskie cechy: dignitas i gravitas. I dobrze, że tak postąpiłem, bo kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem najbardziej przerażającą ludzką istotę, jaką kiedykolwiek widziałem.

Barbarzyńca o wzroście giganta stał w szerokim rozkroku. Jego nogi przypominały pnie starych drzew. Na biodrach oparł dłonie, dorównujące wielkością mojej głowie. W przeciwieństwie do pozostałych Germanów miał szerokie ramiona, proporcjonalne do olbrzymiego wzrostu, a tors pękaty niczym beczka. Jego głowa zdawała się wyrastać bezpośrednio z ramion, osadzona na krótkim, grubym karku.

Jasne, niemal białe włosy, starannie zaczesane do tyłu, sięgały mu do pasa. W odróżnieniu od współplemieńców bujną brodę miał przystrzyżoną. Na poznaczonej bruzdami twarzy jarzyły się szare oczy, przypominające wilcze ślepie. W tym dzikim, męskim obliczu było jednak coś znajomego. Z przerażeniem pojąłem, że łączy go rodzinne podobieństwo z Fredą.

Miał na sobie krótką tunikę bez rękawów, uszytą z grubej tkaniny,

przypominającej wyprawioną skórę ozdobioną motywami stylizowanych zwierząt i wijących się roślin. Nie wyglądało to na wyrób galijski czy germański, lecz raczej sarmacki. Ponadto zauważyłem, że nosił sporo ozdób ze złota, a u jego wysadzanego koralem pasa, wisiał ogromny miecz, niechybnie hiszpańskiej roboty.

– Senator Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy wita Ariowista, króla Germanii – powiedziałem najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mnie było stać. Ten znajomy głos przetłumaczył moje słowa. Germański król był tak ogromny, że dopiero po chwili zauważyłem Molona, stojącego za plecami barbarzyńcy. On także wyglądał zupełnie inaczej. Miał na sobie szkarłatną tunikę z galijskiej wełny, drogie importowane sandały, a na szyi gruby, srebrny łańcuch. Na jego obu nadgarstkach błyszczały srebrne bransolety. Został mu jedynie ten sam sardoniczny uśmiech. Oto jak przetłumaczył odpowiedź Ariowista:

– Mówisz jak poseł, Rzymianinie, choć nie przybyłeś na czele poselstwa. Pojawiłeś się na moich ziemiach jako szpieg.

– Rzymski senat nie uznaje tych ziem za germańskie. Za konsulatu Cezara i Bibulusa ogłoszono cię „Królem i Przyjacielem”, ale tytuł ten odnosił się do ziem leżących na wschód od Renu. Rzym toczy wojnę z Helwetami, a ja przebywałem na ziemiach należących do Helwetów.

– Tytuły przyznawane przez obcych z dalekiego kraju niewiele tu znaczą – warknął w odpowiedzi. – Tu liczy się siła. Ziemie położone na zachód od Renu należą do mnie, gdyż je podbiłem. Na tym brzegu rzeki mam sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, wojowników, którzy od lat nie przespali jednej nocy pod dachem. Nie myl nas z Galami, niewolnikami i oraczami. Nasi wszyscy mężczyźni zasługują na miano wojowników.

– Germanowie słyną z waleczności jak świat długi i szeroki – odparłem, uznając, że to bardzo dobry moment, by wtrącić drobne pochlebstwo. – Ale

z podobnych cech znani są również Rzymianie. Nasze narody nie są wrogami, królu Ariowicie.

– Jaką wagę mają twoje słowa? – spytał przez Molona. – Nie masz prawa, by ze mną się układać.

– To ty przyszedłeś do mnie, a nie na odwrót – odpowiedziałem. Freda uderzyła mnie w twarz rzemieniem, na co Ariowist zareagował głośnym śmiechem. Obrócił się i wydał polecenie wojownikowi. Ten podszedł po pala i przeciął krępujące mnie więzy, dwóch innych uniosło mnie z ziemi, przytrzymując pod ramionami, jakbym ważył tyle, co truchło zająca. Dodam, że czułem się podobnie.

– Co się dzieje? – krzyknął Hermes, gdy barbarzyńcy pociągnęli mnie w kierunku dużej chaty.

– Niebawem się dowiemy – odparłem. – Nie oddalaj się stąd.

Wnętrze chaty było mroczne. Na środku leżał płaski głaz, na którym płonęło małe ognisko, a unoszący się z niego dym uciekał przez dziurę w dachu. Jedyne wyposażenie stanowiły sienniki, dwa dzbany i kilka byczych rogów. Najwyraźniej król Ariowist nie dbał w trakcie podróży o zbytki.

Wojownicy położyli mnie na ubitej glebie przed paleniskiem, gdzie w samotności rozmyślałem o tym, co może mnie czekać. Po dłuższej chwili w wejściu pojawił się Molon i nie musiał się schylać, by wejść do środka. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i puścił do mnie oko. W ślad za nim weszła Freda.

– Oby tak dalej – powiedział karzeł po grecku. – Świetnie ci idzie. – Freda zareagowała kilkoma warknięciami, nisko się ku niemu pochylając. – Kazała nam rozmawiać w języku, który zrozumie – wyjaśnił Molon.

I wtedy pojawił się Ariowist. Musiał niemal przyklęknąć, żeby wejść. W chacie nagle zrobiło się ciasno, gdy wszyscy, wraz ze mną, usiedli wokół

ogniska. Król powiedział coś do Molona, a karzeł (już nie mogłem nazywać go swoim niewolnikiem) wtedy wstał i z wprawą rozwiązał krępujące mnie więzy. Ku memu zdziwieniu do chaty wszedł wojownik, położył przede mną upieczoną nad ogniem dziczyznę na dużych liściach dębu. Molon chwycił dzban, napełnił jasnym trunkiem jeden z byczych rogów i podał mi. Udało się go utrzymać w zdrętwiałych dłoniach, nie roniąc ani kropli, i unieść do ust. Rozpoznałem pitny miód, lecz byłem tak spragniony, że zlekceważyłem ohydny smak napitku. Gdy na dobre odzyskałem czucie w palcach, sięgnąłem po kawałek pieczonego mięsa, przeżułem i zjadłem. Większość ludów wyznawała święte zasady gościnności, uchwyciłem się więc myśli, że dotyczyło to także Germanów.

Obserwowali mnie z ponurym zadowoleniem. Kiedy przełknąłem ostatni kęs, przemówił Ariowist.

– Jesteś pod moim dachem, ugościłem cię posiłkiem i poczęstowałem moim miodem. Czy teraz czujesz się bezpiecznie?

– A czy zagrażało mi niebezpieczeństwo? – odparłem. W odpowiedzi gromko się roześmiali. Nie mogłem mieć do nich pretensji za dobry humor.

– Lubię was, Rzymian – oznajmił Ariowist. – Nie jesteście krzykaczami, w przeciwieństwie do Galów. Nie tracicie nad sobą panowania. Posłuchaj mnie, Metellusie. Chcę, byś przekazał moje słowa Cezarowi. Ziemia Helwetów należą do mnie. Możecie pozwolić im się przemieścić albo wybić ich do nogi. Nie dbam, co się z nimi stanie. Jeśli zdecydujecie się na wojnę, pamiętajcie, żeby po wygranej wrócić szybko do Italii. Jeżeli zaś spróbowacie rozszerzać swoje wpływy w Galii, prędzej czy później doprowadzicie do konfliktu ze mną, a wtedy na pewno was pokonam. Nigdy nie zaznałem gorzkiego smaku porażki, zaświadczą o tym wszyscy moi wrogowie.

– Mówicie wprost – powiedziałem. – Nikt nie zamierza oskarżyć was o nadmierne zamiłowanie do retoryki. Ale jesteście w błędzie, jeśli sądzicie,

że Rzym tak łatwo złąknie się pogróżek obcego króla.

Ariowist zarechotał. – Rzym? Nie zamierzam walczyć z Rzymem. – Uniósł dłoń, wskazując palcem kierunek, w którym, jak się domyślałem, powinno być jezioro. – Naprzeciw mnie stoi Cezar! Czy wszyscy Rzymianie go kochają? Nie sędzę. Wielu znamienitych i szlachetnych Rzymian przysłało do mnie swoich posłów. Sławili moją waleczność i zapewniali, że gdy pokonam armię Cezara i zabiję go w walce, Rzym nie będzie szukał zemsty. Co więcej, obiecali mi nawet sowitą nagrodę. Mam otrzymać hojny trybut, a senat uzna mnie nie tylko za króla Germanii, lecz także Galii, jeśli ją podbiję, oczywiście z wyjątkiem waszej małej prowincji.

Od razu pojąłem, że nie są to wcale czcze przechwałki, ale straszliwa prawda. Legioniści mówili o ludziach Krassusa kręcących się w pobliżu obozu. Sam powiedziałem Cezarowi, że ma wielu wrogów liczących na jego potknięcie w Galii. Jak głęboko sięgała ta zgnilizna? Czy Krassus i jego poplecznicy w senacie (dodajmy, że Cezar miał wielu wrogów, którzy nie wspierali Krassusa) rzeczywiście podsycali ambicje Ariowista złotem? W wypadku człowieka tak majątnego jak Krassus wchodziło w grę każde rozwiązanie.

– Najpierw będziecie musieli poradzić sobie z rzymskimi żołnierzami – dodałem – a oni od dawna nie widzieli Rzymu. Są lojalni wobec swojego dowódcy.

– Lojalność Rzymianina kupi każdy, kto ma złoto – odparł z kpiącym uśmiechem.

Pojąłem, że rozwiązanie zagadki było tuż-tuż. – Nie wszyscy są na sprzedaż, lecz tylko kilku. Zaledwie kilku. Czy złotem, które dostałeś od Krassusa, Pompejusza i innych, kupiłeś Tytusa Winiusza, Pierwszą Włócznie Dziesiątego Legionu?

Przez krótką chwilę mierzył mnie zaskoczonym wzrokiem. – Tytusa

Winiusza kupiłem za własne złoto.

Tym razem to ja się zdziwiłem. – Ale przecież Germania nie obfituje zbyt w żelazo, a tym bardziej w złoto.

– Co nie znaczy, że jesteśmy biedni – odrzekł Ariowist. – Nasze bogactwo to ziemia oraz wojownicy. Jeśli się to ma, resztę można wziąć siłą. Parę lat temu przekroczyłem rzekę jako sojusznik Sekwanów, by wspomóc ich w wojnie z Eduami. Pokonałem Eduów, a potem zająłem trzecią część ziem należących do Sekwanów. – Zachichotał, kołysząc się w przód i w tył. – Należała mi się chyba jakaś nagroda za pokonanie ich wrogów, czyż nie? Na zajętych ziemiach moi wojownicy natrafili na skarby zagrzebane w bagniskach. Galowie składają w ten sposób ofiarę swoim bogom, dziękując za zwycięstwo.

– Słyszałem o tym zwyczaju – wtrąciłem.

– Korozja zniszczyła większość przedmiotów z żelaza, a także wyroby z brązu. Ale srebro i złoto są niezniszczalne. – Gestem dłoni wskazał na złote ozdoby – swoje, potem Fredy. – Złota mam teraz pod dostatkiem. Będę go miał nawet więcej, gdy zabiję Cezara, chyba że okaże się mądry i wróci do domu. Dla mnie to bez różnicy.

– Co kupiłeś od Winiusza? – spytałem.

– Gdybym musiał zaatakować wojsko Cezara, to Winiusz przysiągł, że wpuści mnie do obozu. Zapewnił, że zrobi to bez trudu, wystarczy, że osłabi warty w tę noc, kiedy miałbym przeprowadzić atak. Wy, Rzymianie, nie lubicie walczyć w nocy, my natomiast tak. Jeżeli wróg wdziera się do waszego obozu, a wy nie możecie się ustawić w szyku bojowym, to żołnierze walczą wówczas w pojedynkę i giną jak ofiarne barany. Przekaż to Cezarowi. Powiedz mu, że jego żołnierze nie są tak lojalni, jak sądzi.

Chciałem zadać mu kłam, ale nie mogłem się na to zdobyć. Niemal pięćdziesiąt lat temu przekupieni przez Jugurtę rzymscy oficerowie wpuścili



nocą do legionowego obozu Numidyjczyków, przypieczętowując tym los swoich żołnierzy. Konsekwencje tego czynu pokrywały się ze słowami Ariowista. Nawet pośród tak ponurych myśli coś mi przyszło do głowy.

– Zbezczęściłeś sanktuarium druidów – powiedziałem.

– I cóż z tego? Gardzę nimi. Sprawiają tylko kłopoty, próbują zjednoczyć przeciw mnie Galów. Kiedy całą Galię będę miał u swoich stóp, powywieszam wszystkich druidów w ich świętych gajach. – Przynajmniej w tej kwestii podzielał zdanie Cezara.

– Poznali prawdę, dowiedzieli się o twoim układzie z Winiuszem i postanowili pokrzyżować ci plany. Mam rację? To oni go zabili. Druidom nie wolno nosić broni, ale mogą zabijać, jeśli składają ofiarę.

– Zapłacą za to, że ośmieli się zabić psa, którego kupiłem – poprzysiągł Ariowist.

– Trzech już poniosło karę – oznajmiłem.

– To za mało. Z tamtych trzech złożyłem ofiarę bogom, a pozostałym powiedziałem wprost, że ich życie i skarby nic dla mnie nie znaczą. – Germański król był najwyraźniej w nastroju do rozmowy. Postanowiłem to wykorzystać.

– W jaki sposób poznali prawdę o Winiuszu? – spytałem.

Skrzywił się. – Nie jestem pewien. Podejrzewam, że Rzymianin mógł działać na dwie strony. Perfidia i zepsucie tego człowieka nie znały granic, a druidzi mieli wystarczająco dużo złota, by go przekupić. Chcąc przypieczętować nasz układ, oddałem mu najpierw mojego doradcę Molona, żeby służył za tłumacza i pośrednika, a potem własną siostrę, Fredę. Po prawdzie obojgu nakazałem nie spuszczać Winiusza z oka, aby mieć pewność, że nie wszedł w konszachty z druidami i Galami. Skłoniłem Molona, by grał rolę posłusznego niewolnika i nie uchylał się przed ciosami różgi, za co obiecałem mu sowingą nagrodę. Winiusz nie mógł rzecz jasna

podnieść ręki na Fredę, ona zaś miała udawać jego niewolnicę. – Germanka obdarzyła mnie chłodnym uśmiechem, a ja zacząłem się zastanawiać, ile wyjawiała bratu.

Cała ta sytuacja wydała mi się nagle irrealna, jakby to wszystko działo się we śnie. Oto siedziałem na klepisku pod jednym dachem z owłosionymi dzikusami, słuchając opowieści ich wodza, w której piętrzyły się intrygi i spiski, a nie pogardziliby nimi wielki król Persji i jego działający po cichu doradcy. Znajomość z Fredą nauczyła mnie, że ktoś odziany w skóry i pozbawiony znajomości ód Pindara, wcale nie jest mniej wyrafinowany niż człowiek wykształcony i odcytany.

– Przeceniasz własną siłę – odezwałem się. – I nie doceniasz determinacji Rzymu. Toczymy wojnę z Helwetami, ale wiele galijskich plemion poprosiło nas o opiekę, inne zaś to nasi sojusznicy. Wyolbrzymiasz ponadto sprawę zepsucia i korupcji w naszej armii, posiłkując się ledwie jednym przykładem. Przyznam, że krańcowym.

– Tę drogę obrałem dawno temu i nie usiadłem z tobą dziś, by dyskutować o dyplomacji. Chcę, żebyś przekazał moje słowa Cezarowi. W zamian otrzymasz życie. Powinieneś okazać wdzięczność. Molon zapewnił mnie, że pochodzisz ze znamienitego rodu, ale ja wiem, że w Rzymie jest sporo senatorów, a ich liczba rośnie z każdym rokiem. Jedynie garstka z was się liczy. – Jak na barbarzyńcę potrafił dobrze ocenić rzymskie realia.

– W takim razie przekażę twoje ostrzeżenie – odrzekłem. – Daję słowo Rzymianina. – Puściłem mimo uszu jego pogardliwe prychnięcie. – A teraz, królu Ariowicie, za twoim pozwoleniem, udam się w drogę powrotną do obozu. Wzywają mnie tam pewne niecierpiące zwłoki sprawy.

– Wrócisz, kiedy ci pozwolę – ryknął Ariowist niczym rozwścieczony niedźwiedź.

– Ale przecież już wszystko zostało powiedziane – zauważyłem. – Cezar rozkazał mi przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci Tytusa Winiusza.

– Wiem o tym od Molona. I cóż z tego?

– Podejrzenie padło na całe contubernium. Jeśli nie dowiodę winy druidów, ośmiu niewinnych ludzi zginie straszliwą, powolną śmiercią.

Ariowist porozumiał się z Molonem szeptem. Podejrzewałem, że tłumacz miał kłopot, jak przełożyć słowo „niewinni”. Po chwili król odpowiedział przez Molona:

– Rzymianie są zawsze winni.

## ROZDZIAŁ 13

Ariowist zatrzymał nas w obozowisku przez pięć dni. Nie bito nas, karmiono regularnie a nawet poluzowano więzy. Przez cały czas jednak pilnowali nas wojownicy będący uosobieniem pojęcia „nieprzychylność”. Przeżywaliśmy psychiczne męczarnie. Byliśmy na łasce barbarzyńskiego króla, który w dowolnej chwili mógł zmienić zdanie. Nikt się do nas nie odzywał. Kilkakrotnie mijala nas Freda i choć próbowałem ją zagadnąć rozmowę, najwidoczniej straciła mną wszelkie zainteresowanie. O dziwo, poczułem się dotknięty, że nie chciała mnie nawet uderzyć. Być może było we mnie coś z Tytusa Winiusza? Molon również milczał, gdy go witałem, i ograniczał się jedynie do kiwnięcia głową.

Rozmawiałem z Hermesem z braku innego zajęcia i innych ludzi. Rozmawialiśmy tak, jak rozmawiają ze sobą ludzie skazani tylko na własne towarzystwo. Zapewniłem go, że po powrocie do Rzymu zapiszę go na lekcje, bo w przyszłości będę potrzebował do pomocy wykształconego sekretarza. On zaś odparł, że może pozostanie w legionach w Galii to nie jest wcale zły pomysł.

Pochlebstwami próbował ze mnie wydobyć, kiedy zamierzam go wyzwolić, lecz dobrze wiedziałem, że nie należy konkretnie odpowiadać na to pytanie. Trzymanie niewolnika w ciągłej niepewności to był najlepszy sposób postępowania. Po dłuższej chwili Hermes przestał mówić na temat przyszłości, gdyż przeciągająca się rozmowa o planach sprawiła, że nasza

obecna sytuacja stawała się jeszcze bardziej opłakana.

Rankiem szóstego dnia obudziliśmy się w opustoszałym obozowisku. Uniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła. – Hermesie! Odeszli! – zakrzyknąłem.

– Co? – stęknął, mrużąc oczy i wodząc zaspanym wzrokiem. – Dokąd poszli?

– Mam szczerą nadzieję, że z powrotem do Germanii! Dalej, wyswobodźmy się z więzów. – Usiedliśmy plecami do siebie, próbując niezdarnie poluzować sznury. Po kilku nieudanych próbach postanowiliśmy wyciągnąć z ziemi obeliski, do których nas przywiązano. I to się również nie powiodło.

– Do tego należy się zabrać z głową – uznałem ostatecznie. – Może zdołamy przeciąć sznury o kamień?

– Tu nie ma kamieni – odparł Hermes, rozglądając się dookoła. – Ejże, gdzie się podział ich bóg?

Obejrzałem się i zobaczyłem w ziemi dół, tam gdzie stał wcześniej brzydki posąg. – Wykopali go i cichaczem opuścili obozowisko, nie budząc nas – skonstatowałem. – Ci Germanowie wiedzą, jak poruszać się w ciemnościach.

– Ktoś nadchodzi – powiedział Hermes z lękiem w głosie. Wbiliśmy wzrok w linię drzew, skąd wychynęła niebawem pokraczna, dobrze nam znana postać.

– Pomyślałem, że ułatwię wam obu życie. – Molon wyjął zza pazuchy nóż o krótkim ostrzu i przeciął nasze więzy. – Znikajcie, zanim Germanowie zauważą, że się oddaliłem.

– Wyjaśnij mi jedno, Molonie – powiedziałem.

– Co takiego?

Chwyciłem go za prawą rękę i uniosłem do oczu. – Wyjaśnij mi to. – Na

jego nadgarstku wisiała srebrna bransoleta, którą nosił Tytus Winiusz, gdy go po raz pierwszy spotkałem. – Skąd ją masz? Dostałeś od druidów? Jaka gierkę prowadziłeś za plecami wszystkich? – Wykręciłem mu ramię do tyłu.

– Au! – krzyknął, pocierając lewą dłońią nadgarstek. – Skoro już musisz wiedzieć, przywłaszczyłem ją, gdy dowiedziałem się o śmierci Winiusza. Leżała w namiocie przy paradnym mundurze.

– A ja słyszałem, że nigdy się z nią nie rozstawał – oznajmiłem.

– Cóż, nie mógł jej założyć i jednocześnie udawać niewolnika, prawda? Wystarczy. Uwolniłem was przecież.

– Muszę ją zabrać – wyjaśniłem. – Pokażę bransoletę Cezarowi i udowodnię, że ta szalona historia nie jest wytworem mojej wyobraźni.

– Jesteś niewdzięcznikiem – odparł Molon. – Dobrze ci służyłem, choć nie byłem tak naprawdę twoim niewolnikiem.

– Tak, a historia opowiadająca, w jaki sposób zostałeś doradcą Ariowista, z pewnością jest pasjonująca, lecz niestety nie mam czasu, by jej wysłuchać. I tak byś ją zmyślił.

– A nasze miecze? – wtrącił Hermes.

– Pytasz poważnie? – fuknął Molon. – Tyle żelaza?

– Chodźmy, Hermesie. Oddalmy się stąd jak najszybciej. – Po raz ostatni odwróciłem się twarzą do Molona. – Powiedz księżniczce Fredzie, jeśli taki nosi tytuł, że zawsze ją będę mile wspominał.

– Z pewnością ją to ucieszy – odparł, wykrzywając usta w cynicznym uśmiechu. – Wiem, że świata poza wami nie widzi, senatorze. – Czy taki człowiek był zdolny do mówienia prawdy? Molon odszedł i po chwili zniknął za drzewami.

Kilkakrotnie zgubiliśmy z Hermesem drogę, lecz wiedziałem, w którym kierunku powinniśmy zmierzać. O dziwo, marsz po wzgórzach sprawiał o tej porze dnia przyjemność, a zagrożenie, jakie stanowili barbarzyńcy, sprawiło,

że przestaliśmy zamartwiać się wilkami i niedźwiedziami. Wdychaliśmy świeże powietrze, ciesząc się odzyskaną wolnością. Sińce i opuchlizny były już niemal niewidoczne. Cieszyłem się, że odkryłem tajemnicę śmierci Tytusa Winiusza, i że ocalę Burrusa oraz jego towarzyszy. Powiedziałem o tym Hermesowi, a on zaczął wyrzekać.

– Nie, nie, nie. Najważniejsze, że Germanowie stąd odeszli. A co do reszty... Jestem zmęczony, obolały i głodny.

– Nie ciesz się ze zniknięcia Germanów – upomniałem go. – Zginiemy, jeśli napotkamy Helwetów.

– A nie mówiłem? Nie mamy powodów żeby się radować.

Wzgórze, na którym złożono druidów w ofierze, wydało mi się niemalże znajome. Dotarliśmy do niego wczesnym wieczorem. Pozostało nam jedynie zejść po stoku. Kiedy weszliśmy na łąkę, na niebie zajaśniały pierwsze gwiazdy.

– Już niedaleko – powiedziałem.

– Przynajmniej idziemy po płaskim – skomentował Hermes.

Powinienem się domyślić znacznie wcześniej, że mój pobyt w Galii nie będzie zbyt przyjemny i wygodny. Tuż po północy nad łąką zaległa gęsta mgła. Zmierzaliśmy w stronę obozu coraz mniej pewnym krokiem.

– Jesteście pewni, że to dobry pomysł? – spytał Hermes. – A może powinniśmy poczekać do świtu?

– Nie zamierzam spędzić nocy na łące – odparłem. – Musisz zaufać mojemu zmysłowi orientacji. – Skrzywił się z powątpiewaniem. – Niebawem dotrzemy do wału. Ma długość dziewiętnastu mil. Nie da się go przegapić.

– Mam do was całkowite zaufanie, panie – powiedział, a słowa te wcale nie zabrzmiały jednoznacznie.

Wzeszło słońce, lecz słoneczne światło nie poprawiło widoczności. Szliśmy teraz nie w szarej, lecz w białej mgłę. Wydawało mi się, że dobrze

wiem, gdzie jest wschód, ale tak naprawdę tylko się oszukiwałem. Rzecz jasna nie wyjawiałem tej wątpliwości Hermesowi.

– Stać! – zawrzęsnał ktoś nagle, a my zamarliśmy w bezruchu, jak rażeni gromem. – Kto idzie?

– Kapitan jazdy pretoriańskiej Decjusz Cecyliusz Metellus z jednym niewolnikiem. Muszę się pilnie rozmówić z legatem.

– Hasło, kapitanie!

– Hasło? A skąd mam wiedzieć? Przebywałem poza obozem przez siedem dni! Przepuście nas, mam do załatwienia ważne sprawy.

– Przykro mi, kapitanie. Nie mogę was przepuścić, jeśli nie znacie hasła. Zaczekajcie tam, gdzie jesteście na oficera pełniącego wartę.

– Nie wierzę! – krzyknąłem, łapiąc się za głowę. – Chcę chociaż podejść do was bliżej!

– A, tyle mogę chyba zrobić. Idźcie przed siebie, jeszcze kilka kroków. – Uczyniłem, jak powiedział, i po chwili stanąłem przed wałem. Tuż nad palisadą zamajaczyły dwa hełmy. Mgła poczęła rzednąć.

– Widzicie przecież, że jestem rzymskim oficerem – rzekłem, unosząc głowę.

– Mówicie, jak rzymski oficer, ale wyglądacie jak żebrak.

Nie mogłem go winić za ten komentarz. Tunikę miałem brudną i w strzępach. Ja sam również nie grzeszyłem czystością. Nieogolony i z włosami sterczącymi na wszystkie strony przypominałem Gala. Wtem usłyszałem zbliżające się kroki i nad palisadą ukazał się hełm centuriona.

– A cóż to za zamieszanie, Galeriusie?

– Po drugiej stronie wału stoi ktoś, kto twierdzi, że jest rzymskim oficerem, choć na to nie wygląda. Ma ze sobą niewolnika.

– Słyszałem w obozie o zaginionym oficerze. – Centurion wychylił się



przez palisadę. – Słucham, co macie do powiedzenia.

– Przeprowadzałem nocny zwiad i zostałem schwytany przez Germanów. Wczoraj uciekliśmy z niewoli i całą noc błądziliśmy we mgle. – Im krócej, tym lepiej, pomyślałem.

– Przynajmniej wyglądacie na całych i zdrowych. – Dłonią wskazał wschód i brzeg jeziora. – Ćwierć mili dalej jest brama. Idźcie tam, a ja dam rozkaz strażom, by was przepuściły.

Pospieszyliśmy we wskazanym kierunku i po chwili zdziwieni żołnierze wpuścili nas za wał, wypełniając posłusznie rozkazy centuriona. Byłem tak wzburzony, że dopiero za moment zdałem sobie sprawę, że są to legioniści, a nie żołnierze auxiliów.

– Odkąd to legioniści pełnią wartę na wale? – spytałem. Spoglądali na mnie w milczeniu, ja zaś w tym momencie zauważyłem gwiazdy wymalowane na ich tarczach. – Z którego jesteście legionu?

– Z Siódmego! – odparł któryś z dumą w głosie.

Zakrzyknąłem z radości i uściskałem Hermesa, a ten się zmieszał.

– Posiłki! Nareszcie! Kiedy przybyliście?

– Wczoraj, późnym wieczorem – odpowiedział dekurion. – Cezar znalazł nas po drugiej stronie Alp. To nie był marsz, biegliśmy całą drogę!

– Sześciu ludzi padło w górach z wycieńczenia – wtrącił z uśmiechem inny legionista, kiwając głową, jakby mówił o chlubnym wyczynie. – Liktorowie Cezara szli za nami z rozkazem, by skracać o głowę wszystkich, którzy się będą wlec z tyłu.

– O tak, dla Cezara wykonywanie rozkazów to podstawa – stwierdził dekurion z podziwem.

Mówili o nim, jakby był bogiem, lecz z większym uczuciem. Nie wierzyłem własnym uszom. Lukullus próbował wprowadzić w swej armii surową dyscyplinę, na co legioniści zareagowali buntem. A kiedy cesarz

zażądał od żołnierzy nadludzkiego wysiłku, poczęli go wielbić. Nigdy nie potrafiłem pojąć mechanizmów żołnierskiej umysłowości.

Gdy ruszyłem z Hermesem w stronę obozu, mgła uniosła się, a naszym oczom ukazał się widok napełniający serce nadzieją. Tam gdzie dotąd stały dwa obozy, teraz były trzy obozy legionowe i trzy obozy auxyliów. Oszacowałem, iż Cezar miał teraz pod swymi rozkazami około trzydziestu sześciu tysięcy żołnierzy.

– Teraz można podbić cały świat! – wykrzyknął Hermes.

– Cezarowi z pewnością spodobałby się ten pomysł – zauważyłem. – Ale kiedyś było już tak, że choć wystawiliśmy do boju dziesięć legionów, zwycięstwo wcale nie przyszło nam łatwo. Ale na Helwetów tyle wojska powinno wystarczyć.

– A na Germanów?

– Cezar nie zaryzykuje wojny na dwóch frontach. Ariowist mógł specjalnie się chełpić, ale i tak jego armia jest co najmniej trzykrotnie większa niż nasza.

– To niedobrze.

– Ano właśnie. Pamiętaj jednak, że Mariusz zdołał pokonać Germanów, dowodząc mniejszą liczebnie armią. Dzika odwaga na niewiele się zda w starciu z żelazną dyscypliną. Widziałeś ich uzbrojenie. Te liche tarcze nie zatrzymają pilum. Drewniane włócznie nie przebiją scutum ani kolczug. Legioniści w szyku bojowym mogą pokonać każdego nieprzyjaciela.

– Ale tamci to olbrzymy!

– W takim razie będą łatwiejszym celem – odparłem, by go uspokoić. – Bez hełmów i zbroi to tylko góry mięsa, które można pchnąć gladiusem. – Moje słowa zabrzmiały jak z propagandowego przemówienia. Rzymskie armie poznały gorycz porażki, Hannibal wpoił nam tę lekcję wielokrotnie, dowodząc mniejszą armią. Kartagińczyk był jednak, jak dotąd,

najwspanialszym dowódcą na świecie. Reputację Aleksandra uważam za przesadnie rozdmuchaną. Rzymianie rzadko przegrywają, lecz od czasu do czasu ulegają genialnym generałom.

Wiedziałem, że dzikim barbarzyńcom brakowało dyscypliny w przeciwieństwie do zaprawionych w bojach weteranów Hannibala. Legiony Cezara uporają się z Germanami po zwycięstwie odniesionym nad Helwetami, kiedy morale żołnierzy okrzepnie.

Pisząc te słowa, zastanawiam się, czy aby znajomość przyszłych wydarzeń nie wpłynęła na moje wspomnienia. Być może czułem się wówczas mniej pewnie i dręczyło mnie więcej wątpliwości? A może jedynie udawałem przed Hermesem?

– A skoro już mowa o mieczach – dodał – kiedy dostanę nowy?

– Najpierw muszę się postarać o jakiś miecz dla siebie. Mam jeszcze miecz kawaleryjski, ale gladius też mi się przyda. Zobaczymy, czy poszczęści mi się w grze w kości. Może poproszę Burrusa, by jego contubernium oddało nam swoje miecze w zamian za nasz trud. Powinni być wdzięczni za to... – I w tym momencie coś sobie przypomniałem. – Biegiem! – chrapliwie krzyknąłem przerażony.

– Dlaczego? – krzyknął Hermes, zza moich pleców. Nie zamierzałem marnować czasu na odpowiedź.

Obóz Dziesiątego Legionu leżał we wschodniej stronie, najdalej ze wszystkich. Obiegłem pozostałe, wdychając zapach świeżo rozkopanej ziemi. Nowo przybyli legioniści nadal kopali rowy i usypywali wały. Pod bacznyimi spojrzeniami dekurionów żołnierze na moment przerywali pracę, by przyjrzeć się wariatowi w łachmanach, który pędził przed siebie, jakby goniły go wszystkie Furie. Już po chwili musieli wracać do roboty, wyzywani od śmierdzących leniów.

Gdy dobiegłem do północnego wału, zobaczyłem, że strażę, odwrócone

do mnie plecami, spoglądają w kierunku forum. Odmówiłem krótką modlitwę, prosząc Merkurego, aby użył mi skrzydeł. Przebiegłem przez Porta Decumana, a za mną rozległy się krzyki: – Ej! Stać! Hasło! – Mimowolnie napiąłem mięśnie, spodziewając się, że lada moment poczuję w plecach grot pilum, choć wiedziałem, że to niezbyt prawdopodobne. Przecież powszechnie było wiadomo, że zabicie szaleńca przynosi straszliwego pecha.

Popędziłem biegiem przez wyludnione pretorium, mijając jedynie konie i juczne zwierzęta. Gdy zbliżyłem się do forum, dostrzegłem Cezara stojącego na podwyższeniu w otoczeniu oficerów, którzy spoglądali na coś w dole. Nie wiedziałem, na co lub na kogo patrzą, bo widok zasłaniały mi kohorty legionistów ustawione wokół forum. Zerwałem się do sprintu godnego olimpijczyka i resztką sił wpadłem na forum, witany okrzykami zdziwienia.

Przed podwyższeniem czekało dwunastu liktorów Cezara. Wśród nich dostrzegłem stojącą kamienną kolumnę, pokrytą farbą, a naprzeciw żołnierzy Pierwszej Centurii Pierwszej Kohorty w tunikach i z różgami w dłoniach. Byli wyraźnie przygnębieni, lecz ich miny miały się nijak do przerażenia malującego się na twarzach ośmiu nagich mężczyzn, kulących się na drugim końcu szpaleru. Burrus, postępujący na przedzie, zbliżył się do dwóch rzędów legionistów, którzy unieśli nad głowami różgi.

– Stać! – zawrzasnąłem. – Natychmiast przerwać! Ci ludzie są niewinni! – Krzyków oburzenia, jakie podniosły się nad forum, nie zdołały uciszyć rozkazy centurionów. Podbiegłem do podwyższenia, sapiąc i dysząc, i przystanąłem przy osobliwej kolumnie. Dopiero z bliska zorientowałem się, że był to monument poświęcony Tytusowi Winiuszowi. Miał uczestniczyć w egzekucji, choć tylko duchem.

– Widzę, że nie straciłeś zamiłowania do teatru, Decjuszu Cecyliuszu –

powiedział Cezar. – Lepiej natychmiast się wytłumacz, jeśli nie chcesz dołączyć do swoich przyjaciół na spacer pod różgami.

Z trudem łapiąc powietrze, bez słowa sięgnąłem w fałdy tuniki, wyjąłem srebrną bransoletę i rzuciłem Cezarowi. Ten zaś złapał i przyjrzał się jej.

– Kupiłeś tą błyskotką kilka minut. Podejź tu do mnie, Decjuszu, i wyjaśnij, o co chodzi.

Na chwiejnych nogach, zdołałem jakoś przejść przez niski wał otaczający pretorium. Kiedy znalazłem się na podwyższeniu, ktoś wcisnął mi do ręki bukłak. Podniosłem go do ust i zakrztusiłem się rozwodnionym winem. Następnym łykiem przepłukałem gardło. Trzeci spłynął do żołądka bez przeszkód.

– Mów, zanim opróżnisz bukłak do dna – ponaglił mnie Cezar, po czym zwrócił się do oficerów: – Panowie, zostawcie nas samych. – Tamci zeszedli z podwyższenia, zerkając na mnie, jakbym był zjawą przybyłą z Zaświatów. Gdy zostaliśmy sami, zacząłem opowiadać, zniżywszy głos do szeptu. Cezar pobladł nieznacznie, kiedy poinformowałem go o zdradzie Winiusza, ale nie przejął się zbyt moimi perypetiami i niebezpieczeństwem, jakie mi zagrażało. Kiedy skończyłem, przez moment przypatrywał mi się w milczeniu.

– Dobra robota, Decjuszu – odezwał się wreszcie. – Później złożysz mi szczegółowy raport z pobytu w obozie Germanów – dodał, po czym przywołał oficerów i streścił im zwięźle moją opowieść. Wyraz zdumienia malujący się na ich twarzach był bezcenny.

– Cóż, zawsze powtarzałem, że Tytus Winiusz to zimny drań – skomentował Paterculus; jego słowa mogłem odnieść do wszystkich centurionów. – Prokonsulu, zebraliśmy jednak na placu cały legion. Żołnierze czekają na egzekucję. Jeśli kogoś nie zabijemy, to nastroje się nie uspokoją.

Cezar uśmiechnął się. – O, sądzę, że mogę im dać przedstawienie innego rodzaju. – Wychylił się za podwyższenie i polecił szeptem jednemu z liktorów: – Pędź do kowala i przynieś młot i dłuto. – Legionista popędził i zniknął za namiotami. Cezar zaś uniósł dłonie i w jednej chwili na placu zaległa cisza.

– Żołnierze! Rzymscy bogowie umiłowali Dziesiąty Legion i nie pozwolili, by spotkała go niezasłużona kara! Dzięki ich wstawiennictwu otrzymałem dowody potwierdzające niezabicie, że Tytusa Winiusza zamordowali galijscy druidzi, składając go w ofierze w barbarzyńskim obrzędzie. Stało się tak wskutek zdrady, jakiej się dopuścił. Niniejszym Pierwsza Kohorta i Pierwsza Centuria zostają przywrócone do służby i niech nikt nie waży się wspominać choćby słowem o hańbie! – Legioniści zawrzęsneli ogłuszająco, promienie porannego słońca migotały w grotach włóczni, którymi potrząsali nad głowami. Nad placem niesło się powtarzane gromko imię Cezara, jakby ten odniósł przed chwilą wspaniałe zwycięstwo nad wrogiem.

– Zaczekajcie tutaj – nakazał Cezar. – Wrócę niebawem. – Zszedł z podwyższenia i ruszył w stronę swojego namiotu.

Burrus i jego towarzysze niedoli padli na kolana, a żołnierze, którzy mieli wykonać na nich wyrok, pomogli im wdziać tuniki. Kilka minut później wszyscy żołnierze Pierwszej Kohorty stanęli na placu w zbrojach. Cezar przypisał całą zasługę bogom, lecz ja poczułem satysfakcję na widok legionistów przywróconych do służby. Nieczęsto się zdarza, że możemy na własne oczy zobaczyć pożądane uwieńczenie własnych starań. A jeszcze rzadziej w tak dramatycznych okolicznościach.

Cezar wrócił w zupełnie innym stroju. Połowy mundur zastąpiły kapłańskie szaty: tunikę obszytą złotą nicią, a na łysiejącą głowę założył srebrny diadem, w dłoni ścisnął laskę augura. Wrzeszczący z radości legion

zamilkł jak rażony gromem.

Cezar zszedł z podwyższenia, by przystanąć przy kamiennym nagrobku Tytusa Winiusza. Kamieniarze z Massilii, myśląc z wyprzedzeniem, magazynowali na zapas podobne monumenty, a w ostatniej chwili umieszczali na nich inskrypcje oraz odpowiednie detale. Nagrobek Winiusza zdobiła na przykład postać mężczyzny w stroju odpowiadającym zajęciu i randze zmarłego. Na głowie miał hełm z poprzeczną kitą, na nogach zaś nagolenniki, na kolczudze zwisały na piersi phalerae, natomiast w dłoni trzymał różgę. Twarz tylko w zarysie przypominała oblicze Winiusza. U dołu figury inskrypcja wymieniała imię i nazwisko centuriona, jego stopień, a także odznaczenia i bitwy, w których brał udział.

Cezar uniósł ramiona i wypowiedział klątwę w tak dawnym języku, że niewielu go rozumiało. Kiedy skończył, odwrócił się ku żołnierzom.

– Niech imię Tytusa Winiusza zostanie wykreślone z historii Dziesiątego Legionu! Niech jego imię ulegnie zapomnieniu, zostaną mu odebrane honory, a posiadłości będą zwrócone Rzymowi, który zamierzał haniebnie zdradzić!

Obrócił się i spojrzał na nagrobek. Liktor wręczył mu młot i dłuto, a Cezar zakrzyknął: – Oto ja, Gajusz Juliusz Cezar, pontifex maximus, wymazuję z pamięci ludzkości przekłete imię Tytusa Winiusza! – Zręcznymi uderzeniami młota skuł twarz figurze przedstawionej na płaskorzeźbie, a następnie zniszczył w podobny sposób inskrypcję. Potem cisnął narzędzia na ziemię i wrócił na podwyższenie. – Stało się! Niech żaden człowiek nie waży się wypowiadać więcej tego imienia! Żołnierze, na własne oczy zobaczyliście, że sprawiedliwości stało się zadość. Powróćcie do swoich obowiązków. – W ten samej chwili rozbrzmiały tuby i rogi, a kohorty w należyтым porządku wymaszerowały z forum; żołnierze uśmiechali się szeroko. W armii ponownie zapanowała radość. Za wałem w lasach zbierały się hordy Helwetów i Germanów, a legioniści radowali się jak małe dzieci. –

Decjusz Cecyliusz – powiedział Cezar, gdy szliśmy w kierunku dużego namiotu – masz godzinę, by się wykąpać, ogolić i wdziać mundur. Chcę usłyszeć raport w całości. – Powiniennem był chyba okazać wdzięczność za ofiarowanie mi aż czterech kwadransów.

Godzinę później, ogolony, przystrzyżony i w połowym mundurze, choć wciąż jeszcze zmęczony i obolały, zameldowałem się w pretorium, by zdać Cezarowi relację z wydarzeń, jakie rozegrały się odkąd opuścił obóz. Przerывał mi wielokrotnie, zadając trafne pytania, a jego prawnicza błyskotliwość pomogła w wychwyceniu faktów, które, o dziwo, przeoczyłem. Kiedy wreszcie był zadowolony z tego, co usłyszał, zajęliśmy się skrzynką Winiusza. Z ciężkim sercem patrzyłem, jak Cezar odnotowuje każdy dokument, każdy akt własności i każdą sztabkę złota, po czym sprawdza tę listę ze sporządzonym przeze mnie inwentarzem. Nie był ani łatwowierny, ani ufny.

– Cóż – powiedział w końcu – na tym kończy się ta nieprzyjemna historia. Gratuluję, Decjusz. Twoje wyczyny przerosły moje oczekiwania.

– Co zrobisz z tym skarbem? – zapytałem.

– Ich właściciel okazał się zdrajcą. Jego dobytek zostanie skonfiskowany i przekazany państwu. – Zamknął wieko skrzynki i przekreślił klucz. Poprzysiągłem sobie, że pewnego dnia sprawdzę rejestry, by przekonać się, jaka część złota Winiusza rzeczywiście trafiła do państwowego skarbcza. – To trzeba uczcić – oznajmił Cezar. – Tego wieczoru zorganizuję ucztę na twoją cześć. A teraz wróć do namiotu i spróbuj się przespać. Dziś ucztą, jutro wojna.

Nie potrzebowałem dodatkowej zachęty. W drodze do namiotu każdy mijany żołnierz oddawał mi honory. Wszyscy uśmiechali się szeroko. Hermes spał na sienniku. Przykryłem go płaszczem, zdjąłem zbroję i padłem na łóżko niczym kłoda.



Na kolację podano pieczonego dzika upolowanego przez galijskich łowców oraz wyśmienite wino z prywatnych zapasów Cezara. Bez przerwy uśmiechano się do mnie i poklepywano po plecach. Oto nagle wszyscy stali się w moimi przyjaciółmi. Z najbardziej pogardzanego żołnierza legionu stałem się raptem jego bohaterem. Niezmiernie spodobała mi się ta odmiana, tym bardziej że wiedziałem, iż jest tylko chwilowa. Cezar sprezentował mi nawet wspaniały miecz w miejsce odebranego przez Germanów.

Oficerowie powoli rozeszli się do swoich namiotów ja także pożegnałem prokonsula, życząc mu dobrej nocy. Marzyłem o tym, że się wreszcie wyśpię we własnym łóżku. Nauczony doświadczeniem, Hermes czekał na mnie przed pretorium, żeby upewnić się, iż nie pobłądzę w ciemnościach. Wręczyłem mu chusteczkę, w którą zawinąłem przysmaki zabrane ze stołu i pomaszerowaliśmy wzdłuż rzędu oficerskich namiotów.

– To były szalone dni, Hermesie – powiedziałem – ale najgorsze minęło. Wszystko wróci do normy, gdy wyruszymy w pole.

– Skoro tak twierdzicie.

Pomyślałem o nocy, kiedy zbudził mnie Cotta, wzywając do stawienia się w pretorium, i wszystkich wydarzeniach, które rozegrały się później. Nagle olśniło mnie – zrozumiałem prawdę – i ta myśl poraziła mnie niczym piorun. Z wrażenia niemal padłem na ziemię.

– Potknęliście się o sznur? – spytał Hermes.

– Nie, doznałem olśnienia.

Spojrzał pod moje nogi. – A jak ono wygląda?

– Jak głupiec, którego ze mnie zrobiono – odparłem. – Druidzi i Germanowie! Wabiki i sidła!

– Powinniście wrócić do łóżka i trochę się zdrzemnąć – powiedział, przyglądając się mi z niepokojem.

– Sen to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję. Wrócisz do namiotu beze

mnie. Niebawem do ciebie dołączę.

– Jesteście pewni? – zapytał.

– Jestem trzeźwy, jeśli o to się martwisz. Zostaw mnie samego.

Wypełnił polecenie, pozostawiając mnie samego z niepokojącymi myślami. Publiusz Aureliusz Cotta pełnił wartę przy Porta Praetoria w nocy, gdy zamordowano Tytusa Winiusza. A co powiedział Paterculus? „Żaden oficer nie opuszcza posterunku, nim nie zostanie zluzowany”. Ale Cotta przyszedł do mojego namiotu, by mnie zbudzić. Na zewnątrz było wówczas ciemno.

Szykowałem się do snu, gdy zjawiłem się przy jego namiocie. – Decjuszu Cecyliuszu – powiedział, nie kryjąc zdziwienia – raz jeszcze przyjmij moje gratulacje. Co sprowadza cię w moje skromne progi?

– Mam małe pytanie dotyczące nocy, kiedy zamordowano Winiu... tego człowieka.

– Ta sprawa wciąż nie daje ci spokoju? – Uśmiechnął się krzywo. – Jesteś najbardziej upartym i wytrwałym człowiekiem, jakiego spotkałem. Jakie to pytanie?

– Tamtej nocy pełniłeś wartę przy Porta Praetoria. Wpuściłeś do obozu delegację galijskich posłów, kiedy okazali przepustkę. Ale później przyszedłeś do pretorium, by mnie zbudzić. Jak to wytłumaczysz?

– Tuż po północy zostałem zluzowany i odesłany do pretorium. Zostałem tam kilku liktorów Cezara, którzy powiedzieli mi, że prokonsul wstał. W namiocie liktorów stoi jedno wolne łóżko, na którym śpi oficer dyżurny, gdy nic szczególnego się nie dzieje w obozie. Przydzielono mi do pomocy gońca, któremu nie wolno było zmrużyć oka przez całą noc. Ten chłopak to Gal, który znał zaledwie dziesięć słów po łacinie.

– Czy wyjaśniono ci, dlaczego zostałeś zluzowany i oddelegowany do innej służby?

– A czy kiedykolwiek usłyszałeś w takiej sytuacji choć słowo wyjaśnienia? – zapytał.

– Nie, nikt nie podaje powodów – przytaknąłem. – Kto zajął twoje miejsce przy bramie?

– Twój kuzyn, Lucjusz Cecyliusz Metellus.

– Dziękuję, Publiusz. Rozwiąłeś jedną z moich wątpliwości.

– Cieszę się, że mogłem być pomocny – odrzekł, choć na jego twarzy dostrzegłem zakłopotanie.

Nie zapowiedziałem się, wchodząc do namiotu Guzka. Siedział na łożku i łypał na mnie zdziwionym wzrokiem, lecz po chwili jego mina wyrażała już tylko odrazę.

– Decjuszu! Posłuchaj, jeśli znowu masz zamiar męczyć mnie z powodu długu...

– Nie wywiniesz się tak łatwo, Guzku – odparłem żartobliwym tonem, po czym usiadłem na łożku i poklepałem Lucjusza po ramieniu. – Drogi kuzynie, chciałbym wiedzieć, kogo wypuściłeś za wały obozu, a następnie przepuściłeś przez Porta Praetoria w nocy, gdy zamordowano centuriona, którego imienia nie wolno nam wypowiadać na głos.

– Decjuszu – syknął w odpowiedzi. – Opuść sobie! To koniec. Dowiodłeś niewinności swojego klienta i jego kompanów. Wszyscy cię chwalą. Jesteś faworytem Cezara. Ostrzegam, nie psuj tego.

Pchnąłem go na łożko, dobyłem mój nowy, lśniący miecz i przytknąłem czubek ostrza do podbródka kuzyna. – Kto wyszedł przez bramę, Guzku?

– Spokojnie, Decjuszu! Odłóż to ostrze, lunatyku!

– Mów, Guzku.

Westchnął i przez chwilę przypominał ciasto, z którego wyciekło nadzieje. – Pełniłem służbę w pretorium, gdy zjawił się Paterculus i nakazał mi zlizować Cottę przy bramie. Powiedział, że z obozu wyjdzie niebawem

grupa ludzi, którą mam później wpuścić do środka, nie mówiąc o tym nikomu.

– A czy wyjaśnił ci powód zmiany rozkazów? – spytałem, choć wiedziałem, że nie uzyskam satysfakcjonującej odpowiedzi.

– A czemu miałyby to robić? Działał we własnym imieniu lub w imieniu Cezara, a ja nie zamierzałem dopytywać o szczegóły.

– Nie, Guzek nie był nigdy człowiekiem dociekliwym. Właśnie z tego powodu go wybrano. Ktoś potrzebował przy bramie doświadczonego podlizucha, umiejącego trzymać język za zębami, by zastąpił niedoświadczonego chłopaka, który nie wiedział jeszcze, jak zadbać o własną przyszłość. Wstałem i schowałem miecz do pochwy.

– Guzku, wstydzę się, że nosimy to samo nazwisko.

Potarł dłonią szyję, z małej ranki sączyła się strużka krwi. – Długo nie będziesz się męczył. Wystarczy, że będziesz postępował dalej tak, jak teraz. – Gdy jeszcze to mówił, obróciłem się i wyszedłem z namiotu.

Straże przy pretorium oddały mi honory z uśmiechem na ustach. Wszyscy się do mnie uśmiechali. Wszyscy, z wyjątkiem Guzka, pomyślałem.

– Dobry wieczór, kapitanie – pozdrowił mnie legionista.

– Zapomniałem zabrać jednej rzeczy – powiedziałem. – Wejdę tylko na moment.

Legioniści zerknęli w kierunku namiotu. Z wnętrza sączyło się światło. – Wygląda na to, że prokonsul nie położył się jeszcze spać. Możecie wejść do środka.

Cezar siedział przy stole, za jego plecami płonęły ustawione w rzędzie lampy. Na blacie spoczywała srebrna bransoleta. Uniósł głowę, kiedy pojawiłem się w wejściu.

– Tak, Decjuszu?

– Druidzi nie zabili Tytusa Winiusza – powiedziałem. – To twoja

sprawka.

Przez krótką chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Bardzo dobrze, Decjuszu. Naprawdę. Jesteś najbardziej niesamowitym człowiekiem, jakiego znam! Większość ludzi, gdy zdoła załatwić sprawę po swojej myśli, nie rozgrzebuje jej, by upewnić się, czy czegoś nie przeoczyła.

– Nie domyśliłbym się prawdy, a tobie wszystko uszło na sucho, gdybyś nie posłał po mnie Cotty. Wiedziałem, że tamtej nocy pełnił wartę przy bramie, a nie w pretorium.

– A, rozumiem. Widać wszystkie wielkie sprawy zależą od drobnostek. A tak przy okazji, nic nie „uszło mi na sucho”. Jestem prokonsulem tej prowincji, obdarzonym pełnym imperium. Wolno mi zarządzać egzekucje bez konieczności przeprowadzania procesu, jeśli uznam to za konieczne, i nikt nie ma prawa mi w tym przeszkodzić, nawet jeśli nosi nazwisko Cecyliusza Metellusa.

– Jak tego dokonałeś? – spytałem. – Czy Paterculus dusił go, kiedy ty pchnąłeś nożem? – Musiałem czuć ogromne rozgoryczenie, skoro użyłem takich słów. Nie lubiłem, gdy robiono ze mnie głupka, a tej nocy popsuto mi wyśmienity humor.

– Nie bądź bezczelny! Pontifex maximus nie kala sobie rąk krwią zdrajców. Egzekucję przeprowadzili moi liktorzy, postępując wedle szczegółowych instrukcji.

– Rzucając przy okazji podejrzenie na druidów.

Popatrzył na mnie z wyrzutem. – O, usiądźże wreszcie, Decjuszu. Twoja prawość wpływa źle na moje trawienie. Jeśli kiedykolwiek zasiądziesz na wysokim urzędzie, będziesz musiał popełnić wiele niemłych czynów. I odetchniesz z ulgą, jeśli będą one dotyczyć jedynie usuwania zdradzieckich gnid pokroju Winiusza.

Usiadłem. – Ale dlaczego? Skoro dowiedziałeś się o zdradzie, dlaczego nie skróciłeś go o głowę i nie skonfiskowałeś majątku?

Cezar ścisnął dwoma palcami grzbiet nosa i niespodziewanie na jego twarzy pojawiło się krańcowe zmęczenie. – Decjuszu, powierzono mi zadanie, jakiego nie dostał dotychczas jeszcze żaden rzymski prokonsul. Muszę posłużyć się każdym dostępnym narzędziem, by się z niego wywiązać. Tam – puścił nos i wskazał na północny wschód – zbierają się Helweci. Zetknąłeś się już z Germanami i wiesz, że masowo przekraczają Ren. Nie wolno mi dopuścić, by zawarli ze sobą sojusz. Muszę rozprawić się najpierw z jednymi, potem z drugimi. Dostrzegłem okazję, by skłócić ze sobą Germanów i Galów, i po prostu ją wykorzystałem.

– Wypytałeś Badraiga o obrzędy druidów. W ten sposób dowiedziałeś się o potrójnej ofierze.

– Właśnie. I tak zamierzałem podważyć autorytet druidów, więc zrzućcie na kapłanów winy wydało mi się idealnym sposobem, by osiągnąć kilka celów jednocześnie. Byłem pewien, że Ariowist się zemści. Galowie nigdy nie sprzymierzą się z kimś, kto morduje druidów.

– Ale dlaczego nie oskarżyłeś ich wprost? Dlaczego obwiniłeś własnych żołnierzy i kazałeś mi rozwiązać tę zagadkę, podczas gdy sam udałeś się na poszukiwania legionów? Ta intryga jest nazbyt zawila, nawet jak na ciebie.

– A mimo to poskutkowało i podejrzenie nie padło na mnie.

– Ariowist powiedział, że Rzymianie są zawsze winni. Może miał rację. – Nagle poczułem ogromne zmęczenie. – Jak dowiedziałeś się o zdradzie Winiusza? Od Molona?

– Od Molona. Ten pokraczny intrygant prowadzi więcej gier niż ja. Przyszedł do mnie z ofertą i sprzedał informację o majątku gromadzonym przez Winiusza. Płacenie niewolnikowi za szpiegowanie własnego pana to bardzo dobry sposób odkrycia brudów.

– Zapamiętam.

– Nakazałem Molonowi, by dowiedział się, kiedy Winiusz zamierza spotkać się ze swoim płatnikiem. Tym razem był to Germanin Eramanzius. Winiusz wyszedł z obozu z Galami, którzy nawet nie zauważyli, że towarzyszy im dodatkowy niewolnik. Podejrzewam, że planował powrócić o brzasku, by wmieszać się w tłum rolników zwożących towary na forum. Nie miałyby z tym większych kłopotów. Z Germaninem spotkał się nad brzegiem jeziora. Molon domyślił się, że w drodze powrotnej Winiusz przejdzie obok stawu, i tam zastawiliśmy zasadzkę. – Palcem szturchnął leżącą przed nim bransoletę. – Choć był zepsutym do szpiku kości zdrajcą, pozostał żołnierzem. Nie zdjął bransolety. Ukrył ją pod bandażem.

Przypomniałem sobie skrawek zabrudzonej białej tkaniny znalezionej na miejscu zbrodni. Kolejna zagadka rozwiązana. – A bransoleta była zapłatą, jakiej Molon zażądał za zdradzenie swego pana?

– Częścią zapłaty. I nie widziałem w tym niczego zdrożnego. Mierzył mnie widok odznaczenia przyznawanego za męstwo na nadgarstku zdrajcy. Nawet martwego zdrajcy. Czemu nie podarować jej przekłętemu niewolnikowi? Oczywiście, nie wiedziałem, że pokurcz szpieguje nas dla króla Germanów.

– Myślisz, że opowie o wszystkim Ariowistowi?

– Nie może tego zrobić. Przyłożył rękę do śmierci innego szpiega. Gdyby wyjawiał prawdę, podpisałby na siebie wyrok śmierci. Sądzę, że postanowił mi się przypodobać. Pomógł ci, gdy trafiłeś do niewoli.

Usłyszałem odpowiedzi na większość nurtujących mnie pytań. – Jak mogłeś oskarżyć ośmiu niewinnych ludzi?

Spojrzał na mnie zawstydzonym wzrokiem, o ile było to w ogóle możliwe. – Byłem pewien, że obarczysz winą druidów przed moim powrotem. Nie przyszło mi do głowy, że posuniesz się do tak szalonego

kroku i wypuścisz się za wał, by dać się pochwycić Germanom.

– A jednak zamierzałeś skazać ich na śmierć, gdy dzisiejszego ranka wbiegłem do obozu.

– Decjusz, w Galii toczy się gra o największą stawkę. Raz zaczęta, musi zostać doprowadzona do końca, bez względu na to, jak upadną kości.

Wstałem z krzesła. – Oddalę się teraz, prokonsulu. Dziękuję za udzielenie odpowiedzi na moje pytania. Zrozumiałem w końcu, że nie musisz ich udzielać nikomu.

Uniósł się i położył mi dłoń na ramieniu. – Szanuję twoje skrupuły, Decjusz. Są rzadkością w dzisiejszym Rzymie. Niczego więcej nie jestem ci winny. A, jeszcze coś Decjusz.

– Tak?

– Cieszę się, że nie tknąłeś zawartości skrzyni. Osobiście sporządziłem listę wszystkich przedmiotów, zanim posłałem po ciebie tego chłopca. Byłbym bardzo niezadowolony, gdyby okazało się, że coś zaginęło. A teraz idź i prześpij się.

Opuściłem pretorium usatysfakcjonowany, choć daleki od radości, którą czułem tego dnia. Polubiłem Badraiga, ale wiedziałem, że niebawem miało zginąć zarówno wielu Galów, jak i wielu Rzymian. O dziwo, stwierdziłem, że będzie mi brakowało Fredy, a nawet Molona, aczkolwiek nie opuszczało mnie osobliwe przecucie, iż jeszcze go ujrzę.

Przeszedłem przez ciemny obóz, pogrążony we śnie, jeśli nie liczyć podwójnych wart. Legion był gotów do wojny. Zamierzałem porządnie się wyspać. Na wojnie żołnierz potrzebuje snu. Jutro mogą ściągnąć Galowie, a wtedy trzeba będzie zapomnieć o odpoczynku.

Zdarzyło się to wszystko w Galii, w roku 696 od założenia Rzymu, za konsulatu Lucjusza Kalpurniusza Pizona Cesoniusza i Aulusa Gabiniusza.



Tytuł oryginalny  
*Nobody Loves a Centurion*

Okładka  
Radosław Krawczyk

Redaktor prowadzący  
Joanna Proczka

Redaktor merytoryczny  
Anna Olszowska

Redaktor techniczny  
Agnieszka Matusiak

Korekta  
Anna Olszowska

SPQR VI: Nobody Loves a Centurion. Copyright © 2001 by John Maddox  
Roberts. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition and translation by Bellona SA, Warszawa  
2014

Zapraszamy na strony:

[www.bellona.pl](http://www.bellona.pl), [www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)

Dołącz do nas na Facebooku:

[www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona)

ISBN 978-83-11-13556-7

Nasz adres: Bellona Spółka Akcyjna

ul. Bema 87, 01-233 Warszawa

Dział wysyłki: tel. [22 457 03 02](tel:224570302), [22 457 03 06](tel:224570306), [22 457 03 78](tel:224570378)

faks: [22 652 27 01](tel:226522701)

e-mail: [biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

  
[woblink.com](http://woblink.com)